

FRANCIS SCOTT FITZGERALD

OSTATNI Z WIELKICH

Tytuł oryginału THE LAST TYCOON

Tłumaczyła ARIADNA DEMKOWSKA-BOHDZIEWICZ

Książka i Wiedza • 1988

Rozdział 1

Wychowałam się w świecie filmu, chociaż sama w żadnym filmie nigdy nie zagrałam. Na przyjęcie w piątą rocznicę moich urodzin przyszedł do nas Rudolf Valentino - w każdym razie tak mi później mówiono. Wspominam o tym tylko na dowód, że jeszcze zanim dorosłam, mogłam widzieć, co się w tym światku dzieje.

Zabrałam się nawet kiedyś do pisania pamiętnika - „Córka producenta” - ale gdy człowiek ma osiemnaście lat, to nigdy w podobnym zamiarze nie wytrwa. Na szczęście! Byłaby to pisanina zbyt podobna do starych, banalnych felietonów Lolly Parsons. Mój ojciec zajmował się robieniem filmów, jak ktoś inny hodowlą bawełny czy produkcją stali, więc nie było nad czym się zastanawiać. Skandaliczne obyczaje Hollywoodu budziły we mnie uczucie rezygnacji - żadna przyjemność straszyć w domu, w którym już straszy. Zdawałam sobie sprawę, co powinnam o tym wszystkim myśleć, lecz ani rusz nie czułam się zgorazona.

Łatwo to powiedzieć, o wiele trudniej ludziom wytłumaczyć. U nas, w Bennington, niektórzy wykładowcy, Anglicy, naprawdę nienawidzili Hollywoodu, choć udawali obojętność. Z całego serca nienawidzili filmu widząc w nim zagrożenie własnej egzystencji. Nieco wcześniej, gdy byłam u zakonnic, pewna słodka siostrzyczka poprosiła mnie, abym zdobyła dla niej jakiś scenariusz filmowy; miała już parę wykładów o eseju i noweli i chciała „swoim uczennicom powiedzieć parę słów o scenariuszu filmowym”. Zdobyłam dla niej skrypt i przypuszczam, że musiał ją wprawić w zdumienie, bo długo się zastanawiała, lecz nie wspomniała o nim w klasie ani słowem i oddała mi scenariusz bez komentarza, zdumiona i jakby urażona. Bardzo możliwe, że i moja opowieść spotka się z podobnym przyjęciem.

Można godzić się na Hollywood, jakim jest - i taka była moja postawa - lub z pogardą ignorować, jak wszystko, czego nie rozumiemy. Można również Hollywood rozumieć, lecz tylko chwilami. Wszystkie zawiłości produkcji filmowej i pełny jej bilans potrafiło zmieścić w głowie zaledwie kilku mężczyzn. A kobieta mogła tylko starać się zrozumieć kogoś z nich.

Świat widziany z samolotu znałam już od dawna. Ojciec ściągał nas do domu i wysyłał z powrotem do szkoły i na uniwersytet - samolotem. Nie przestałam latać po śmierci mojej siostry; samotna podróż zawsze mi ją przypominała i napełniała powagą i smutkiem. Czasem spotykałam w samolocie ludzi filmu, czasem trafił się jakiś interesujący student - lecz rzadko, bo były to lata kryzysu. Z trudnością zasypiałam w czasie lotu, przeszkadzały mi wspomnienia Eleonory i świadomość pędu nad bezkresnym kontynentem, przynajmniej

dopóki małe, zagubione lotniska w Tennessee nie zostały za nami.

Tym razem lot był wyjątkowo burzliwy i część pasażerów od razu ułożyła się do snu, a część w ogóle ze snu zrezygnowała. Do tych ostatnich należało dwóch panów, siedzących na prawo ode mnie, po drugiej stronie przejścia; z urywków ich rozmowy domyśliłam się, że są na pewno z Hollywoodu - zwłaszcza że jeden z nich nawet na to wyglądał: nerwowy Żyd w średnim wieku, który albo gadał bez przerwy, albo skulony jak do skoku zapadał w kłopotliwe milczenie; drugi był krępy, bladym, brzydkim mężczyzną lat około trzydziestu i tego z pewnością już gdzieś widziałam. Może u nas w domu? Mogłam być wtedy małą dziewczynką, więc nie miałam mu za złe, że mnie teraz nie poznał.

Stewardesa, wysoka, przystojna, olśniewająco czarna brunetka w typie ostatnio modnym, spytała, czy może przygotować dla mnie posiłek.

- ... i powiedz, czy dać ci aspiryny? - Przysiadła na brzegu mojego fotela, huśtając się dość ryzykownie w porywach czerwcowego huraganu. - Czy chcesz proszek nasenny?

- Nie.

- Taka byłam zajęta innymi pasażerami, że nie zdążyłam cię zapytać. - Usiadła przy mnie wsuwając się pod mój pas bezpieczeństwa. - A może gumy do żucia, kochanie?

To mi przypomniało, że czas pozbyć się tej, którą z nudów żułam już od kilku godzin; zawiniętą w kawałek gazety włożyłam do automatycznej popielniczki.

- Po tym poznaję naprawdę kulturalnych ludzi - pochwaliła mnie stewardesa. - Dobrze wychowany człowiek zawija gumę w papierek, zanim ją wyrzuci.

Posiedzieliśmy chwilę w kołyszącym się półmroku. Trochę mi to przypominało jakiś modny lokal w porze zmierzchu, między posiłkami. Czuwali wszyscy - właściwie nie wiadomo po co. Myślę, że nawet stewardesa skłonna była zapomnieć, co tu robi.

Opowiedziała mi o pewnej młodej, znanej aktorce, z którą leciała przed dwoma laty na Zachód. Było to w najgorszym okresie kryzysu i niepokoiła się poważnie o dziewczynę, która patrzyła przez okno z takim zapamiętaniem, jakby zamierzała wyskoczyć. Okazało się jednak, że młoda aktorka nie nęczy się bałą, tylko rewolucji.

„Wiem, co wtedy zrobię - zwierzyła się stewardesie - pojedziemy razem z mamą do Yellowstone i spokojnie przeczekamy, aż się wszystko skończy. A potem wrócimy tutaj. Oni nie zabijają artystów, wie pani?”

Spodobał mi się ten pomysł. Wywołał w mojej wyobraźni obraz aktorki i jej matki, którym dobroduszne, konserwatywnie nastrojone niedźwiedzie przynoszą miód, a łagodne jelenki - mleko łani, i każdy z nich gotów na zawołanie podścielić się pod głowę jak poduszka. Z kolei ja opowiedziałam stewardesie o pewnym prawniku i pewnym reżyserze,

którzy w owym heroicznym okresie zwierzyli się którejś nocy mojemu ojcu ze swoich planów. Gdyby armia buntowników zdobyła Waszyngton, prawnik zamierzał udać się czekającą na niego łodzią w górę rzeki Sacramento i po kilku miesiącach wrócić, „ponieważ oni po rewolucji zawsze potrzebują prawników, żeby rzecz zalegalizować”.

Reżyser nastrojony był bardziej defetystycznie. Miał przygotowany stary garnitur, koszulę i buty - nigdy się nie przyznał, czy jego własne, czy wzięte z rekwizytorni - i postanowił po prostu „zniknąć w tłumie”. Pamiętam, jak ojciec powiedział do niego: „Ale wystarczy, by spojrzeli ci na ręce! Od razu zobaczą, że od lat nic nie robisz. I poproszą cię o legitymację związkową!” Pamiętam również, że zbity z tropu reżyser kończył deser z ponurą miną i że wszyscy oni wydawali mi się tacy śmieszni i małostkowi.

- Czy twój ojciec jest aktorem? - spytała mnie stewardesa. - Z całą pewnością słyszałam już nazwisko Brady.

Na dźwięk tego nazwiska obydwa panowie siedzący po drugiej stronie przejścia spojrzeli na mnie. Spojrzeli w sposób charakterystyczny dla Hollywoodu - spod oka i przez ramię. Potem ten młody, blady, krępy facet odpiął pas bezpieczeństwa i stanął obok nas w przejściu.

- Czy pani jest Cecylią Brady? - spytał z wyrzutem, jak gdybym naumyślnie ukrywała przed nim swoje nazwisko. - Byłem pewny, że skądś panią znam. Jestem Wylie White.

Mógł sobie darować tę dokładność, ponieważ w tej samej chwili jakiś inny głos powiedział: - Tylko ostrożnie, Wylie! - i jeszcze jeden mężczyzna przecisnął się w przejściu za jego plecami i poszedł prosto w kierunku kabiny pilota. Zaskoczony Wylie rzucił za nim zuchwale, lecz o sekundę za późno:

- Rozkazy przyjmuję tylko od pilota!

Znałam ten ton - władcy Hollywoodu lubili przekomarzać się ze swym otoczeniem.

Stewardesa upomniała go:

- Nie tak głośno, proszę pana, niektórzy pasażerowie już śpią.

Spostrzegłam teraz, że ów siedzący po drugiej stronie przejścia Żyd w średnim wieku wstał nagle z fotela i wzrokiem pełnym bezwstydney, choć powściąganej zawiści odprowadzał oddalającą się postać, a raczej plecy tego pana, który - znikając im z oczu - wykonał ręką pożegnalny ruch na prawo i na lewo.

Spytałam stewardesę: - Czy to był drugi pilot?

- Nie. To pan Smith. Zajmuje oddzielny przedział, nasz przedział „dla nowożeńców”, ale leci sam. Drugi pilot jest zawsze w mundurze. - Wstała. - Pójdę dowiedzieć się, czy lądujemy w Nashville.

Wylie White przeraził się.

- Dlaczego?

- Od strony Missisipi nadciąga burza.

- Czy to znaczy, że pozostaniemy w Nashville całą noc?

- Jeśli to będzie konieczne.

Nagły przechył dowiódł nam, że będzie. Rzucił White'a w fotel naprzeciw mego, pchnął stewardesę jak po pochylni w stronę kabiny pilota, a owego Żyda z powrotem przygwoździł do fotela. Wyraziliśmy oburzenie paru mocnymi, starannie dobranymi słowami, jak przystało ludziom nawykłym do latania, i rozsiedliśmy się wygodnie. Nastąpiła ceremonia prezentacji.

- Panna Brady - pan Schwartz - powiedział Wylie White. - Jest również serdecznym przyjacielem pani ojca.

Pan Schwartz potwierdził to skinieniem głowy tak wymownie, że wydało mi się, że słyszę słowa: „To prawda. Bóg mi świadkiem, że to prawda!”

Kiedyś mógł rzeczywiście głośno powiedzieć coś takiego, lecz teraz najwyraźniej był człowiekiem przegrany. Czasem spotyka się nagle znajomego, który porządnie oberwał w jakiejś bójce czy wypadku. Otwierasz szeroko oczy. - Co ci się stało? - pytasz, a ten zamiast odpowiedzieć, mamrocze coś bezradnie - bo ma spuchnięte wargi i wybite zęby.

Wygląd pana Schwartza nie zdradzał żadnych cielesnych obrażeń: jego wydatny perski nos i głębokie, owalne cienie pod oczami były tak samo cechą wrodzoną jak czerwień na irlandzkim zadartym nosie mego ojca.

- Nashville! - krzyknął Wylie White. - To znaczy, że zawiozą nas do hotelu. I na Wybrzeże dotrzemy dopiero jutro wieczorem; jeżeli w ogóle! Mój Boże! Urodziłem się w Nashville.

- Należałoby sądzić, że chętnie zobaczysz to miasto.

- Nic podobnego, omijam je od piętnastu lat. I mam nadzieję, że nigdy go nie zobaczę.

Lecz miał zobaczyć, ponieważ nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że schodzimy w dół, coraz niżej, jak Alicja w króliczej jamie. Osłaniając oczy dłonią tuż przy szybie dostrzegłam daleko z lewej strony kontury miasta. Zielone napisy „Prosimy zapiąć pasy” i „Nie palić” świeciły się już od pierwszych podmuchów burzy.

- Czy słyszałeś, co powiedział? - odezwał się Schwartz ze swojego fotela, przerywając uporczywe milczenie.

- Czy co słyszałem? - spytał Wylie.

- Jak on się tu nazywa - wyjaśnił Schwartz. - Pan Smith!

- A czemu nie? - spytał Wylie.

- Och, drobiazg - szybko odparł Schwartz. - Po prostu wydało mi się to śmieszne. Smith! - Nigdy nie słyszałam śmiechu, w którym byłoby mniej wesołości. - Smith!

Sądzę, że od czasu dyliżansów pocztowych nie było miejsc bardziej zagubionych, pogrążonych w posępnej ciszy, jak lotniska. Budynek starej poczty z czerwonej cegły znaczył kiedyś środek miasta, ale na takiej opustoszałej stacji wysiadał tylko ten, kto tam mieszkał. Natomiast lotniska cofają nas jeszcze dalej w przeszłość - przystanki na wielkich szlakach handlowych. Widok pasażerów, ciągnących pojedynczo albo parami przez lotnisko o tak późnej porze, zawsze zwabiał gromadkę ciekawych, nawet o drugiej w nocy. Młodzież przyglądała się maszynom, starsi - pasażerom, badawczo i nieufnie. My, z tych wielkich, transkontynentalnych samolotów, byliśmy dla nich bogaczami z Wybrzeża, którzy spadli z nieba w sam środek Ameryki. Może się kryć wśród nas Wielka Przygoda w postaci jakiejś gwiazdy filmowej! Rzadko się to zdarzało. I zawsze gorąco pragnęłam, żebyśmy się prezentowali ciekawiej - to samo uczucie miewam na premierach filmów, gdy kinomani patrzą na człowieka z gniewnym wyrzutem, że nie jest słynną znakomitością.

Po wyjściu z samolotu w jednej chwili zostaliśmy z Wyliem parą przyjaciół - podał mi ramię, gdy dotknęłam stopą ziemi, i pomógł złapać równowagę. Od owej chwili nie opuścił mnie na krok - co wcale mi nie przeszkadzało. Gdy tak szliśmy po płycie lotniska, stało się dla mnie oczywiste, że jeśli los rzucił nas tutaj - to we dwoje. (Jakże inaczej się czułam, gdy straciłam mojego chłopca; grał na fortepianie z tą Reina, w małym wiejskim domku w Nowej Anglii koło Bennington, a ja zdałam sobie sprawę, że nie jestem potrzebna. Reina uczyła go melodii, którą Guy Lombardo śpiewał w radiu. Klawisze jak liście i jej dłonie leżące na jego dłoniach, gdy pokazywała mu, jak brać akordy. Byłam wtedy na pierwszym roku).

Weszliśmy do budynku, za nami pan Schwartz, wciąż jakby pogrążony we śnie. Gdy próbowaliśmy uzyskać jakieś informacje przy okienku, nie odrywał wzroku od drzwi wiodących na płytę lotniska, jak gdyby się bał, że samolot odleci bez niego. Opuściłam ich na kilka minut i w tym czasie musiało coś zajść, bo gdy wróciłam, stali obok siebie i White przemawiał do Schwartza, który wyglądał jak cudem wyciągnięty spod cofającej się ciężarówki albo jeszcze gorzej. Przestał wpatrywać się w otwarte drzwi. Usłyszałam ostatnie słowa Wylie'ego:

- ... mówiłem, żebyś nie gadał. Dobrze ci tak.

- Powiedziałem tylko...

Przerwał, gdy podeszłam do nich pytając, czy dowiedzieli się czegoś nowego. Było pół do trzeciej nad ranem.

- Niewiele - odpowiedział Wylie White. - W każdym razie na pewno nie wystartujemy przed upływem trzech godzin, więc kilku frajerów udaje się do hotelu. Ale ja chciałbym ci pokazać Hermitage, dom Andrew Jacksona.

- Przecież nic nie zobaczymy w ciemności - zauważył Schwartz.

- No wiesz! Za dwie godziny wszędzie słońce.

- To jedźcie sobie we dwoje - powiedział Schwartz.

- W porządku, a ty jedź do hotelu. Autobus jeszcze czeka... i on też tam jest - dodał z naciskiem. - Może to nawet dobrze.

- Nie, pojedę z wami - szybko powiedział Schwartz.

Ogarnięci nagle ciemnością jak na wsi, wsiedliśmy do taksówki. Schwartz jakby poweselał. Klepnął mnie po kolanie dla dodania otuchy.

- Nie mogę was opuścić - powiedział - musicie mieć przyzwoitkę. Kiedyś, dawno temu, kiedy byłem bogaty, miałem córkę... piękną córkę.

Mogłoby się zdawać, że córkę wzięli w zastaw dłużnicy.

- Będziesz miał drugą - zapewnił go Wylie. - Wszystko odzyskasz. Niech się tylko obróci koło fortuny, to znajdziesz się tam, gdzie tatuś Cecylii, prawda, Cecylio?

- Gdzie właściwie jest ten Hermitage? - spytał zaraz potem Schwartz. - Pewnie gdzieś na końcu świata. Nie spóźnimy się na samolot?

- Przestań! Trzeba nam było wziąć stewardesę, to miałbyś niańkę. Przecież podobała ci się? Osobiście uważam, że to ładna dziewczynka.

Jechaliśmy długo przez zupełnie płaską równinę, naga, gdzieś tylko jakieś drzewo przy drodze, jakaś szopa i drzewo, a potem nagle droga zaczęła wiać się w górę przez las. Nawet w ciemności czułam zieleń tego lasu, jej świeżość - i jak się różni odcieniem od oliwkowej zieleni Kalifornii. Minęliśmy Murzyna poganającego przed sobą trzy krowy, które zaryczały, gdy spędzał je na brzeg drogi. Były to prawdziwe krowy o ciepłych, świeżych, jedwabistych bokach i Murzyn też wyglądał realnie; wynurzył się z mroku tuż koło samochodu i patrzył na nas wielkimi brunatnymi oczami, gdy Wylie wręczał mu dwadzieścia pięć centów. - Dziękuję - powiedział - dziękuję państwu - i stał w miejscu, gdy ruszyliśmy dalej, tylko krowy znów zaryczały w ciemną noc.

Przypomniałam sobie, jak pierwszy raz w życiu zobaczyłam owce - setki owiec - i nasz samochód nagle wjeżdżający w to stado, na tyłach starego studia Laemmle'a. Wymęczone zdjęciami owce wyglądały żałośnie, ale panowie w samochodzie mówili bez przerwy: „Świetne!”

„Czy o to ci chodziło, Dick?”

„Świetne! Naprawdę świetne!” - A człowiek nazwany Dickiem stał nadal w samochodzie niby Cortez czy Balboa, mierząc wzrokiem tę falującą wełnistą szarość. Dawno już zapomniałam, w jakim filmie były te owce, jeżeli w ogóle wiedziałam.

Jechaliśmy godzinę. Przejechaliśmy przez rzeczkę po starym żelaznym moście, na którym zaklekotały deski. Piały już koguty i w zagrodach farmerów, mijanych po drodze, poruszały się niebieskozielone cienie.

- A mówiłem, że niedługo ranek - powiedział Wylie. - Urodziłem się niedaleko stąd, jako syn żyjących w nędzy biedaków z Południa. To, co kiedyś było moim rodzinnym domem, służy teraz za wygodkę. Było nas czworo służby - ojciec, matka i moje dwie siostry.

Odmówiłem wstąpienia do tego zawodu i udałem się do Memphis, aby zrobić karierę, która zaprowadziła mnie obecnie w ślepy zaułek. - Objął mnie ramieniem. - Cecylio, czy wyjdiesz za mnie, żebym mógł korzystać z fortuny Bradych?

Był tak rozbrajający, że oparłam głowę o jego ramię.

- Co ty właściwie robisz, Cecylio? Chodzisz do szkoły?

- Jestem w Bennington na trzecim roku.

- Och, najmocniej przepraszam. Powinienem był wiedzieć, lecz nigdy nie było mi dane korzystać z dobrodziejstw wyższego wykształcenia. Czytałem w „Esquire”, że już na pierwszym roku wszystko umieją, Cecylio.

- Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego ludzie uważają, że dziewczyny na wyższych studiach...

- Nie usprawiedliwiał się. Nauka to potęga.

- Z naszej rozmowy od razu widać, że lecimy do Hollywoodu - odparłam. - Hollywood jest zawsze tak strasznie zacofane.

- Chcesz powiedzieć, że dziewczęta na Wschodzie nie mają prywatnego życia?

- Właśnie o to chodzi, że mają. Przestań nudzić. Puść mnie.

- Nie mogę, bo obudzę Schwartza, a przypuszczam, że po raz pierwszy od kilku tygodni zasnął. Posłuchaj mnie, Cecylio; miałem kiedyś romans z żoną pewnego producenta. Bardzo krótki. Kiedy się skończył, powiedziała bez ogródek, powiedziała dosłownie tak: „Żebyś ani słowa nie pisał, bo wylecisz z Hollywoodu. Mój mąż ma tu o wiele więcej do gadania niż ty”.

Znowu wydał mi się miły. Po chwili taksówka wjechała w długą aleję pachnącą kapryfolium i narcyzami i stanęliśmy przed wielkim szarym budynkiem - domem Andrew Jacksona. Szofer odwrócił się do nas, żeby coś powiedzieć o tym domu, lecz Wylie uciszył go wskazując Schwartza i ostrożnie wysiedliśmy z auta.

- Nie dostaniecie się teraz do środka - powiedział uprzejmie kierowca.

Weszliśmy oboje na schody i siedliśmy opierając plecy o szeroki filar.

- Co z tym Schwartzem? - spytałam. - Kto to jest?

- A niech go diabli wezmą. Był kiedyś dyrektorem jakiejś spółki - First National? Paramount? United Artists? A teraz jest na dnie. Ale wypłynie. Nie można wylecieć z tej branży, chyba że jest się narkomanem albo pijakiem.

- Nie lubisz Hollywoodu? - podpowiedziałam.

- Przeciwnie, lubię. Na pewno lubię. Ale to nie temat do rozmowy na stopniach rezydencji drew Jacksona - i do tego o świecie!

- A ja lubię Hollywood - upierałam się.

- W porządku. To miasto górników w kraju lotosów. Kto tak powiedział? Ja. Miejsce dobre dla cwaniaków, ale ja przybyłem z Savannah w stanie Georgia. Od razu pierwszego dnia znalazłem się na wielkim przyjęciu, na garden party! Gospodarz uściśnął mi rękę i zostawił samego. Czego tam nie było! Basen, zielony mech po dwa dolary za cal, śliczne dziewczynki, rozbawione, pijane... Tylko że nikt nie odezwał się do mnie. Dosłownie nikt. Zagadnałem parę osób - bez skutku. Nikt mi nawet nie odpowiedział. I tak to trwało przez godzinę, dwie - a potem wstałem i wyleciałem na ulicę jak wariat. Czułem się pozbawiony osobowości do tego stopnia, że dopiero w hotelu odzyskałem świadomość własnego nazwiska, kiedy w recepcji wręczono mi list zaadresowany do mnie.

Ja - oczywiście - nigdy nie miałam takich przeżyć, lecz gdy pomyślę o przyjęciach, na których bywałam, to rozumiem, że coś podobnego mogła się zdarzyć. Hollywood nie przepada za obcymi, chyba że po gościu widać wyraźnie, że załatwił swoje interesy gdzie indziej i nie będzie się czepiał nikogo - innymi słowy, że to jest k t o ś . A nawet wówczas powinien mieć się na baczności.

- Trzeba było wznieść się ponad to - powiedziałam przymilnie. - Nie musisz się wstydzić, kiedy ludzie są niegrzeczni. To wstyd dla tych, z którymi zadawali się wcześniej.

- Żeby taka ładna dziewczuszka mówiła takie mądre rzeczy!

We wschodniej stronie niebo pojaśniało i Wylie widział mnie teraz lepiej - szczupłą, o dobrych rysach, bardzo szykowną, z umysłem żywym jak noworodek pchający się na świat. Ciekawa jestem dziś, jak mogłam wyglądać wówczas, o świecie, pięć lat temu. Pewnie trochę nieświeżo i blado, ale byłam w tym wieku, kiedy się ma młodzieńcze złudzenia, każda przygoda jest dobra - wystarczyło wykapać się i przebrać, aby długo jeszcze nie poczuć znużenia.

Wylie przyglądał mi się z uznaniem, które mi naprawdę pochlebiało, lecz nagle

przestaliśmy być sami. Pan Schwartz, prosząc o wybaczenie, przerwał nam tę piękną scenę.

- Uderzyłem się o jakąś kłamkę - powiedział dotykając kącika oka.

Wylie zerwał się z miejsca.

- W samą porę, panie Schwartz - powiedział. - Wycieczka właśnie zbiera się do powrotu. Oto dom Starej Hikory, dziesiątego prezydenta Ameryki, Zwycięzcy spod Nowego Orleanu, przeciwnika Banku Narodowego i inicjatora Wielkiej Czystki.

Schwartz spojrział na mnie jak na ławę przysięgłych.

- Otóż i ma pani pisarza - powiedział. - Wszystko wie, tylko na niczym się nie zna.

- Coś takiego! - wykrzyknął Wylie z oburzeniem.

Od pierwszej chwili podejrzewałam, że jest pisarzem. I chociaż lubię pisarzy, bo mają odpowiedź na każde pytanie, to jednak zmalął w moich oczach. Pisarz to nie człowiek. A jeżeli już - to taki, w którym jest wielu ludzi naraz, choć za wszelką cenę stara się być tylko jedną osobą. Z pisarzem jest jak z aktorem tragicznie uciekającym od własnego obrazu w lustrze; kręci się, wygina, odchyła do tyłu - i napotyka odbicie swej twarzy w kryształowym żyrandolu.

- Czy nie mam racji, Cecylio? - spytał Schwartz. - Nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Wiem tylko, że powiedziałem prawdę.

Wylie patrzył na kolegę i oburzenie w nim rosło. - Już to gdzieś słyszałem - rzekł. - Powiem ci jedno, Manny, jestem człowiekiem przytomnym, o wiele przytomniejszym od ciebie. Godzinami wysłuchuję w biurze takich bzdur, że flaki się we mnie przewracają. Wszędzie poza Kalifornią już by cię dawno zamknęli u czubków. A potem twierdzi, że to on jest przytomny, a ja - marzyciel, i żebym zechciał łaskawie zostawić go w spokoju i zastanowić się nad jego słowami.

Dziwna twarz pana Schwartza jakby się do reszty rozpadła na poszczególne elementy. Jednym okiem spojrział w górę, na korony wysokich olch. Rękę podniósł do ust i odruchowo przygryzał skórkę na serdecznym palcu. Nad kominem domu krążył jakiś ptak i Schwartz powiódł za nim wzrokiem. Ptak przysiadł na brzegu komina jak kruk i Schwartz nie spuszczał oczu z tego obrazka.

- Nie można wejść do środka - powiedział - a wy musicie już wracać na lotnisko.

Dzień jeszcze nie wstał. Dom wyglądał jak ładne, duże białe pudło, zapomniane i od stu lat puste. Poszliśmy z powrotem do taksówki. Dopiero gdyśmy się usadowili i pan Schwartz, ku naszemu zdumieniu, zatrzasnął za nami drzwiczki, zrozumieliśmy, że nie zamierza jechać z nami.

- Nie polecę na Wybrzeże. Po przebudzeniu postanowiłem nie lecieć dalej. Zostanę

tutaj, szofer przyjedzie po mnie później.

- Wracasz na Wschód? - spytał zaskoczony Wylie. - Tylko dlatego, że...

- Zdecydowałem się - odparł Schwartz z bladym uśmiechem. - Byłem kiedyś człowiekiem niezwykle zdecydowanym, nawet nie uwierzył jak bardzo. - Wyciągnął z kieszeni kartkę, gdy kierowca rozgrzewał silnik. - Zechcesz to oddać panu Smithowi?

- Czy mam przyjechać po pana za dwie godziny? - spytał Schwartz kierowca taksówki.

- Tak, oczywiście... Z przyjemnością rozejrzę się po okolicy.

Mślałam o nim bez przerwy w czasie powrotnej jazdy, próbując pogodzić jego osobę z brzaskiem dnia, z otaczającym nas krajobrazem. Musiał odbyć długą drogę z jakiegoś getta, by móc stanąć przed przybytkiem tak pełnym surowości. Manny Schwartz i Andrew Jackson - trudno było ich wymienić w jednym zdaniu. Wątpię nawet, czy Schwartz wiedział, kim był Andrew Jackson, lecz być może doszedł do wniosku, że skoro ludzie tak dbają o ten dom, to Andrew Jackson musiał być człowiekiem wielkim i pełnym miłosierdzia, kimś, kto potrafi zrozumieć. Na początku i na końcu życia człowiek potrzebuje pokarmu: piersi - wiary. I żeby miał się do czego przytulić, gdy jest już nikomu niepotrzebny i chce wpakować sobie kulę w łeb.

Oczywiście o niczym nie wiedzieliśmy przez dwadzieścia godzin. Na lotnisku powiedzieliśmy kasjerowi, że pan Schwartz zrezygnował z dalszego lotu, i zapomnieliśmy o nim. Burza poszła na wschód i rozbiła się o pasmo gór, mieliśmy wystartować w ciągu godziny. Przybyli z hotelu zaspani podróżni, a ja zdążyłam zdrzemnąć się na wojskowej pryczy. Po nieudanej nocy rosło w nas na nowo przeczucie niebezpiecznej podróży: nowa stewardesa, wysoka, przystojna, kruczoczarna brunetka, dokładna kopia pierwszej, z tą tylko różnicą, że zamiast granatu z czerwienią miała na sobie letni uniform płócienny, przeszła pospiesznie obok nas z walizką w ręce. Czekaliśmy. Wylie usiadł przy mnie.

- Czy oddałeś tę kartkę panu Smithowi? - spytałam go na wpół śpiąc.

- Tak.

- Kim jest właściwie pan Smith? Podejrzewam, że to on zepsuł Schwartzowi podróż.

- Schwartz jest sam sobie winien.

- Mam uprzedzenie do tyranów - odpowiedziałam. - Mój ojciec usiłuje tyranizować cały dom, a ja mu wciąż powtarzam, że powinien wyżywać się w wytwórni.

Złękłam się, że może jestem nielojalna; ale czy o tak wczesnej porze słowa się liczą?

- A jednak pod presją tej tyranii poszłam do Bennington, za co jestem ojcu bardzo wdzięczna.

- Wyobrażam sobie starcie takiego tyрана jak Brady z drugim tyranem, Smithem, gdyby mieli się kiedyś spotkać.

- Czy pan Smith to konkurent ojca?

- Niezupełnie. Raczej nie. Lecz gdyby konkurowali ze sobą, wiedziałbym, na kogo stawiać.

- Na ojca?

- Oj, chyba nie.

Trudno rozbudzić w sobie rodzinny patriotyzm o tak wczesnej porze. Zjawił się pilot z kasjerem i obydwaj pokiwali głowami na widok pijanego pasażera, który właśnie wrzucił dwie pięciocentówki do grającej szafy, a potem rozwalił się na ławce walcząc ze snem. Wybrał piosenkę pod tytułem „Stracony”; muzyka jak grzmot zatrzęsa powietrzem. Po krótkiej przerwie zabrzmiała druga piosenka - „Na zawsze”, podobnie zasadnicza i tragiczna w swej wymowie. Pilot zaprotestował energicznym ruchem głowy i podszedł do pasażera.

- Obawiam się, przyjacielu, że tym razem nie będziemy mogli pana zabrać.

- A dlaczego?

Pijany facet usiadł; wyglądał okropnie, lecz niewątpliwie był przystojny i budził we mnie współczucie pomimo gustu do tak podłej muzyki.

- Ale ja chcę polecieć... Wysoko!

- Innym razem, przyjacielu!

Pod ciężarem rozczarowania pijany zleciał z ławki, tymczasem głośnik, przekrzykując muzykę, wezwał wszystkich porządných ludzi na płytę lotniska. W korytarzu wpadłam na Monroe'a Stahra i już go nie opuściłam, a w każdym razie bardzo nie chciałam. Oto był mężczyzna, za którym poleci każda dziewczyna, gdy na nią kiwnie, albo i bez tego. Co do mnie - nie otrzymałam żadnej zachęty. Lecz on mnie lubił i posiedział ze mną aż do chwili startu.

- Zażądajmy zwrotu pieniędzy - zaproponował. Objął mnie całą spojrzeniem ciemnych oczu. a ja zastanawiałam się, jak by te oczy wyglądały, gdyby się zakochał. Były to oczy uprzejme, miłe. patrzące z pewną rezerwą i świadome swej przewagi, choć często widziałam w nich delikatną perswazję. Nie było winą tych oczu, że poznały tak wiele. Stahr świetnie umiał udawać, że jest „swój chłop”, choć muszę przyznać, że w gruncie rzeczy wcale nim nie był. Umiał jednak milczeć, skromnie wycofać się na drugi plan, słuchać innych. Z pozycji, jaką zajmował (zawsze miało się wrażenie, że jest gdzieś wyżej, choć wcale nie był wysoki), obserwował niezliczone praktyki swego świata jak dumny młody pasterz, dla którego pora dnia nie ma znaczenia. Nie czuł potrzeby snu i nie chciał albo nie umiał odpocząć.

Siedzieliśmy pogrążeni w kłopotliwym milczeniu - znałam go od czasu, gdy dawno temu został współnikiem ojca; miałam wówczas siedem lat, a Stahr dwadzieścia dwa. Wylie siedział po drugiej stronie przejścia i nie wiedziałam, czy ich sobie przedstawić, lecz Stahr z takim roztargnieniem kręcił na palcu pierścień, że poczułam się strasznie młoda i nieważna i było mi wszystko jedno. Nigdy nie miałam odwagi ani omijać go, ani patrzeć mu prosto w oczy, chyba że miałam coś bardzo ważnego do powiedzenia - i wiem, że na wielu ludzi działał w taki sam sposób.

- Dam ci to, Cecylio.

- Och, przepraszam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że...

- Mam chyba z pół tuzina takich samych w domu.

Wręczył mi gruby złoty pierścień z dumnie wyrytą literą S. Myślałam właśnie, jak ten ciężki kawałek złota dziwnie kontrastuje z jego palcami, które były wysmukłe i delikatne jak reszta jego ciała, jak wąska twarz o wysokich łukach brwi i ciemne, wijące się włosy. Nieraz sprawiał wrażenie osoby uduchowionej, lecz był to przede wszystkim człowiek walki - ktoś, kto znał jego przeszłość, opowiadał mi, że Stahr w dzieciństwie był przywódcą dziecięcego gangu w Bronx, i nawet dokładnie mi opisał, jak ten delikatny chłopaczek kroczył zawsze na czele swojej bandy, rzucając rozkazy kąciem ust, przez ramię.

Stahr zamknął pierścień w mojej dłoni, wstał i zwrócił się do Wyliego:

- Chodź do mego przedziału dla nowożeńców. Do zobaczenia, Cecylio.

Zanim odeszli, usłyszałam, jak Wylie pyta go: - Czy przeczytałeś kartkę od Schwartza? - Na co Stahr odpowiedział:

- Jeszcze nie.

Widocznie jestem tępą, bo dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że to on jest tym panem Smithem.

Wylie powiedział mi później, co było w tej kartce. Napisana przy świetle samochodowych reflektorów, była prawie nieczytelna.

Drogi Monroe, jesteś najlepszy z nich wszystkich, podziwiam Twój umysł, więc jeżeli i Ty jesteś przeciwko mnie, to znaczy, że nie dam rady! Widocznie nie nadaję się do niczego i wysiadam, ale jeszcze raz powtarzam Ci: uważaj! Bo ja wiem.

Twój przyjaciel - Manny

Stahr przeczytał to dwa razy i pogładził ręką nie ogolony zarost na brodzie.

- Ten człowiek to ruina - powiedział. - Nic się nie da zrobić. On nie panuje nad

nerwami. Żałuję, że byłem dla niego przykry, ale nie znoszę, jak mi ktoś mówi, że zwraca się do mnie dla mojego dobra.

- A może jednak tak było - zauważył Wylie.

- To nie jest sposób.

- Ja bym się na to złapał - wyznał Wylie. - Jestem próżny jak kobieta. Jeżeli tylko ktoś udaje zainteresowanie moją osobą, to proszę o jeszcze. Lubię rady.

Stahr z niesmakiem potrząsnął, głową. Wylie przekomarzał się z nim, należał do nielicznych posiadających ten przywilej.

- Bo ty się łapiesz tylko na pewien rodzaj pochlebstw - mówił dalej. - „Słabostki małego Napoleona”.

- Dostaję od nich mdłości - odrzekł Stahr. - Ale jeszcze gorzej, kiedy facet usiłuje ci pomóc.

- Jeżeli nie znosisz rad, to za co płacisz m n i e ?

- To jest handel - odpowiedział Stahr. - Jestem kupcem. Chcę kupić to, co jest w twojej głowie.

- O nie, nie jesteś kupcem - rzekł Wylie. - Znałem dużo kupców, kiedy pracowałem w reklamie, i zgadzam się z tym, co powiedział Charles Francis Adams.

- A co powiedział?

- Znał wszystkich - Goulda, Venderbilta, Carnegie'a, Astora. Powiedział, że wolałby żadnego z nich nie spotkać. No cóż, kupcy nie zmienili się od tego czasu i dlatego właśnie twierdzę, że kupcem nie jesteś.

- Adams był prawdopodobnie zgorzkniałym zrzędą - powiedział Stahr. - Chętnie rządziłby sam, ale nie miał własnego zdania albo, inaczej mówiąc, charakteru.

- Był inteligentny - rzekł Wylie dość bezczelnie.

- Och, inteligencja to nie wszystko. Wy, pisarze, artyści, bardzo łatwo się załamujecie i zawsze ktoś musi wkroczyć, żeby podtrzymać was na duchu. - Wzruszył ramionami. - Artysta wszystko bierze sobie do serca - raz nienawidzi ludzi, raz uwielbia ich, wydaje mu się, że człowiek to taka ważna rzecz, zwłaszcza on sam! Wy się po prostu prosicie o kopniaka. Lubię ludzi i lubię, kiedy oni mnie lubią, ale serce noszę tam, gdzie je Pan Bóg umieścił - w środku.

Przerwał.

- Co takiego powiedziałem do Schwartza na lotnisku? Czy pamiętasz, ale dokładnie?

- Powiedziałeś: Wszystko jedno, o co ci chodzi, moja odpowiedź brzmi: Nie!

Stahr milczał.

- Był strasznie przegrany - ciągnął Wylie. - Ale udało mi się trochę go rozweselić. Zabraliśmy córkę Billa Brady'ego na przejażdżkę.

Stahr zadzwonił na stewardesę.

- Chodzi mi o pilota - powiedział. - Czy pozwoli, żebym trochę posiedział przy nim?

- Jest to sprzeczne z przepisami, panie Smith.

- Proszę go tutaj poprosić na chwilę, gdy będzie wolny.

Stahr siedział obok pilota całe popołudnie. Przez ten czas prześliznęliśmy się ponad bezkresną pustynią i gładkim płaskowyżem grającym tymi samymi kolorami, na jakie w dzieciństwie farbowaliśmy biały piasek. A potem, późnym popołudniem, wierzchołki Gór Zamarzłej Piły wsunęły się pod nasze śmigła i byliśmy już niedaleko domu.

Budząc się chwilami z drzemki, oddawałam się myślom o małżeństwie ze Stahrem, o tym, że chciałabym go w sobie rozkochać. Ta zarozumiałość! Cóż mogłam mu zaofiarować? Lecz wówczas nie myślałam w ten sposób. Była we mnie pycha młodej dziewczyny, czerpiąca swą siłę z takich na przykład nieskomplikowanych stwierdzeń: „Nie jestem gorsza od innych!” A przejawy moich intelektualnych możliwości dawały mi, oczywiście, szansę brylowania w każdym salonie.

Dzisiaj wiem, że byłam głupia. Chociaż całe wykształcenie Stahra składało się z wieczorowych kursów stenografii, to przecież już dawno temu przemierzył o własnych siłach bezdroża życiowych doświadczeń, by znaleźć się na terenie, na którym tylko nieliczni mogli dotrzymać mu kroku. Lecz w mojej zarozumiałej pewności siebie łączyłam już moje szare oczy z jego brązowymi i moje młode serce, bijące w rytm golfa i tenisa, z jego sercem, które zapewne już zwalniało swój rytm po latach przepracowania. I snułam plany, knułam spiski, uciekałam się do podstępów - każda kobieta to zna - i niczego nie osiągnęłam, jak sami zobaczycie. Jeszcze dziś pocieszam się myślą, że gdyby był biednym chłopcem i nie dzieliła nas taka różnica wieku, to wszystko udałoby się, lecz chodziło po prostu o to, że nie mogłam mu dać nic, czego by już nie miał; pewne bardziej romantyczne pomysły brałam z filmów - „Czterdziesta Druga Ulica” na przykład wywarła na mnie ogromny wpływ. Bardzo możliwe, że to, czym byłam wówczas, zawdzięczałam niektórym filmom, które wyszły z rąk Stahra.

A więc sprawa była raczej beznadziejna. Przynajmniej w dziedzinie uczuć nie należy zadowalać się popłuczynami.

Lecz w owym czasie widziałam sytuację inaczej: Ojciec mógł pomóc, stewardesa mogła pomóc. Mogła pójść do kabiny pilota i powiedzieć do Stahra: „Nigdy nie widziałam takiej miłości, jak w oczach tej dziewczyny”.

Pilot mógł pomóc: „Człowieku, czyś ty ślepy? Dlaczego nie wracasz do niej?”

Wylie White mógł pomóc, zamiast stojąc w przejściu przyglądać mi się niepewnie i zastanawiać, czy śpię, czy już się obudziłam.

- Siadaj - powiedziałam do niego. - Jakie wiadomości? Gdzie jesteśmy?

- Wysoko w powietrzu.

- Ach, tak. To niewiele. Siadaj. - Próbowałam udawać pogodne zainteresowanie. - Co piszesz obecnie?

- Z boską pomocą piszę teraz o skaucie, tytuł: „Skaut”.

- Czy to pomysł Stahra?

- Nie wiem. Kazał mi się tym zająć. Dla niego pisze czasem dziesięciu ludzi naraz, przede mną albo po mnie. Metodą, którą sam wymyślił i stosuje w praktyce. A więc jesteś w nim zakochana?

- Ależ skąd! - odparłam oburzona. - Przecież znam go od urodzenia.

- Beznadziejnie zakochana, prawda? Mogę ci w tym jakoś pomóc, jeżeli użyjesz wszystkich swoich wpływów, żebym dostał awans. Chcę mieć własny zespół. Pozycję kierownika artystycznego.

Przymknęłam oczy i pogrążyłam się we śnie. Gdy się obudziłam, stewardesa otulała mnie kocem.

- Jesteśmy już prawie w domu!

Zobaczyłam przez okno, w świetle zachodzącego słońca, że Ziemia pod nami jest bardziej zielona.

- Nasłuchałam się śmiesznych rzeczy w kabinie pilota - próbowała zabawić mnie stewardesa. - Ten pan Smith czy pan Stahr... nie przypominam sobie, żebym widziała jego nazwisko...

- Bo nigdy go nie ma na afiszach - powiedziałam.

- Ach, tak? W każdym razie ten pan wypytywał pilota o mnóstwo różnych rzeczy, jakby się interesował lataniem, wiesz?

- Wiem.

- Do tego stopnia, że jeden z pilotów powiedział, że jak nic nauczyłyby go pilotażu w dziesięć minut. Jest niebywale wprost pojętny, tak powiedział.

Zniecierpliwiła mnie jej gadanina.

- Co w tym śmiesznego?

- Bo w końcu, jak jeden z nich spytał pana Smitha, czy lubi swój zawód, to pan Smith powiedział: Tak, oczywiście. Jasne, że lubię. Przyjemnie jest mieć dobrze w głowie, kiedy reszta to kupa wariatów.

Stewardesa zaniósła się śmiechem. Miałam ochotę napluć jej w twarz.

- Śmieję się z tych wariatów! To dobre! Kupa wariatów! - Nieoczekiwanie śmiech jej zamilkł, spoważniała i wstała z fotela. - No cóż, muszę zakończyć dziennik pokładowy.

- Do widzenia.

Widocznie Stahr wyniósł obydwóch pilotów na swój tron i zezwolił, by przez chwilę dzielili z nim władzę. Wiele lat później, w czasie jakiegoś lotu, jeden z nich powtórzył mi, co wówczas od Stahra usłyszał.

- Powiedzmy, że buduje pan kolej - mówił Stahr patrząc w dół, na górskie szczyty. - Musi pan przeprowadzić ją przez te góry. Więc studiujecie pan dokumentację i stwierdza na mapie terenu, że są tam trzy albo cztery, a może i sześć ewentualnych tras, ale jedna gorsza od drugiej.

Jednakże musi pan podjąć jakąś decyzję. Na podstawie czego? O tym, która trasa będzie najlepsza, można się przekonać tylko w praktyce. Więc trzeba próbować.

Pilot nie wszystko od razu zrozumiał.

- Co pan ma na myśli? - spytał.

- Wybiera się pierwszą lepszą trasę bez żadnego określonego powodu - po prostu dlatego, że góra jest różowa albo wyraźniej narysowana. Rozumie pan?

Pilot uznał, że to bardzo cenna rada. Chociaż wątpił, czy będzie mógł kiedykolwiek z niej skorzystać.

- Chciałem się po prostu dowiedzieć - wyznał ze skruchą - w jaki sposób można zostać kimś takim jak pan Stahr.

Przypuszczalnie sam Stahr nie umiałby odpowiedzieć na to pytanie: nie istnieje pamięć embrionalna. Lecz ja mogłabym coś o tym powiedzieć. Kiedy był młody, wznosił się bardzo wysoko, na mocnych skrzydłach, żeby jak najwięcej zobaczyć. I ogarnął wzrokiem wszystkie dziedziny, oczy zaś miał takie, że mogły patrzeć prosto w słońce. I bijąc skrzydłami wytrwale, później gorączkowo, bez przerwy bijąc skrzydłami potrafił utrzymać się w górze dłużej niż wielu z nas, aż wreszcie, zachowując w pamięci wszystko, co zobaczył z tej wielkiej wysokości - prawdziwy obraz rzeczy - powoli osiadł na Ziemi.

Motory zamilkły i nasze zmysły zaczęły przystosowywać się do lądowania. Z lewej strony widać już było na Long Beach linię świateł oznaczających przystań Marynarki, na prawo zamigotały przymglone światełka Santa Monica. Kalifornijski księżyc wyszedł na niebo i zawisł nad Pacyfikiem, ogromny, pomarańczowy. Poruszył mnie ten widok, oznaczał dom, lecz wiem, że Stahr musiał czuć o wiele więcej. Dla mnie to wszystko było znajome od początku życia, jak szare stado owiec za wytwórnią Laemmle'a, dla niego było to miejsce

lądowania po niezwykłym locie, w którym odkrył prawdę o tym, dokąd idziemy i jak wyglądamy w naszym działaniu i co z tego jest ważne. Być może przypadkowy podmuch wiatru przypędził go właśnie tutaj, lecz nie sędzę. Myślę raczej, że potrafił pod nowym kątem, niby w „długim ujęciu” kamery filmowej, ocenić nasze kapryśne marzenia i pełne wdzięku łajdactwa, i dziwaczne smutki, i że zjawił się tutaj z własnego wyboru, aby pozostać z nami do końca. Jak nasz samolot, który powoli lądował na lotnisku Glendale, zanurzając się w ciepły mrok.

Rozdział 2

Był czerwiec, godzina dziewiąta wieczór, w drugistorze naprzeciw wytwórni siedziało jeszcze kilku statystów - widziałam ich plecy, pochylone nad jakąś grą mechaniczną, gdy parkowałam wóz. Na rogu ulicy stał Johnny Swanson zwany „Starym” w swoim na wpół kowbojskim stroju i ponuro wpatrywał się w księżyc. Był kiedyś taką samą gwiazdą ekranu jak Tom Mix czy Bill Hart - a teraz każda rozmowa z nim była nie do zniesienia smutna, więc szybko przebiegłam przez ulicę i wpadłam do bramy.

W wytwórni filmowej nigdy nie jest zupełnie cicho. W laboratoriach i salach synchronizacyjnych pracuje nocna zmiana, do kantyny raz po raz wpada ktoś z obsługi technicznej. Tylko dźwięki są wieczorem zupełnie inne - stłumiony szelest opon, cichy szum niepotrzebnie pracującego motoru, nagi szloch sopranu - odgłos nocnych nagrań. Tuż za rogiem wpadłam na człowieka, który w gumowych butach mył samochód oblany smugą światła - cudownie białą fontanną wśród cieni martwych baraków. Zwolniłam kroku przed budynkiem dyrekcji na widok pana Marcusa - strasznie powoli mówił, nawet dobranoc; czekałam, aż wsadzą go do samochodu, gdy tymczasem ten sopran bez przerwy powtarzał: „Przyjdź, przyjdź, tylko ciebie jednego kocham!”; zapamiętałam te słowa, gdyż słyhać je było podczas trzęsienia ziemi. Czyli w niecałe pięć minut później.

Biuro ojca mieściło się w starym budynku z długimi balkonami o żelaznych poręczach, przypominających wiecznie napiętą linę. Ojciec urzędował na drugim piętrze mając po jednej stronie Stahra, po drugiej Marcusa - tego wieczoru światła paliły się wszędzie.. Doznałam skurczu serca na myśl o bliskości Stahra, choć obecnie panowałam już nad swym uczuciem - w ciągu miesiąca pobytu w domu widziałam go tylko raz.

Było wiele dziwnych rzeczy w biurze mego ojca, lecz powiem o nich krótko. Najpierw sekretariat, gdzie urzędowały, jak daleko pamięć moja sięga, trzy sekretarki o nieprzeniknionych twarzach niby trzy czarownice - Birdy Peters, Maude jakaś tam i

Rosemary Schmiel; nie wiem, czy akurat takie miała nazwisko, lecz była dziekanem w tej trójce, jeśli można się tak wyrazić, i pod jej biurkiem ukryty był automat otwierający drzwi do sali tronowej mego ojca. Wszystkie trzy były zaciętymi zwolenniczkami kapitalizmu, a Birdy wprowadziła nawet zasadę, że jeżeli maszynistki odważyły się zbiorowo jeść w kantine częściej niż raz na tydzień, to otrzymywały surową naganę. W owym czasie wytwórnie bały się wszelkich zgromadzeń jak ognia.

Poszłam dalej. Dzisiaj każdy dyrektor ma wielkie salony, lecz gabinet ojca był pierwszym tego rodzaju. Nowością były również wielkie płyty ze szkła polaryzowanego w drzwiach balkonów, a słyszałam nawet o jakiejś zapadni w podłodze, przez którą dokuczliwi goście wpadali do piwnicy, lecz myślę, że to bajka. Duży obraz Willa Rogersa wisiał ostentacyjnie na ścianie - miał pewnie podkreślać duchowy związek ojca z tym Świętym Franciszkiem Hollywoodu; było również zdjęcie Minny Davis, zmarłej żony Stahra, z jej autografem i fotosy innych znakomitości naszej wytwórni, i dwa portrety pastelą, mamy i mój. Tego wieczora wszystkie drzwi na balkon były otwarte; w ramie jednych z wielu drzwi kołysał się bezwolnie ogromny, różowozłoty księżyc w aureoli. Ojciec i Jacques La Bowitz, i Rosemary Schmiel byli w drugim końcu salonu przy półkolistym biurku.

Jak wyglądał mój ojciec? Nie potrafiłabym go opisać; chociaż owszem; kiedyś zupełnie nieoczekiwanie natknęłam się na niego w Nowym Jorku. Po prostu zwrócił moją uwagę jakiś pan w średnim wieku, duży i ciężki, jakby trochę nieśmiały, który zatarasował mi drogę, i wtedy nagle stwierdziłam, że to ojciec. Wstrząśnięta byłam później wrażeniem, jakie na mnie zrobił. Ojciec potrafi być bardzo pociągający - ma mocne szczęki i irlandzki uśmiech.

Opisu La Borwitza oszczędzę wam. Wystarczy, gdy powiem, że był zastępcą producenta - czymś w rodzaju chłopca do wszystkiego - i możemy na tym poprzestać. A swoją drogą zawsze mnie dziwiło, skąd Stahr brał, czy też pozwalał sobie narzucać te żywe trupy i jaki miał z nich pożytek. Dziwił się również każdy, kto przybył ze Wschodu i natknął się na kogoś takiego. Jacques La Borwitz na pewno miał swoją rację bytu, bo ma ją nawet pierwotniak spod mikroskopu i pies uganiający się za suką i za kością. Jacques La... och, mój Boże!

Z wyrazu ich twarzy domyśliłam się, że mówili o Stahrze. Pewnie wydał jakieś zarządzenie lub zakaz albo zignorował ojca, albo odrzucił któryś z filmów La Borwitza, albo zrobił coś równie strasznego, bo zebrali się wieczorem solidarni w bezsilnym buncie. Rosemary Schmiel siedziała z otwartym notesem, jakby w zamiarze spisania ich żalów i pretensji.

- Mam cię przywieźć do domu żywego lub martwego - powiedziałam do ojca - wszystko, co dostałeś na urodziny, czeka nie rozpakowane i psuje się.

- Urodziny! - wykrzyknął Jacques i natychmiast zaczął ojca przepraszać. - Ile masz lat? Nic nie wiedziałem!

- Czterdzieści trzy - powiedział ojciec wyraźnie.

Miał o cztery lata więcej i Jacques wiedział o tym; by zyskać na czasie, zabrał się do zapisania dokładnej daty w swym notesie. Wszyscy chodzili po wytwórni z otwartymi notesami i bez trudu można było zobaczyć, co kto zapisuje, nie uciekając się do odczytywania z ruchu warg. Rosemary Schmiel z rozpędu również zapisała datę urodzin. Właśnie ją wymazywała gumką, gdy ziemia pod nami zadrżała.

Nie przeżyliśmy całej siły wstrząsu, jak w Long Beach, gdzie górne piętra budynków sklepowych zwały się na ulicę, a małe hoteliki porwała fala na środek morza - lecz przez jedną okrągłą minutę wnętrzości nasze utożsały się z wnętrzem Ziemi, jakby komuś przyszedł do głowy koszmarny pomysł przywrócić nam pępowinę i na powrót związać z łonem, które nas wydało.

Obraz mamy zleciał ze ściany, odsłaniając mały sejf. Rosemary i ja chwyciliśmy się kurczowo jedna drugiej i z krzykiem odtańczyliśmy dziwnego walca przez całą długość pokoju. Jacques zemdlął, w każdym razie zniknął; ojciec przyłgnął do swego biurka i wołał: - Czy nic wam się nie stało? - Rozśpiewany sopran za oknem zaniósł się słowami: „Tylko ciebie kocham... „, zawisł na chwilę w powietrzu, a potem, przysięgam, zaczął piosenkę od początku. Zresztą, mogła być nagrana na play-back.

Pokój znieruchomiał, cisza drgała lekko w takt schimmy. Ruszyliśmy do drzwi wraz z La Borwitzem, który znów był z nami, i chwiejąc się na nogach, wyszliśmy na żelazny balkon. Prawie wszystkie światła pogasły, tu i ówdzie rozbrzmiewały krzyki i wołania. Poczekaliśmy na drugi wstrząs, a potem, kierowani wspólnym odruchem, przeszliśmy do Stahra.

Miał duży gabinet, choć nie tak duży, jak ojciec. Siedział na tapczanie przecierając oczy. Przespał całe trzęsienie ziemi i wcale nie był pewien, czy mu się nie śniło. Gdyśmy go zapewnili, że nie, wydało mu się to bardzo zabawne - póki nie rozdzwoniły się telefony. Przyglądałam mu się najdyskretniej, jak mogłam. Jego zmęczona twarz miała odcień popiołu, gdy przyjmował telefony i słuchał dyktografu, lecz w miarę napływania wiadomości oczy jego nabierały blasku.

- Pękło kilka rur wodociągowych - rzekł do ojca. - Sprawdzają teraz dalej położone dekoracje.

- Gray kręci w Wiosce Francuskiej - powiedział ojciec.

- Zalało też Dworzec, Dżunglę i Róg Ulicy. Ale piekło! Zdaje się, że nie ma rannych.

Mijając mnie z powagą uściśnął mi rękę. - A ty gdzie byłaś, Cecylia?

- Czy idziesz tam, Monroe? - spytał ojciec.

- Po co? Wiem już wszystko. Wysiadła jedna linia wysokiego napięcia, posłałem po Robinsona.

Kazał mi usiąść obok siebie na kanapie i jeszcze raz opowiedzieć o trzęsieniu ziemi.

- Wygląda pan na zmęczonego - powiedziałam cicho, po macierzyńsku.

- Tak - przyznał - wieczorami nie mam co zrobić, więc po prostu pracuję.

- Muszę zorganizować panu kilka wieczorów.

- Zanim się ożeniłem - powiedział zamyślony - grywałem zwykle z moją paczką w pokera, ale wszyscy zapili się na śmierć.

Weszła panna Doolan, jego sekretarka, z wiadomościami, które były niedobre.

- Robby zajmie się wszystkim, jak tylko przyjdzie - zapewnił ojca Stahr. Zwrócił się do mnie: - To dopiero człowiek, ten Robinson. Kocha takie rzeczy, w Minnesocie naprawiał linie telefoniczne podczas huraganu. Nic go nie powstrzyma. Będzie tu za chwilę, spodoba ci się.

Powiedział to tak, jak gdyby od początku życia o niczym innym nie myślał, tylko żeby nas poznać ze sobą, i nawet trzęsienie ziemi zorganizował w tym celu.

- Tak, na pewno ci się spodoba - powtórzył. - Kiedy wracasz na uczelnię?

- Dopiero przyjechałam!

- Masz całe lato wolne?

- Strasznie mi przykro - powiedziałam - jeśli trzeba, mogę wrócić tam natychmiast.

Byłam jak we mgle. Przemknęła mi przez głowę myśl, że ma wobec mnie jakieś zamiary, lecz jeśli nawet, to strasznie niesprecyzowane! Mogłam być brana pod uwagę zaledwie jako „dobra lokata”! A mnie z kolei małżeństwo z nim wydało się wówczas równie ponętne jak na przykład z lekarzem. Zazwyczaj pracował w wytwórni do jedenastej w nocy.

- Kiedy ona skończy studia? - zwrócił się do ojca.

O to mi chodziło. Z radości byłam gotowa zaśpiewać, że wcale nie muszę wracać na uczelnię, że jestem już dość wykształcona, gdy godny najwyższego uznania Robinson wszedł do gabinetu. Był to rudzielec o krzywych nogach, tryskający energią.

- Oto jest Robby, Cecylia - powiedział Stahr. - Chodź tu, Robby.

W ten sposób poznałam go. Nie wyglądało to na zrzędzenie losu, lecz było. Ponieważ to Robby opowiedział mi później, w jaki sposób owej nocy Stahr spotkał swoją miłość.

W świetle księżycy teren wytwórni zmienił się w kraj zaczarowany - nie dlatego, że dekoracje wyglądały rzeczywiście jak autentyczna afrykańska dżungla czy francuski zamek, czy zakotwiczony szkuner, czy Broadway w nocy, lecz dlatego, że przypominały podarte książki z obrazkami z czasów dzieciństwa, fragmenty bajek tańczące nad rozpalonym ogniskiem. Nigdy nie mieszkałam w domu, który miał graciarnię na strychu, ale teren wytwórni był chyba czymś podobnym, a w nocy - rzecz jasna - był strychem zaczarowanym, gdzie wszystko wydawało się prawdziwe.

Kiedy zjawił się Stahr i Robby, reflektory odnalazły już zagrożone miejsca.

- Wypompujemy wodę i skierujemy ją do bagna przy Trzydziestej Szóstej Ulicy - powiedział Robby po chwili. - Dzięki Bogu to własność miasta. Ale co to? Spójrz no!

Środkiem niespodzianie powstałej rzeki płynęła z prądem ogromna głowa Sziwy, a na jej szczycie siedziały dwie kobiety. Hinduskie bóstwo musiało pochodzić z jakiejś dekoracji przedstawiającej Burmę; głowa z powagą torowała sobie drogę wśród różnych gratów porwanych przez wodę, które na płycznach tworzyły zatory. Dwie ofiary powodzi znalazły schronienie pomiędzy zwojami loków nad odsłoniętym czołem bóstwa i na pierwszy rzut oka robiły wrażenie, że usiadły tam naumyślnie, niby turystki zwiedzające autokarem zalane tereny.

- Spójrz, Monroe - powtórzył Robby. - Spójrz na te damulki!

Podeszli obydwaj do brzegu strumienia brnąc przez nagle utworzone bajoro. Widzieli teraz obydwie kobiety dokładnie - były nieco przestraszone i bardzo uradowane nadchodzącą pomocą.

- Szkoda, że nie możemy wpuścić ich do ścieku - powiedział rycersko Robby - ale De Mille potrzebuje tej głowy za tydzień...

Robby nie skrzywdziłby nawet muchy i po chwili był już po pas w wodzie, starając się długim drągiem przyciągnąć głowę, lecz udało mu się tylko wprawić ją w ruch kołowy. Zjawiała się pomoc, i szybko rozeszła się wiadomość, że jedna z tych kobiet jest bardzo ładna, a potem, że obydwie to jakieś ważne osoby. Ale przede wszystkim były tam bezprawnie i Robby, pełen oburzenia, czekał, aby im nawymyślać; tymczasem sytuacja została całkowicie opanowana i głowę wyciągnięto na brzeg.

- Zanieście ją z powrotem na miejsce! Co wy sobie myślicie, że zostanie tu na pamiątkę?

Jedna z kobiet ostrożnie zsunęła się z policzka bóstwa, Robby schwycił ją i postawił na ziemi; druga, po chwili wahania, zrobiła to samo. Robby zwrócił się do Stahra po wyrok:

- Co z nimi zrobimy, szefie?

Stahr nie odpowiedział. Ujrzał twarz swojej zmarłej żony, identyczną nawet w wyrazie, blado uśmiechającą się do niego z odległości zaledwie czterech stóp. Oczy, które znał tak dobrze, patrzyły na niego oddzielone smugą księżycowego światła; drgnął pukiel włosów na znajomym czole, uśmiech trwał, zmieniając się odrobinę, jak u Minny; wargi rozchyliły się - tak samo! Ogarnęło go przerażenie, chciał głośno krzyknąć, Powróciła... z głębi tamtego dusznego pokoju, poprzez stłumiony szum karawanu, spod okrywających ją wieńców, z mroku zaświatów - powróciła tu, ciepła i rozpromieniona. Rzeka szumiała obok niego, niebo omiatały smugi wielkich reflektorów - i nagle usłyszał głos, który nie był głosem Minny.

- Strasznie nam przykro - powiedział ten głos. Jechałyśmy za jakąś ciężarówką, potem przez jakąś bramę...

Zbiegła się gromadka elektryków, maszynistów, wózkarzy i Robby zaczął ich poganiać jak owczarek.

- ... dajcie tu duże pompy, ze zbiorników na czwartej hali... owinąć tę głowę linami... tak... przymocować ją do tego... ale najpierw trzeba wypompować wodę z dzungli, na miłość boską!... położyć tę grubą rurę... to wszystko jest z plastyku...

Stahr przyglądał się dwóm kobietom, które szły za policjantem do bocznego wejścia. Potem zrobił krok, by przekonać się, czy ustąpiła słabość w kolanach. Hałaśliwy traktor z hukiem przejechał przez błoto, a koło niego płynął tłum ludzi, tłum, w którym niemal co drugi człowiek spoglądał na niego albo uśmiechał się, albo mówił: - ... jak się masz, Monroe... Halo, Stahr!... Ale mokra noc, panie Stahr!... Monroe... Monroe... Stahr... Stahr... Stahr...

Odpowiadał im, pozdrawiał płynące w ciemności szeregi, wyobrażam sobie, że mógł wyglądać trochę jak Cesarz ze swą Starą Gwardią. Każdy świat ma własnych bohaterów; Stahr był takim bohaterem. Większość tych ludzi pracowała tu od dawna - pamiętała same początki, potem okres wielkiego upadku po wynalezieniu dźwięku, potem trzy lata kryzysu. Stahr pilnował, by nigdy nikomu nie stała się krzywda. Stare zasady chwiały się, wszystko dziś miało gliniane nogi, lecz on wciąż był z nimi, ostatni ich pan i władca. I gdy tak defilowali przed nim, pozdrowienia ich były rodzajem cichego hołdu.

Rozdział 3

W czasie między moim powrotem i trzęsieniem ziemi poczyniłam wiele różnych spostrzeżeń.

Na przykład na temat ojca. Kochałam ojca - wykres tego uczucia miał liczne i głębokie załamania - lecz teraz zaczynałam pojmować, że jeśli zrobił karierę, to wcale nie dzięki silnej woli. Jego sukcesy sprowadzały się najczęściej do sprytnych posunięć. Dzięki temu, że miał szczęście i dużo sprytu, zdobył kiedyś czwartą część udziałów w pewnym kwitującym przedsiębiorstwie - razem z młodym Stahrem. I na tym polegało największe jego życiowe osiągnięcie - bo cała reszta była już tylko dziełem instynktu - po prostu trzymał się innych. Oczywiście w kontaktach z Wall Street potrafił z wielką pewnością rozprawiać o tajnikach produkcji filmowej, nie mając zielonego pojęcia o synchronizacji dźwięku ani nawet o montażu! Z tych czasów, gdy jako chłopiec pracował w barze w Ballyhagen, nie wyniósł żadnej wiedzy o tym, jak myśli i czuje Ameryka, na scenariuszach znał się tyle, co kura na pieprzu. Z drugiej jednak strony wcale nie brakowało mu charakteru: przychodził do wytwórni około południa, ale nie zdarzyło się, żeby dał się komuś nabrać czy podejść - wyrobił w sobie podejrzliwość, jak bokser - muskuły.

Stahr był dla niego człowiekiem opatrnościowym - ale Stahr to jednocześnie zupełnie inna historia. Nazwisko jego oznaczało w przemyśle filmowym punkt zwrotny; podobnie jak Edisona, Lumière'a, Gitiffitha i Chaplina. Wyniósł film daleko poza zasięg i potęgę teatru, ustanawiając jego złotą erę, przed cenzurą.

Niezwykłej jego pozycji dowodził fakt, że był bez przerwy śledzony - chodziło nie tylko o poznanie wewnętrznych spraw wytwórni czy tajemnic stosowanych wynalazków; usiłowano rozszyfrować jego sposób wyczuwania gustów publiczności i przewidywania biegu wydarzeń. Obrona przed tymi zakusami pochłaniała wiele jego witalności. Musiał często działać w tajemnicy, uciekać się do podstępów, zwalniać tempo pracy - wskutek tego również trudno ją opisać jak taktykę dowodzącego generała, w której czynnik psychologiczny staje się tak nieuchwytny, że można podsumować tylko końcowe zwycięstwa i porażki. Postanowiłam jednak dać wam sposobność ujżenia Stahra w działaniu i niech intencja ta będzie moim usprawiedliwieniem. Część tego, co piszę, wzięłam z mego referatu na uczelni, pt. „Dzień pracy producenta”, część z własnej wyobraźni. Zwykle wydarzenia wymyśliłam prawie wszystkie sama, natomiast te bardziej niezwykle są prawdziwe.

Wczesnym rankiem następnego dnia po powodzi na balkonie budynku administracji, od strony ulicy, zjawił się jakiś człowiek. Sterczał tam przez pewien czas, potem - według słów naocznego świadka - wlaź na żelazną poręcz i rzucił się głową w dół, na chodnik. Złamał sobie rękę.

Kate Doolan, sekretarka Stahra, powiedziała mu o tym, gdy zadzwonił na nią o

dziewiątej. Spał w swoim biurze, ale nie słyszał zamieszania.

- Pete Zavras! Operator? - krzyknął.

- Zabrano go do ambulatorium. W prasie nic nie będzie.

- A niech to diabli! Wiedziałem, że zszedł na psy, tylko nie rozumiem dlaczego. Był w doskonałej formie, kiedy pracował dla nas dwa lata temu. Dlaczego tutaj przyszedł? Jak dostał się do wytwórni?

- Oszukał straż przy wejściu pokazując starą legitymację - powiedziała oschle Katarzyna Doolan. Trudno było wzruszyć tę kobietę. - Może trzęsienie ziemi tak na niego podziałało?

- Był najlepszym operatorem w całym mieście - powiedział Stahr. Nawet później, gdy dowiedział się o setkach ofiar w Long Beach, nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, jakie na nim zrobiła ta próba samobójstwa o świcie. Kazał sekretarce zbadać sprawę.

Zrobiło się już ciepło i z dyktografu popłynęły pierwsze poranne wiadomości. Goląc się pił kawę, rozmawiał i słuchał. Robby zostawił kartkę: „Jeśli pan Stahr będzie mnie potrzebował, proszę mu powiedzieć, że mam wszystko gdzieś i idę spać”. Jakiś aktor zachorował lub przynajmniej tak uważał; gubernator Kalifornii zamierzał przywieźć do wytwórni swoich gości; jednego z supervisorów „zdegradowano do stanowiska scenarzysty”, ponieważ zbił żonę z powodu złej kopii - te trzy sprawy powinien załatwić ojciec - chyba że chory aktor miał bezpośredni kontrakt ze Stahrem. W Kanadzie spadł nieoczekiwany śnieg, ekipa zdjęciowa była już na miejscu i Stahr przebiegając w pamięci scenariusz filmu zaczął gorączkowo zastanawiać się nad sposobem ratowania sytuacji. Nic. Stahr zadzwonił na Katarzynę Doolan.

- Chcę pomówić z policjantem, który wyprowadził wczoraj w nocy te dwie kobiety. Zdaje mi się, że nazywa się Malone.

- Dobrze, panie Stahr. Jest tutaj Joe Wyman... w sprawie spodni.

- Jak się masz, Joe! - powiedział Stahr. - Posłuchaj no, dwie osoby obecne na pokazie doniosły mi, że Morgan przez połowę filmu paraduje w nie dopiętych spodniach... Oczywiście przesadzają, ale wystarczy, jeżeli tak jest choćby przez dziesięć metrów... Nie, nie znajdziemy już tych osób, ale chcę, żebyś jeszcze raz ten film przejrzał i tak długo oglądał, aż znajdziesz to miejsce. Ściągnij, kogo możesz, do sali projekcyjnej, ktoś w końcu zauważy, gdzie to jest.

Tout passe. - L'art robuste

*seul a l'éternité**

- Czekaj również ten duński książę - powiedziała Katarzyna Doolan. - Bardzo przystojny - i odruchowo dodała: - jak na tak wysokiego mężczyznę.

- Dziękuję ci - powiedział Stahr - dziękuję, Katarzyno. Doceniam w całej pełni, że jestem tutaj najprzystojniejszym z mężczyzn niskiego wzrostu. Wypraw księcia na zwiedzanie wytwórni i powiedz mu, że zjemy razem lunch o pierwszej.

- Jest też pan George Boxley, wściekły, ale na sposób angielski.

- Zobaczę się z nim za dziesięć minut.

Gdy wychodziła, zapytał: - Czy Robby telefonował?

- Nie.

- Dowiedz się u dźwiękowców, czy się odezwał, a jeżeli tak, to zadzwoń do niego i spytaj... Spytaj go, czy może usłyszał nazwisko tej kobiety? Jednej albo drugiej. Albo cokolwiek, co może naprowadzić na ich ślad.

- Jeszcze coś?

- Nie, ale powiedz mu, że to ważne, póki jeszcze pamięta. Kim są? To znaczy, jakiego rodzaju to kobiety, spytaj. Może to...?

Nie patrząc na niego czekała z zapisaniem każdego słowa w notatniku.

- Och!... Skąd się tam wzięły? Może z teatru? Zresztą nieważne. Po prostu spytaj, czy nie orientuje się, jak je odnaleźć.

Policjant nazwiskiem Malane nie wiedział absolutnie nic. Dwie damulki. Może ręczyć, że dostały za swoje. Jedna się skaleczyła. Która? Jedna z nich. Miały samochód, chevroleta, chciał nawet zapisać numer. Czy to ta ładna skaleczyła się? Jedna z nich.

Nie wie, która, tego nie zauważył. Nawet tu w wytwórni nikt już Minny nie pamiętał. Po trzech latach. Trudno.

Stahr powitał uśmiechem pana George'a Boxleya. Wypracował sobie łaskawy, ojcowski uśmiech, jeszcze gdy jako młody człowiek znalazł się na wysokim stanowisku. Pierwotnie był to uśmiech respektu wobec starszych, potem, gdy umiejętnością błyskawicznej decyzji wyparł starszych, uśmiech miał ten fakt załagodzić - wreszcie stał się tym, czym był - uśmiechem bardzo uprzejmym, czasami trochę roztargnionym i znużonym, lecz zawsze obecnym - dla każdego, kto nie rozżłościł go w ciągu ostatniej godziny. A także dla każdego,

* Tout passe... (fr.) - Wszystko przemija. - Jedyne pełne sił sztuka opiera się przemijaniu (Theophile Gautier: „L'art”).

kogo nie chciał urazić albo otwarcie i celowo obrazić.

Pan Boxley nie odpowiedział mu uśmiechem. Wszedł jakby siłą wepchnięty, chociaż nikt go nawet nie musnął ręką. Stał przed krzesłem i znowu mogłoby się zdawać, że dwaj niewidzialni asystenci chwycili go za ramiona i posadzili przemocą w fotelu. Minę miał ponurą. Nawet gdy zachęcony przez Stahra zapalił papierosa, czuło się, że z pogardą i z odrazą traktuje wrogie moce, które podsuwają mu zapałkę.

- Czy jest pan z czegoś niezadowolony? - Stahr spojrział na niego z uprzejmym wyrazem twarzy.

Pisarz odpowiedział mu spojrzeniem, które oznaczało ciszę przed burzą.

- Przeczytałem pański list - ciągnął dalej Stahr, porzucając ton miłego, młodego nauczyciela. Mówił teraz jak do równego sobie, z wyczuwalnym odcieniem wzajemnego poszanowania.

- Czekam, kiedy ukaze się na papierze to, co piszę - wybuchnął Boxley. - Wszyscy są bardzo przyzwoici, a jednocześnie czuję tu jakiś spisek. Dał mi pan tych dwóch pismaków, słuchają mnie, potem psują moje pomysły. Odnoszę wrażenie, że dysponują słownikiem składającym się ze stu słów, nie więcej.

- Dlaczego pan sam tego nie napisze? - spytał Stahr.

- Jak to? Przysłałem panu kilka scen.

- Ale to tylko dialog - odparł łagodnie Stahr. - Interesujący dialog, lecz nic poza tym.

Teraz dwaj niewidzialni asystenci tylko najwyższym wysiłkiem zdołali zatrzymać Boxleya w fotelu. Próbował wstać; warknął cicho - miało to oznaczać śmiech, lecz wcale nie wesoły.

- Czy tu w ogóle ktoś czyta, co człowiek napisze! - powiedział wreszcie. - Ci dwaj pojedynkują się w czasie rozmowy. W końcu jeden z nich wpada do studni i trzeba go stamtąd wyciągać wiadrem.

Warknął znowu i uspokoił się.

- Napisałby pan taką scenę w którejkolwiek ze swoich książek, panie Boxley?

- Co takiego?! Oczywiście, że nie!

- Wydaje się to panu zbyt tanie?

- Wymagania filmu są odmienne - odparł Boxley z rezerwą.

- Chodzi pan czasem do kina?

- Nie. Prawie nigdy.

- Czy dlatego, że w filmie wciąż się pojedynkują i wpadają do studni?

- Tak... i do tego mówią niewiarygodne bzdury z nienaturalnym wyrazem twarzy.

- Pomińmy dialog przez chwilę - odparł Stahr. - Zgadzam się, że pański dialog ma więcej wdzięku od tego, co tamci dwaj potrafili napisać. Dlatego właśnie ściągnęliśmy pana tutaj. Lecz wyobraźmy sobie coś, co nie jest ani złym dialogiem, ani skakaniem do studni. Czy w pańskim gabinecie jest piecyk, który można zapalić zapałką?

- Chyba tak - odparł sztywno Boxley - ale nigdy tego nie robię.

- Przypuśćmy, że jest pan w tej chwili u siebie. Pojedykował się pan albo pisał przez cały dzień i jest pan zbyt zmęczony, aby walczyć czy pisać nadal. Siedzi pan patrząc przed siebie tępo - jak to się nam wszystkim czasem zdarza. Ta ładna sekretarka, którą pan widział wchodząc tutaj, zjawia się w pańskim pokoju, pan przypatruje jej się leniwie. Ona pana nie dostrzega, chociaż jest pan bardzo blisko niej. Zdejmuje rękawiczki, otwiera torebkę i wysypuje jej zawartość na stół.

Stahr wstał i rzucił na biurko klucze.

- Ma tam dwie srebrne dziesięciocentówki i pięć centów, i pudełko zapałek. Zostawia na biurku pięć centów, dwie dziesięciocentówki chowa z powrotem do portmonetki. Klęka i ostatnią zapałką z pudełka zamierza zapalić piecyk. Nagle silny podmuch wiatru uderzył w okno i w tej samej chwili dzwoni telefon. Dziewczyna podnosi słuchawkę, mówi: „Halo”, słucha, a potem powoli odpowiada: „Nigdy w życiu nie miałam czarnych rękawiczek”. Odwiesza słuchawkę, klęka znowu przy piecu; w momencie gdy zapala zapałkę, pan ogląda się nagle i spostrzega jakiegoś mężczyznę, który śledzi każdy ruch dziewczyny, nie spuszczając z niej oka.

Stahr zamilkł. Wziął klucze i włożył je do kieszeni.

- Niech pan mówi - rzekł Boxley z uśmiechem. - Co dalej?

- Nie wiem - odpowiedział Stahr. - Wymyślam historyjkę, nic więcej.

Boxley wyczuł w tym rodzaj zarzutu.

- Zwyczajny melodramat - powiedział.

- Niekoniecznie - odrzekł Stahr. - W każdym razie nikt nie skacze jak wariat, nie gada bzdur, nie robi grymasów. I tylko niedobra kwestia, którą taki pisarz jak pan mógłby poprawić. Ale słuchał pan z ciekawością.

- A na co było tych pięć centów? - spytał wymijająco Boxley.

- Nie wiem - rzekł Stahr. Roześmiał się nagle. - Ależ tak, na bilet do kina.

Dwaj niewidzialni asystenci jakby rozluźnili swój uścisk. Boxley odprężył się, rozparł się w fotelu wygodnie i wybuchnął śmiechem.

- Właściwie za co mi pan płaci? - spytał. - Zupełnie nie rozumiem, na czym polega ta przekłeta robota!

- Ale zrozumie pan - odrzekł Stahr szczerząc zęby - bo inaczej nie zapytałby pan o tę pięć centów.

Ciemnowłosa mężczyzna o oczach wielkich jak pięści czekał w sekretariacie na ich wyjście.

- Panie Boxley, to jest Mike Van Dyke - powiedział Stahr. - O co chodzi, Mike?

- O nic - odpowiedział Mike. - Wpadłem, żeby zobaczyć, czy żyjesz.

- Dlaczego nic nie robisz - spytał Stahr. - Już dawno nie miałem się z kogo śmiać na przeglądzie.

- Boję się rozstroju nerwowego.

- Uważaj, żebyś nie stracił formy - odpowiedział mu Stahr. - Zaprezentuj nam coś ze swego repertuaru, - Odwrócił się do Boxleya. - Mike jest naszym gagmenem. Byłem jeszcze w kołysce, kiedy on już grał w filmie. Mike, zaprezentuj panu Boxleyowi podwójne skrzydło, zwanie, kopniak i wrzask.

- Tutaj? - spytał Mike.

- Tutaj.

- Mało miejsca. Chciałem cię o coś zapytać...

- Miejsca jest dość.

- Trudno - rozejrzał się badawczo. - Ty strzelasz.

Katy, asystentka panny Doolan, wzięła papierową torbę i nadmuchała ją powietrzem.

- To był kiedyś nasz numer w wytwórni Keystone - powiedział Mike do Boxleya. - Czy on wie, o co chodzi? - spytał Stahra.

- To taka mała scenka - rzekł Stahr. - „Georgie Jessel przedstawia zajęcia Lincolna w Gettysburgu”.

Katy przytknęła do ust zwinięty koniec nadmuchanej torebki. Mike stał odwrócony do niej tyłem.

- Gotowy? - spytała Katy. Uderzyła dłońmi w torebkę i w tej samej chwili Mike podskoczył w miejscu, obiema rękami chwycił się za zadek, runął na podłogę wysuwając do przodu najpierw jedną, potem drugą nogę i leżał bijąc rękami w powietrzu jak ptak skrzydłami...

- Podwójne skrzydła - objaśnił Stahr.

... a potem wybiegł przez ruchome drzwi, które goniec dla niego otworzył, i zniknął za oknem balkonu.

- Panie Stahr - powiedziała panna Odolan - pan Hanson przy telefonie, dzwoni z Nowego Jorku.

Gdy dziesięć minut później zadzwieczał dyktograf Stahra, panna Doolan weszła do pokoju i oznajmiła, że pan Rodriquez czeka w sekretariacie na rozmowę.

- Powiedz mu, że wyszedłem przez balkon - poradził jej Stahr.

- Dobrze. Przychodzi już czwarty raz w tym tygodniu. Robi wrażenie, że coś mu jest.

- Czy powiedział, czego chce? Może pan Brady to załatwi?

- Nic nie powiedział. Zbliży się godzina posiedzenia. Panna Maloney i pan White już czekają. Pan Broaca jest obok, w biurze u pana Reinmunda.

- Przyślij mi pana Rodriqueza - zdecydował Stahr. - I powiedz mu, że mam dla niego tylko jedną minutę czasu.

Stahr przywitał przystojnego aktora.

- Cóż to za pilna sprawa, że nie może poczekać? - zapytał pogodnie.

Aktor odczekał, aż sekretarka wyjdzie z pokoju.

- Monroe, jestem skończony - oświadczył. - Musiałem się z tobą zobaczyć.

- Skończony! Czy czytałeś „Variety”? Twój film nie schodzi z ekranu w Roxy, a w Chicago przyniósł w ciągu tygodnia trzydzieści siedem tysięcy dochodu!

- To właśnie jest najgorsze. To tragedia! Wszystko, czego pragnąłem, przychodzi w momencie, kiedy już nie ma znaczenia.

- Mów dalej, bo nie rozumiem.

- Między mną i Esterą wszystko skończone. Na zawsze.

- Kłótnia?

- Ach nie, gorzej! Nie mam odwagi mówić o tym. W głowie mi się kręci. Chodzę jak oszalały. Gram moją rolę jak we śnie.

- Nie zauważyłem tego - powiedział Stahr. - Byłeś wspaniały w tych scenach, które wczoraj oglądaliśmy.

- Doprawdy? To tylko dowód, że nikt z was nigdy niczego się nie domyśla.

- Co chcesz powiedzieć? Że rozchodzicie się z Esterą?

- Sądzę, że dojdzie do rozwodu. Tak, to nieuniknione, z całą pewnością.

- Co się stało? - spytał niecierpliwie Stahr. - Czy weszła bez pukania?

- Ach nie, nie mam nikogo. To tylko ja... Skończyłem się.

Stahr nagle zrozumiał. - Skąd wiesz?

- To jest oczywiste od sześciu tygodni.

- Imaginacja - powiedział. - Byłeś u doktora?

Aktor przytaknął.

- Próbowałem wszystkiego. Kiedyś... z rozpaczy... poszedłem nawet do... do Claris.

Bez powodzenia. Skończyłem się. Koniec. Kłapa.

Stahrowi przysłała do głowy ponętna myśl, by dla kawału posłać aktora do Brady'ego, który załatwiał sprawy z instytucjami. Lecz Claris to mimo wszystko nie instytucja. Odwrócił się na chwilę, by opanować twarz, i znów spojrzał na Rodriqueza.

- Byłem u Pata Brady'ego - powiedział gwiazdor, jakby odgadując jego myśli. - Dał mi mnóstwo głupich rad, wypróbowałem wszystkie, nic nie pomaga. Siedzimy naprzeciwko siebie przy kolacji, Estera i ja, i wstydę się spojrzeć jej w twarz. Zachowuje się wspaniale, ale ja umieram ze wstydu. „Wstydę się przez cały dzień. Staram się myśleć o „Deszczowym dniu”, który dał czystego zysku dwadzieścia pięć tysięcy w Des Moines i pobił wszystkie rekordy w Kansas City. Stosy listów od moich wielbicieli rosną, a ja boję się wieczorem wracać do domu, boję się kłaść do łóżka.

Stahr słuchał tego z rosnącym przygnębieniem. Kiedy aktor wszedł, miał ochotę zaprosić go na cocktail, lecz teraz wydało mu się to niestosowne. Na co mu cocktaile, na co mu przyjęcia, gdy nosi w sobie taki problem? Oczami wyobraźni zobaczył go wędrującego od osoby do osoby z kieliszkiem w ręku i czystym zyskiem sięgającym dwudziestu siedmiu tysięcy.

- Przyszedłem więc do ciebie, Monroe. Nie było jeszcze takiej sytuacji, z której nie znalazłbyś wyjścia. Powiedziałem sobie, zapytam go, nawet jeżeli mi powie, żebym się zabił.

Na biurku zadzwieczał dzwonek. Stahr otworzył dyktograf i usłyszał głos panny Doolan: - Już pięć minut, proszę pana.

- Trudno - odpowiedział - ale zajmie to jeszcze parę minut.

- Pięćset uczennic przemaszerowało pod moim domem - ponuro ciągnął aktor - patrzyłem na to ukryty za firanką i nie miałem odwagi wyjść.

- Siadaj - powiedział Stahr. - Pomówmy spokojnie, bez pośpiechu.

W sekretariacie czekali już od dziesięciu minut Wylie White i Jane Maloney. Jane była wychudzoną, pięćdziesięcioletnią blondynką, o której w Hollywoodzie krążyło pięćdziesiąt najróżniejszych opinii: „sentymentalna idiotka”, „mistrz dramaturgii”, „weteranka”, „największa spryciarka w całej wytwórni”, „plagiatorka nr I amerykańskiego filmu”, na dodatek pomawiano ją, oczywiście, zarówno o nimfomanię, jak i o to, że jest dziewczicą, że się puszcza, że jest lesbijką i że była wierną żoną. Jak większość kobiet, które zrobiły karierę o własnych siłach, miała w sobie wiele ze starej panny, choć nią nie była. Cierpiała na wrzód żołądka i zarabiała ponad sto tysięcy rocznie. Można by napisać bardzo długi traktat na temat, czy warta była tyle, czy więcej, czy w ogóle nic. Wartość jej wynikała z cech u kobiet pospolitych, umiała się przystosować, była szybka, godna zaufania,

pozbawiona egotyzmu i znała „zasady gry”. Serdeczna przyjaźń łączyła ją z Minną i Stahr po wielu latach zdołał jakoś przezwyciężyć uczucie fizycznej odrazy, które w nim budziła.

Czekała wraz z Wylie w milczeniu - rzucając raz po raz jakieś uwagi pod adresem panny Doolan. Supervisor Reinmund, czekający wraz z reżyserem Broacą u siebie, dzwonił co chwila. Gdy po dziesięciu minutach Stahr dał sygnał, panna Doolan wezwała ich natychmiast; jednocześnie Stahr wyszedł ze swego gabinetu trzymając aktora pod ramię. Rodriquez był w takim napięciu, że gdy Wylie White spytał go o zdrowie, otworzył usta i od razu zaczął swoją opowieść: - Och, okropnie się czuję... - lecz Stahr przerwał mu ostro.

- Nieprawda, nic podobnego. A teraz idź i zagraj tę rolę tak, jak ci powiedziałem.

- Dziękuję, Monroe.

Jane Maloney milcząc odprowadziła go wzrokiem.

- Skarżył się, że muchy na nim siadają? - spytała; tak mówiono o aktorze, gdy koniecznie chciał zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam bardzo, że kazałem wam czekać - powiedział Stahr. - Proszę, wejdźcie.

Było już południe, żadna konferencja nie miała prawa zabrać więcej niż godzinę. Nie mniej - i nikt nie mógł jej przerwać prócz reżysera, który wstrzymał zdjęcia na hali - i rzadko więcej, ponieważ przedsiębiorstwo musiało co osiem dni zakończyć produkcję filmu, i to tak złożoną i kosztowną, jak produkcja „Cudu” Reinhardta.

Niekiedy, lecz już nie tak często jak przed pięciu laty, Stahr potrafił pracować przez całą noc nad jednym filmem. Lecz po takim zrywie źle się czuł przez parę dni. Gdy mógł przetrząść się od jednego problemu do drugiego, sam fakt zmiany przywracał mu siły. Stąd jego psychiczny chronometr raz na zawsze nastawiony był tylko na jedną godzinę - ten sam mechanizm u innych ludzi sprawia, że potrafią obudzić się o dowolnej porze.

Broaca wyglądał na inżyniera - duży, opanowany, spokojny, lecz stanowczy, powszechnie lubiany. Był ignorantem i Stahr często łapał go na powtarzaniu ogranych chwytów - scena z młodą bogatą dziewczyną pojawiała się w każdym jego filmie i miała ten sam układ, tę samą treść. Do pokoju wpada parę wielkich psów i skacze dokoła dziewczyny. Następnie dziewczyna idzie do stajni i klepie konia po zadzie. Być może nie należało tego tłumaczyć Freudem: prawdopodobnie Broaca w jakimś bezbarwnym okresie swojej młodości ujrzał przez parkan piękną dziewczynę wśród psów i koni i obraz ten wyrzył się w jego świadomości jako symbol szczęścia i luksusu.

Reinmund, młody przystojny karierowicz, posiadał niezłe wykształcenie i kiedyś nawet miał zasady, ale szczególna pozycja, jaką zajmował, dzień po dniu zmuszała go do lawirowania i w końcu zepchnęła na krętą ścieżkę. Zrobił się z niego łajdak - jak to z ludźmi

bywa - i mając lat trzydzieści był kompletnie pozbawiony tych wszystkich cnót, które nasza inteligencja, zarówno amerykańska jak i żydowska, nauczyła się podziwiać i szanować. Lecz filmy robił w terminie i manifestując niemal homoseksualne oczarowanie osobą Stahra umiał uspić jego czujność. Stahr lubił go, uważał za świetnego pracownika i człowieka bardzo wszechstronnego.

Wylie White w każdym innym kraju dałby się poznać jako intelektualista, oczywiście drugiej klasy. Był uprzejmy i pełen swady, prosty i jednocześnie bystry, trochę nieprzytomny, trochę ponury. Uczucie zawiści wobec Stahra zdradzał tylko spojrzeniem, gdy się zapomniał, poza tym miał dla niego wiele podziwu, a nawet uwielbienia.

- Za dwa tygodnie od tej soboty zaczynamy produkcję - rzekł Stahr. - Sądzę, że w zasadzie niczego nie można temu scenariuszowi zarzucić, bardzo zyskał na poprawkach.

Reinmund i scenarzyści pogratulowali sobie spojrzeniami.

- Z wyjątkiem jednej rzeczy - dodał Stahr z namysłem. - Nie widzę powodu, dlaczego w ogóle mielibyśmy to kręcić i postanowiłem zrezygnować z produkcji.

Nastąpiła chwila ciszy, pełnej zaskoczenia, a potem szmer zdumienia, pytań i stłumionych protestów.

- To nie wasza wina - ciągnął dalej Stahr. - Myślałem, że w tym coś jest, ale nie ma, to wszystko. - Zawahał się, patrząc z żalem na Reinmunda. - Wielka szkoda. Bo to była dobra sztuka. Zapłaciliśmy za nią pięćdziesiąt tysięcy.

- O co chodzi, Monroe? - spytał Broaca tępo.

- Wiesz, chyba nawet nie warto się nad tym zastanawiać.

Reinmund i Wylie White jednocześnie pomyśleli, jak to się odbije na ich karierze zawodowej. Reinmund miał na swoim koncie już dwa filmy w tym roku, lecz Wylie White po powrocie do wytwórni musiał wykazać się sukcesem. Jane Maloney świdrowała Stahra małymi, głęboko zapadniętymi oczami.

- Czy nie mógłbyś dać nam jakichś wskazówek? - spytał Reinmund. - Ostatecznie jest to dla nas duży cios, Monroe.

- Nie obsadzałbym w tej roli Margaret Sullivan - odpowiedział Stahr. - Ani Colmana, Nawet bym nie radził im grać w tym...

- Mówiąc jasno, Monroe - przerwał Wylie White - co ci się nie podoba? Sceny? Dialog? Humor? Konstrukcja?

Stahr wziął z biurka scenopis i upuścił go z powrotem, jak rzecz zbyt ciężką dla jego ręki.

- Nie podobają mi się ci ludzie - odpowiedział. - Nie chciałbym ich spotkać, a gdybym

wiedział, dokąd idą, na pewno poszedłbym w drugą stronę.

Reinmund uśmiechnął się, lecz w oczach miał niepokój.

- No cóż, to mocny argument. Myślałem, że postacie są raczej interesujące.

- Ja tak samo - powiedział Broaca. - Wydawało mi się, że Em jest bardzo sympatyczna.

- Doprawdy? - spytał ostro Stahr. - A mnie trudno uwierzyć, że to żywa osoba. Dojechałem do końca i zadałem sobie pytanie: no i co z tego?

- Na pewno da się coś zrobić - powiedział Reinmund. - Oczywiście jest nam bardzo przykro, ale tę wersję wszyscy zgodnie przyjęliśmy...

- Tu nie chodzi o samą fabułę - odpowiedział mu Stahr. - Mówiłem ci już wiele razy, że wybieram przede wszystkim temat. Z chwilą gdy to jest zdecydowane, możemy zmienić wszystko, każdą kwestię w dialogu, całe sceny, lecz zawsze w oznaczonym kierunku. Tymczasem to nie jest to, co chcę mieć. Kupiliśmy sztukę pełną blasku i ciepła, i ludzkiego szczęścia. A tu są tylko wątpliwości i wahania. Nasza para bohaterów przestaje się kochać z powodu głupstwa, potem znowu zaczyna się kochać - i znowu z powodu głupstwa. Już po pierwszej sekwencji jest ci obojętne, czy się w ogóle jeszcze spotkają, czy nie.

- To mój błąd - rzekł nagle Wylie. - Widzisz, Monroe, wydaje mi się, że dziś żadna sekretarka nie potrafi już tak uwielbiać swego szefa, jak to bywało przed kryzysem. Potem dostawały już wymówienia, widziały, jak szef portkami trzęsie. Świat się zmienił, to wszystko. Stahr rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie i skwitował jego słowa krótkim kiwnięciem głowy.

- Nie na ten temat dyskutujemy w tej chwili - powiedział. - Punktem wyjścia jest fakt, że dziewczyna uwielbiała ślepo swego szefa, jeśli już mamy to tak nazwać. I nie mamy żadnego dowodu, że kiedykolwiek trząśł portkami. Jeżeli każecie jej wątpić w niego, z takiego czy innego powodu, to zrobi się zupełnie inna historia. Albo raczej - żadna. Musi być jasne, że to natury proste, nie ukrywające swoich uczuć. Nie chcę tu żadnych kompleksów, zahamowań. Kiedy będę miał ochotę zrobić coś w stylu O'Neilla, to kupię sztukę O'Neilla.

Jane Maloney, która ani na chwilę nie spuszczała wzroku ze Stahra, wiedziała już, że wszystko będzie dobrze. Gdyby rzeczywiście zamierzał poniechać produkcji tego filmu, nigdy w świecie nie zaatakowałby w taki sposób. Dostatecznie długo już tu była, dłużej od niej był tylko Broaca, z którym miała trzydniowy romans przed dwudziestu laty.

Stahr zwrócił się do Reinmunda:

- Sama obsada, Reiny, powinna ci była wskazać, jakiego rodzaju filmu oczekuję. Zaczęłem podkreślać w scenariuszu te kwestie, których Corliss i McKelway nie potrafiliby

powiedzieć, ale zmęczyłem się. Zapamiętajcie to sobie na przyszłość - jeżeli żądam limuzyny, to chcę mieć limuzynę. I najszybszy na świecie małowitrazowy wóz wyścigowy nie załatwi sprawy. A teraz - rozejrzył się dokoła - czy mamy jechać dalej? Teraz, gdy powiedziałem wam, że nawet rodzaj filmu, który mi proponujecie, nie podoba mi się? Czy mamy dalej nad tym pracować? Pozostały nam dwa tygodnie. Po tym terminie dam Corlissa i McKelwaya do czegoś innego. Więc czy warto?

- Oczywiście - odpowiedział Reinmund - że warto, przynajmniej ja tak uważam. Czuję się trochę nie w porządku. Powinienem był ostrzec Wyliego. Ale moim zdaniem miał parę dobrych pomysłów.

- Monroe ma rację - odparł Broaca tępo. - Przez cały czas czułem, że to niedobre, ale cóż, mnie nie wolno się do niczego wtrącać.

Wylie i Rose spojrzeli na niego z pogardą, potem wymienili spojrzenia.

- A co na to scenarzyści? Czy potraficie zabrać się do tego z nowym zapalem? - spytał Stahr dość łaskawie. - Czy mam to dać komuś innemu?

- Ja bym chętnie spróbował jeszcze raz - przyznał Wylie.

- A ty, Jane?

Jane szybko kiwnęła głową.

- Co myślicie o dziewczynie? - spytał Stahr.

- No cóż, jestem oczywiście za nią.

- Lepiej o tym zapomnij - ostrzegł go Stahr. - Zostanie potępiona przez dziesięć milionów Amerykanów. Macie godzinę i dwadzieścia pięć minut, a przez jedną trzecią tego czasu pokazujecie kobietę, która jest niewierna, co w sumie sprawi wrażenie, że w jednej trzeciej jest dziwką.

- Czy to tak dużo? - spytała niewinnie Jane i wszyscy się roześmieli.

- Dla mnie - powiedział Stahr z namysłem - to dużo, nawet jeśli u Haysa myślą inaczej. Gdybyście wymalowali jej na plecach szkarłatną literę, to w porządku, bo to już będzie inne opowiadanie. Zupełnie inne. Nam chodzi tu o przyszłą żonę i matkę. A tyle w niej... tyle w niej... - skierował ołówek na Wyliego White'a - uczucia i namiętności, co w tym Oskarze na moim biurku.

- Co ty mówisz? Przecież ta dziewczyna kipi namiętnością. Kiedy idzie do...

- To rozwiążność - odpowiedział Stahr - nic więcej. W sztuce jest jedna scena lepsza od wszystkich waszych wycopin i właśnie tę scenę wyrzuciliście. Scena z zegarkiem, który chce przestawić, żeby czas szybciej minął.

- Jakoś nie pasowała nam - usprawiedliwił się Wylie.

- Jeśli chodzi o mnie - rzekł Stahr - to mam chyba z pięćdziesiąt pomysłów. Zaraz zawołam Kate. - Nacisnął dzwonek. - A jeżeli czegoś nie zrozumiecie, proszę pytać.

Kate Doolan wsunęła się do gabinetu niemal niepostrzeżenie. Chodząc szybkim krokiem po pokoju Stahr zaczął: - przede wszystkim chce im wyjaśnić, jakiego rodzaju to dziewczyna - to znaczy, jaki typ dziewczyny on aprobeuje. Idealna, parę drobnych wad, jak w sztuce, lecz zasadniczo absolutna doskonałość, nie dlatego, że publiczność to lubi, lecz dlatego, że taką właśnie dziewczynę, on, Stahr, chce widzieć w tego rodzaju filmie. Czy to jasne? To nie jest postać charakterystyczna. Musi reprezentować zdrowie, witalność, ambicję i uczucie. Wagę tej sztuce nadaje wyłącznie sytuacja, w jakiej dziewczyna się znalazła. Ma w ręku tajemnicę, od której zależą losy wielu ludzi, to jest jej problem. Może postąpić dobrze albo źle, na początku nie wiadomo, jakie wyjście jest słuszne, lecz kiedy już wiadomo - dziewczyna dokonuje słusznego wyboru. Tak powinno to wyglądać - subtelna, moralnie czysta i pełna blasku historia. Nie budząca w nikim wątpliwości.

- Nigdy w życiu nie słyszała słowa „bezrobocie” - dodał z westchnieniem. - Może być rok 1929. Czy teraz jasne, jaką chcę mieć dziewczynę?

- Jasne.

- A teraz o tym, jak się zachowuje - powiedział Stahr. - W każdej chwili, w każdej sytuacji ekranowej, gdy ją mamy w polu widzenia, marzy tylko o jednym: żeby przespać się z Kenem Willardem. Czy to jasne, Wylie?

- Jasne jak cholera.

- Cokolwiek robi, robi dlatego, bo nie może spać z Kenem Willardem. Kiedy idzie ulicą, to tak, jakby szła przespać się z Kenem Willardem. Kiedy je, to po to, żeby mieć się spać z Kenem Willardem. Jednakże... ani na moment nie może sprawiać wrażenia, że zgodziłaby się spać z Kenem Willardem bez świętego sakramentu małżeństwa. Aż mi wstyd przypominać to, co wiedzą już dzieci w przedszkolu, ale dziwnie jakoś nie znalazło to odbicia w waszym scenariuszu.

Otworzył skrypt i zaczął rozprawiać się z nim strona po stronie. To, co notowała panna Doolan, będzie przepisane na maszynie w pięciu egzemplarzach, dla każdego po jednym, lecz Jane Maloney notowała również na własną rękę. Broaca zakrył rękoma współprzymknięte oczy - pamiętał czasy, kiedy reżyser był tu „kimś”; kiedy do scenariusza brało się gagmenów albo gorliwych, nieśmiałych, młodych reporterów, zalatujących alkoholem i reżyser był wszystkim. Żadnych supervisorów - żadnego Stahra.

Ocknął się, słysząc swoje imię.

- Dobrze by było, John, gdybyś mógł chłopca umieścić na spadzistym dachu i kazał

mu chodzić tam i z powrotem i żeby tak go wzięła kamera. Stworzyłbyś pożądany nastrój... nie niebezpieczeństwa, nie napięcia, nic wyraźnego... po prostu dziecko na dachu, wczesnym rankiem.

Nieobecny myślami Broaca powrócił do rzeczywistości.

- W porządku - rzekł - element niebezpieczeństwa.

- Niezupełnie - rzekł Stahr. - Przecież on z tego dachu nie zleci. Na tym chłopcu przejdiesz od razu do następnej sceny.

- Przez okno - zaproponowała Jane Maloney. - On może wejść przez okno do swojej siostry.

- To dobre przejście - powiedział Stahr - bezpośrednio do sceny z pamiętnikiem...

Broaca zapalił się.

- Najpierw wziąłbym go z dołu... potem niech odejdzie od kamery, kamera w miejscu, nie rusza się. Weźcie go jeszcze raz w zbliżeniu i znowu niech odejdzie. Duży plan - na cały dach i na niebo, chłopak w tle. - Podobało mu się takie ujęcie, czuło się w nim reżysera, wielka już dzisiaj rzadkość w scenopisach. Można by użyć dźwigu - tańsze to w rezultacie niż budowanie dachu na ziemi ze sztucznym niebem. Wiadomo było, że Stahr nie znosił pleneru. Broaca zbyt długo pracował z Żydami, aby wierzyć w legendę, że liczą każdy grosz. - W trzeciej sekwencji niech uderzy księdza - powiedział Stahr.

- Co takiego? - krzyknął Wylie, - Chcesz mieć na karku wszystkich katolików?

- Rozmawiałem z Joe Brenem. Księża bywają bici. To nie uwłacza ich godności.

Spokojnym głosem ciągnął dalej i przerwał nagle, gdy panna Doolan spojrzała na zegarek.

- Czy nie za dużo dla was? - spytał Wyliego. - Musicie to zrobić do poniedziałku.

Wylie i Jane spojrzeli na siebie bez słowa. Wylie widział już w myślach weekend spędzony na pracy zamiast wypoczynku, lecz był teraz innym człowiekiem niż przed godziną, gdy wchodził do tego pokoju. Jeśli człowiekowi płacą tysiąc pięćset dolarów tygodniowo, praca nawet w nocy, gdy trzeba, nie jest rzeczą straszną. Kiedy pracował nie związany kontraktem, potrafił zaniedbywać się, lecz tutaj sam Stahr pilnował wszystkiego. Odczuwało się to nie tylko w jego gabinecie, ale w całej wytwórni. Wylie nagle poczuł się potrzebny. Zdrowy rozsądek i rozumna wrażliwość, bogactwo pomysłów i swoiste, dość naiwne pojęcie wspólnego dobra, do którego Stahr w swym przemówieniu zaapelował, wszystko to natchnęło scenarzystę do pracy, do dołożenia własnej cegiełki, nawet jeśli wysiłek byłby daremny, a rezultat nudny jak piramida egipska.

Jane Maloney patrzyła przez okno na ludzi stojących w ogonku do kantyny. Zje lunch

w swoim pokoju, a zanim go przyniosą, zrobi na drutach kilka rzędów. O pierwszej piętnaście przyjdzie ten człowiek z francuskimi perfumami - szmugiel z Meksyku. Żaden grzech, inny rodzaj prohibicji.

Broaca obserwował Reinmunda, który łaślił się jak pies do Stahra. Czuł, że ten facet pnie się w górę. Dostawał siedemset pięćdziesiąt tygodniowo za swój częściowy nadzór nad reżyserami, scenarzystami i aktorami, którzy zarabiali o wiele więcej od niego. Nosił takie angielskie buty, kupione blisko Beverly Wilshire i Broaca miał nadzieję, że są bardzo niewygodne, lecz niebawem, zacznie sobie zamawiać buty u Peela i pozbędzie się swego małego zielonego kapelusika z piórkiem. Broaca wyprzedził go o całe lata, pięknie się spisał w czasie wojny, a mimo to w głębi duszy przestał być sobą na zawsze, gdy dostał od Ike'a Franklina po twarzy.

Pokój był pełen dymu i w kłębach tego dymu siedzący za wielkim biurkiem Stahr jakby się cofał coraz dalej i dalej słuchając z wielką uprzejmością na przemian to Reinmunda, to panny Doolan. Konferencja była skończona.

(W planie powieści kolej teraz na rozmowę Stahra z duńskim księciem Agge, który „pragnął wiedzieć od a do zet, jak się robi filmy”; w spisie osób określony jest przez autora jako „początkujący faszysta”).

- Pan Marcus dzwoni z Nowego Jorku - powiedziała panna Doolan.

- Co to znaczy? - spytał Stahr. - Przecież widziałem go tutaj wczoraj wieczorem.

- Nie wiem, w każdym razie dzwoni. To telefon z Nowego Jorku i słyszę głos panny Jacobs. Jego biuro.

Stahr roześmiał się.

- Mam jeść z nim lunch tutaj, nie w Nowym Jorku - powiedział. - Żadnym samolotem nie zdążyłby przylecieć.

Panna Doolan powróciła do telefonu. Stahr czekał na wyjaśnienie.

- Wszystko w porządku - powiedziała po chwili. - To była pomyłka. - Pan Marcus dzwonił do Nowego Jorku dzisiaj rano, żeby opowiedzieć o trzęsieniu ziemi i powodzi w wytwórni i zdaje się, że kazał im również pana o to zapytać. Nowa sekretarka musiała go źle zrozumieć. I wszystko przekręciła.

- Mnie się też tak zdaje - odparł zgryźliwie Stahr.

Księżę Agge nie zrozumiał ani słowa, lecz nastawiony na poszukiwanie niezwykłości czuł, że chodzi o coś szalenie amerykańskiego. Pan Marcus, którego siedzibę widać było po drugiej stronie ulicy, dzwonił do swego biura w Nowym Jorku, aby tą drogą zapytać Stahra o

powódź. Książę wyobraził sobie jakiś niezwykle skomplikowany manewr, nie zdając sobie sprawy, że dokonał się on tylko w umyśle pana Marcusa, niegdyś ciętym i błyskotliwym, lecz dziś już powoli wypowiadającym posłuszeństwo.

- To musi być istotnie zupełnie nowa sekretarka - powtórzył Stahr. - Jeszcze coś?

- Dzwonił pan Robinson - powiedziała panna Doolan wybierając się już do kantyny. - Jedna z tych kobiet powiedziała mu swoje nazwisko, ale zapomniał - Smith albo Brown, albo Jones, tak mu się zdaje.

- Rzeczywiście wielka pomoc!

- Pamięta też, jak mówiła, że niedawno przeniosła się do Los Angeles.

- A ja pamiętam, że miała srebrny pasek - powiedział Stahr - wycięty w gwiazdy.

- Próbuję nadal dowiedzieć się czegoś o Pete Zavrasie. Rozmawiałam z jego żoną.

- Co powiedziała?

- Och, było im bardzo ciężko. Musieli sprzedać dom... ona choruje.

- Czy te kłopoty z oczami to beznadziejna sprawa?

- Wygląda na to, że ona nic o tym nie wie. Wcale nie wiedziała, że grozi mu ślepotą.

- To dziwne.

Rozmyślał o tym idąc na lunch, lecz była to historia równie kłopotliwa i żenująca jak z Rodriquezem, który wpadł do niego rano. Cudze choroby to nie jego specjalność - nawet o własnym zdrowiu nigdy nie myślał. Spoza budynku wytwórni wytoczył się na ścieżkę wiodącą do kantyny otwarty wózek akumulatorowy zapchany dziewczętami w barwnych kostiumach Regencji; odsunął się, żeby go przepuścić. Suknie powiewały na wietrze, młode, wymalowane twarze zwracały się ku niemu ciekawie, gdy mijał je z uśmiechem.

Jedenastu panów i ich gość, książę Agge, zasiadło do lunchu w prywatnej jadalni przylegającej do kantyny. Ludzie ci mieli pieniądze, mieli władzę, i gdyby nie obecność gościa, jedliby w milczeniu, z rzadka przerywając ciszę pytaniem o żonę i dzieci lub jakąś luźną uwagą. Ośmiu z nich było Żydami, połowa urodziła się za granicą, licząc w tym jednego Greka i jednego Anglika; wszyscy znali się już od dawna; istniała w tej grupie hierarchia, począwszy od starego Marcusa, skończywszy na Leanbaumie, który miał największy pakiet akcji, ale za to nie wolno mu było wydać na produkcję więcej niż milion rocznie.

Stary Marcus wciąż jeszcze funkcjonował z niepokojącą sprężystością. Jakiś nie słabnący instynkt ostrzegał go o niebezpieczeństwie, o zmowach i spiskach - najgroźniejszy był, gdy inni sądzili, że już go mają. Jego szara twarz znieruchomiła do tego stopnia, że

nawet ci, co przywykli śledzić znany im refleks w lewym kąciku oka, nie mogli już go dostrzec, bo kącik oka zarośnięty był kępką białych włosów i w ten sposób natura jakby zamknęła pana Marcusa w zbroję kompletną, bez najmniejszej luki.

Marcus był najstarszy, zaś Stahr najmłodszy w tej grupie - nie tyle ze względu na swój wiek, ile na fakt, że kiedy pierwszy raz zasiadł wśród nich, był cudownym dzieckiem liczącym lat dwadzieścia dwa. Wtedy, bardziej niż teraz, był człowiekiem z pieniędzmi wśród ludzi, którzy mieli pieniądze. Wtedy potrafił obliczyć koszty w pamięci z szybkością i dokładnością, która ich oszałamiała - bo żaden z nich nie był ani takim magikiem, ani takim specem, jak głosi powszechna opinia o Żydach ze światowej finansjery. Większość z nich zawdzięczała swoje powodzenie różnym i sprzecznym ze sobą cechom. Lecz w grupie obowiązuje solidarność, która wspiera słabszych i mistrzostwo Stahra w dziedzinie rachunków przeżywali z takim uniesieniem jak własne osiągnięcia, podobni w tym do kibiców piłki nożnej.

Stahr z biegiem czasu zaniedbał ten swój szczególny talent, chociaż go nie stracił.

Książę Agge siedział pomiędzy Stahrem i Mortem Fleishackerem, doradcą prawnym wytwórni, mając naprzeciw siebie Joe Popolosa, właściciela kina. Książę czuł na ogół dość nieokreśloną niechęć do Żydów, z której próbował się wyleczyć. Jako człowiek o usposobieniu gwałtownym, służący swego czasu w Legii Cudzoziemskiej, uważał, że Żydzi za bardzo troszczą się o własną skórę. Lecz gotów był zgodzić się, że w Ameryce Żydzi - być może - są inni, a już jeśli chodzi o Stahra, to ten na pewno pod wielu względami był prawdziwym mężczyzną. Co do reszty - uważając zawsze biznesmenów za nudziarzy - po ostateczny wyrok odwoływał się do krwi Bernadottów, płynącej w jego żyłach.

Mój ojciec - będę go nazywać panem Brady, bo tak mówił o nim książę opowiadając mi o tym lunchu - niepokoił się o los pewnego filmu i po wyjściu Leanbauma przeniósł się na krzesło stojące naprzeciwko księcia.

- Powiedz mi, Monroe, co się dzieje z projektem tego filmu o Południowej Ameryce? - zapytał.

Książę Agge odczuł powiew zainteresowania - dwanaście par oczu zatrzepotało rzęsami tak żywo, że rozległ się niemal szum ptasich skrzydeł. Potem znowu zapadła cisza.

- Będziemy to robić - odpowiedział Stahr.

- W ramach tego samego kosztorysu? - spytał Brady.

Stahr przytaknął.

- Przekracza wszelkie proporcje - powiedział Brady, - Nie ma cudów w naszych ciężkich czasach. „Czarne anioły” czy „Ben Hur” już się nie powtórzą, kiedy mogłeś szastać

pieniężmi i wiedziałeś, że się zwrócą.

Być może atak był z góry przygotowany, ponieważ Popolos, ten Grek, podjął temat włączając się do rozmowy.

- To się nie da zastosować, Monroe, nie zastosujemy się do czasu, jeżeli on się stosuje do zmian dzisiejszych. Czego mogliśmy robić kiedyś i wykorzystać pełną grę zysku, dziś nie jest do wymyślenia.

- A co pan sądzi o tym, panie Marcus? - spytał Stahr.

Wszystkie oczy powędrowały wzdłuż stołu, lecz jak gdyby z góry uprzedzony o ataku, pan Marcus zdążył dać znak osobistemu służącemu, że chce wstać, i pytanie padło w momencie, gdy stojący za nim sługa oburącz dźwigał go z krzesła. Pan Marcus z pozycji półzgiętej tak bezradnie spojrział na wszystkich zebranych, że naprawdę trudno było sobie wyobrazić, iż czasem chodzi, na dancing ze swoją młodą kochanką, dziewczyną z Kanady.

- Monroe to geniusz jeśli chodzi o produkcję - oświadczył - i bardzo mocna moja podpora. Osobiście nie widziałem powodzi w wytwórni.

Cisza panowała, póki nie wyszedł z pokoju.

- W tym kraju nikt już nie zarobi teraz dwóch milionów na czysto - powiedział Brady.

- Nie. Teraz nie ma zysku - zgodził się Popolos. - Nawet żeby człowiek złapał za głowę i choć spod ziemi ją wyciągnął, to nie ma zysku.

- Prawdopodobnie nie - zgodził się Stahr. Zamilkł, jakby chciał się upewnić, że wszyscy go słuchają. - Myślę, że możemy liczyć na milion i ćwierć z eksploatacji w kraju. Być może w sumie na półtora miliona. I jeszcze ćwierć miliona z zagranicy.

I znowu zapadła cisza - tym razem wypełniona zdumieniem i lekkim niepokojem. Stahr powiedział kelnerowi przez ramię, żeby go połączył z biurem.

- Ale wasz budżet? - spytał Fleishacker. - Wasz budżet to milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, o ile dobrze zrozumiałem. Twoje obliczenia to gotówka bez czystego dochodu.

- To nie są moje obliczenia - odpowiedział Stahr. - Możemy z całą pewnością liczyć tylko na półtora miliona.

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Księżę Agge usłyszał, jak z czyjegoś cygara osypał się gruby stożek popiołu. Fleishacker chciał coś powiedzieć, osłupiał z wrażenia, lecz właśnie podano Stahr owi przez ramię telefon.

- Pańskie biuro, panie Stahr.

- Świetnie... halo, panno Doolan. Domyśliłem się, co to za historia z Zavrasem. Jeszcze jedna podła plotka... daję za to głowę... Ach tak, zrobiła to pani, to dobrze... A teraz

niech pani słucha: proszę go posłać do mojego okulisty jeszcze dziś po południu - do doktora Johna Kennedy'ego - i jak dostanie zaświadczenie, niech od razu zrobi fotokopię, zrozumiała pani?

Odwiesił słuchawkę i zwrócił się do wszystkich z przejęciem:

- Czy ktoś z was słyszał o tym, że Pete Zavras jest zagrożony ślepotą?

Parę osób kiwnęło głowami, lecz większość, wstrzymując oddech, zastanawiała się nad cyframi, które Stahr podał przed chwilą i czy się nie pomylił.

- To przecież czysta bzdura! Zavras twierdzi, że nigdy w życiu nie był u okulisty i nie ma pojęcia, dlaczego wszyscy odwrócili się od niego - powiedział Stahr. - Musiał się komuś nie spodobać albo nagadano na niego w wytwórni i dlatego już od roku jest bez pracy.

Rozległ się konwencjonalny szmer współczucia. Stahr podpisał czek i zrobił ruch, jakby chciał wstać.

- Przepraszam cię, Monroe - powiedział natarczywie Fleishacker czując na sobie spojrzenie Brady'ego i Popolosa. - Jestem tu człowiekiem raczej nowym i być może nie wszystko jeszcze pojmuję *implicite* i *explicite*. - Mówił płynnie, lecz żyły na czole nabrzmiały z dumy, że może się popisać językiem wyniesionym z nowojorskiego uniwersytetu. - Czy dobrze zrozumiałem, że istotnie zamierzasz podnieść kosztorys o ćwierć miliona?

- Jest to film ekstraklasy - odpowiedział Stahr tonem niewiniątka.

Powoli wszyscy zaczęli go rozumieć, lecz wciąż mieli uczucie, że kryje się w tym jakiś podstęp. Stahr musi być jednak przekonany, że ten film przyniesie pieniądze. Nikt przy zdrowych zmysłach...

- Od dwóch lat idziemy na pewniaka i czas, żebyśmy zrobili taki film, na którym stracimy. Odpiszemy to na straty z całą dobrą wolą - to nam da nowych klientów.

Niektórzy z nich wciąż wierzyli, że ma na myśli salto mortale, które się uda, lecz wyprowadził ich z błędu.

- To przyniesie straty - powiedział wstając: wysunął dolną szczękę, w błyszczących oczach zjawił się uśmiech. - To będzie jeszcze większa bomba niż „Czarne anioły”, nawet jeśli zrobi klapę. Lecz mamy wobec naszych widzów pewne obowiązki, jak mówi Pat Brady na bankietach w Akademii. W naszym planie produkcji dobrze będzie wyglądał film, na którym stracimy.

Kiwnął na księcia Agge. Żegnając się pospiesznie książkę próbował ostatnim spojrzeniem podsumować efekt wystąpienia Stahra, lecz nie potrafił mi o tym nic powiedzieć. Wszystkie oczy były nie tyle spuszczone, ile utkwione w jakiś nieokreślony punkt tuż nad stołem i mrugały szybko, a w pokoju panowała cisza jak makiem zasiał.

Wracając z prywatnej jadalni przeszli przez kantinę. Książę Agge chciwie chłonał atmosferę. Jakże wesoło było w tłumie Cyganów, obywateli, żołnierzy, wśród bokobrodów i szamerowanych fraków Pierwszego Cesarstwa. Miał na odległość ręki ludzi, którzy żyli i chodzili po tym świecie sto lat temu, i zastanawiał się, jak też on i jego współcześni będą wyglądać w kostiumach statystów kiedyś, w przyszłości.

A potem ujrzał Abrahama Lincolna i nagle cały nastrój zmienił się. Został wychowany w epoce rodzącego się w Skandynawii socjalizmu, w. czasach, gdy rozczytywano się w książce Nicolaya. O Lincolnie powtarzano mu, że był wielkim człowiekiem, którego powinien uwielbiać; zamiast tego znienawidził prezydenta, bo mu go narzucano. Lecz teraz na widok Lincolna, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i pełną dobroci twarz pochylał nad obiadem za czterdzieści centów łącznie z deserem, gardło owinąwszy szalem, bo wiało ze wszystkich wentylatorów - teraz książę Agge na odkrytą wreszcie Amerykę wytrzeszczył oczy jak turysta na mumię Lenina na Kremlu. A więc to był Lincoln! Stahr, który go wyprzedził, odwrócił się i czekał na księcia - lecz Agge wciąż stał i patrzył.

A więc o tym, pomyślał, wszyscy mu opowiadali.

Lincoln zniemacka uniósł trójkątny kawałek ciasta i wepchnął do ust; wówczas książę Agge, nieco wystraszony, pospiesznie ruszył z miejsca, by dogonić Stahra.

- Mam nadzieję, że to jest to, czego pan pragnął - powiedział Stahr czując, że zaniedbał gościa. - Za pół godziny mamy przegląd materiału, a potem może pan zwiedzać sobie dekoracje, jak długo pan chce.

- Wolałbym zostać z panem - powiedział książę.

- Najpierw zobaczę, co mam dziś w programie - odpowiedział Stahr. - Potem pójdziemy razem.

Był w programie japoński konsul na przeglądzie filmu szpiegowskiego, mogącego urazić narodowe uczucia Japończyków. Były dalsze wiadomości od Robby'ego.

- Przypomniał sobie teraz nazwisko tej kobiety. Smith... jest tego pewien - powiedziała panna Doolan. - Spytał ją, czy chce pójść do magazynu wytwórni po jakieś suche pantofle, ale powiedziała, że nie, więc nie może nam wytoczyć sprawy.

- Jeżeli to jest wszystko, co zapamiętał, to kiepską ma pamięć. „Smith”! Co nam to da? - Namyślał się przez chwilę. - Trzeba poprosić spółkę telefoniczną o listę Smithów, którzy założyli tutaj telefon w ciągu ostatniego miesiąca. I proszę do wszystkich zadzwonić.

- Dobrze.

Rozdział 4

- Jak się masz, Monroe! - powiedział Red Ridingwood. - Cieszę się, żeś do nas zajrzał.

Stahr minął go i poszedł w głąb wielkiej hali, do dekoracji, w której nazajutrz miały rozpocząć się zdjęcia; przedstawiała wspaniale urządzonej salon. Reżyser Ridingwood podążył za nim, lecz zorientował się po chwili, że chociaż idzie coraz szybciej, to jednak Stahr wciąż go wyprzedza o krok lub dwa. Rozpoznał w tym objaw niezadowolenia - sam tak robił kiedyś, gdy miał własną, wytwórnię; znał wszystkie sposoby i Stahr nie mógł go niczym zaskoczyć. Stwarzanie sytuacji to zawód reżysera, na tym podwórku Stahr go nie pobije, mimo całej swojej zręczności. Kiedyś Goldwyn wtrącił się do jego pracy z aktorem i Ridingwood sprowokował go do odegrania całej sceny w obecności pięćdziesięciu ludzi - z wiadomym skutkiem: jego własny autorytet pozostał nie zachwiany.

Stahr dotarł do wspaniałej dekoracji i zatrzymał się.

- Jest do niczego - powiedział Ridingwood. - Nie ma w tym za grosz inwencji. Żeby to nie wiem jak oświetlić, to...

- Dlaczego mnie wzywasz w tej sprawie? - spytał Stahr stając tuż przy nim. - Dlaczego nie załatwiłeś tego z działem scenografii?

- Nie prosiłem cię, żebyś tu przyszedł, Monroe.

- Chciałeś być sam dla siebie szefem.

- Przepraszam cię, Monroe - powtórzył Ridingwood cierpliwie - ale nie wzywałem cię tutaj.

Na to Stahr odwrócił się do niego plecami i podszedł do kamery. Oczy i otwarte usta zagapionych statystów momentalnie odwróciły się od bohaterki filmu, objęły Stahra, a potem bezmyślnie powróciły do bohaterki. Byli to rycerze Kolumba. Oglądali swego pana niesionego w pochodzie, lecz oto sen stał się rzeczywistością.

Stahr zatrzymał się przy krześle aktorki. Była w głęboko wyciętej szacie; odsłaniającej czerwoną egzemę na piersiach i plecach. Przed każdym zdjęciem pokrywano tę skazę jakąś maścią, którą natychmiast po zdjęciu usuwano. Włosy jej miały suchość i barwę zakrzepłej krwi, lecz oczy lśniły jak prawdziwe gwiazdy.

Zanim Stahr otworzył usta, za jego plecami rozległ się pokrzepiający głos:

- Ona jest niebywała. Wprost niebywała!

To asystent reżysera wystąpił z komplementem, który miał być subtelny. Powiedział go tak głośno, by aktorka mogła usłyszeć bez wychylania się z krzesła drażniącego jej biedną skórę. Stahr zasłużył, na komplement za podpisanie z nią kontraktu. Reinmund również został wspomniany, choć tylko mimochodem.

- Wszystko gra? - spytał uprzejmie Stahr.

- O, tak - odpowiedziała gwiazda - świetnie, żeby nie ci gówniarze z prasy...

- Nie dostaną się tutaj - zapewnił ją mrugając dyskretnie.

Nazwisko jej stało się ostatnio synonimem „dziwki”. Przymuszczała się na królowej z komiksów o Tarzanie, tajemniczej białej władczyni jakiegoś murzyńskiego plemienia. Cały świat traktowała jak Murzynów. Była złem koniecznym, wypożyczonym tylko do jednego filmu.

- Wszystko w porządku - zapewnił Ridingwood Stahra, odprowadzając go do drzwi. - Stara się, jak może.

Byli poza zasięgiem jej słuchu i Stahr zatrzymał się.

- To wszystko nic niewarte - powiedział patrząc na Reda z wściekłością. - Czy wiesz, co mi ona przypomina na waszych zdjęciach? Reklamę środków żywnościowych.

- Próbuje wycisnąć z niej, co się da, aktorsko jest...

- Chodź ze mną - przerwał mu Stahr w pół słowa.

- Teraz? Czy powiedzieć im, żeby odpoczęli?

- Zostaw wszystko, jak jest - powiedział Stahr i pchnięciem ręki otworzył grube obite drzwi.

Jego wóz z szoferem czekał przed progiem. Tu się liczyło każdą minutę - prawie zawsze.

- Wsiadaj - powiedział.

Teraz już Red wiedział, że sprawa jest poważna. Domyślił się nawet w jednej chwili, o co chodzi. Ta dziewczyna znęcała się nad nim od pierwszego dnia smagając go swoim bezlitosnym językiem. Kochał spokój ponad wszystko i pozwalał jej grać jak chciała, byleby uniknąć awantur.

- Nie umiesz sobie z nią poradzić - rzekł Stahr, jakby odgadując jego myśli. - Powiedziałem ci, czego chcę. Ma być wcieleniem podłości, a robi wrażenie, że umiera z nudów! Obawiam się, że będziemy musieli to odwołać, Red.

- Produkcję?

- Ciebie. Dam na twoje miejsce Harleya.

- Trudno.

- Przykro mi, Red. Spróbujemy czegoś innego, przy następnej okazji.

Wóz zatrzymał się przed biurem Stahra.

- Czy mam skończyć to ujęcie? - spytał Red.

- Już je kończą - odparł Stahr ponuro. - Harley tam jest.

- W jaki sposób, do diabła?...

- Wszedł w momencie, kiedy myśmy zeszli z planu. Kazałem mu przeczytać scenopis wczoraj w nocy.

- Posłuchaj no, Monroe...

- Jestem dzisiaj wyjątkowo zajęty, Red - odparł Stahr cierpko. - Przestałeś się tym interesować już trzy dni temu.

A to ci chryja, pomyślał Ridingwood. Znaczyło to, że jego pozycja dozna pewnego, zresztą nieznacznego, uszczerbku, znaczyło to - prawdopodobnie - że nie będzie mógł zafundować sobie trzeciej żony, na co miał właśnie ochotę. Nie mógł nawet pozwolić sobie - dla satysfakcji - na zrobienie awantury; kto nie zgadzał się ze Stahrem, ten się tym nie chwalił. Stahr w swoim świecie był panem, mającym zawsze - niemal zawsze - słuszość.

- A co z moją marynarką? - spytał nagle. - Zostawiłem ją na krześle.

- Wiem, że zostawiłeś. Masz.

Tak bardzo starał się postąpić delikatnie z Ridingwoodem w tej przykrej sprawie, że zupełnie zapomniał, iż trzyma w ręku jego marynarkę.

Sala projekcyjna pana Stahra była miniaturowym kinem o czterech rzędach wyściełanych foteli. Pierwszy rząd miał długie pulpity, na nich dobrze osłonięte lampki, sygnalizację i telefony. Pod ścianą stało pianino, jeszcze z epoki pierwszych filmów dźwiękowych. Pokój ten odnowiono zaledwie przed rokiem, lecz obicia ścian i foteli były już zniszczone przez długie godziny intensywnej pracy.

Stahr siadywał tutaj o pół do trzeciej i ponownie o pół do siódmej, by obejrzyć materiał nakręcony w ciągu dnia. Często odbywało się to w nastroju szalonego napięcia - prezentowano mu dosłownie *faits accomplis* - końcowy rezultat całych miesięcy planowania i zakupów, pisania i poprawiania, obsadzania ról, budowania dekoracji, wreszcie oświetlania, prób i zdjęć - owoc nagłych olśnień albo gorączkowych lub sennych narad, w konspiracji i w pocie czoła. Nadeszła chwila, gdy zawile manewry weszły w fazę realizacji, której wynik był niewiadomy - z pola bitwy nadchodziły raporty.

Obok Stahra obecny był zawsze na przeglądzie: kierownik artystyczny każdego filmu, kierownik produkcji i przedstawiciele wszystkich działów technicznych. Reżyserzy nie przychodzili, ponieważ oficjalnie pracę ich uważano w tym momencie za skończoną, faktycznie zaś dlatego, że na takim przeglądzie można było oberwać. W srebrnych szpulach taśmy ulokowano grube pieniądze. Według przyjętego zwyczaju dyskretnie trzymali się więc na boku.

Sztab już był w komplecie. Stahr wszedł, szybko zajął miejsce i szmer rozmów ucichł.

Gdy rozsiadł się w fotelu i wysoko podciągnął nogę, obejmując rękami chude kolano, światła w salce pogasły. Błysnął płomień zapalki w ostatnim rzędzie - potem zapanowała cisza.

Na ekranie oddział francuskich Kanadyjczyków pchał swoje kajaki w górę wodospadu. Zdjęcia robiono w basenie i na końcu każdego ujęcia, gdy głos reżysera wypowiadał „stop”, aktorzy na ekranie odprężali się, ocierali czoła, czasami wybuchali głośnym śmiechem, woda w basenie przestawała płynąć - i bajka kończyła się. Stahr wybierał po jednym z kilkakrotnie powtarzanych ujęć, mówił „dobra robota”, poza tym nie robił żadnych uwag.

Następna scena, wciąż nad wodospadem, wymagała dialogu pomiędzy kanadyjską dziewczyną (Claudette Colbert) i *coureur de bois* (Ronald Colman): ona spoglądała na niego z kajaka w dół. Po kilku klatkach Stahr nagle przemówił:

- Czy basen został rozebrany?

- Tak jest.

- Monroe... potrzebny był...

Stahr przerwał gwałtownie: - Niech go zmontują na powrót. To ujęcie trzeba powtórzyć.

Natychmiast zapaliły się światła. Jeden z kierowników produkcji opuścił swoje krzesło i podszedł do Stahra.

- Zmarnowaliście tak pięknie zagrana scenę - Stahr był wściekły, choć nie podnosił głosu. - Źle ustawiona kamera. Przez cały czas rozmowy bierze tylko śliczny czubek głowy naszej Claudette. Czy tak powinno być? Czy właśnie o to proszą widzowie? Jak mają piękną dziewczynę, to chcą widzieć akurat czubek jej głowy, tak? Powiedz Timowi, że mógł sobie oszczędzić trudu i kręcić to z dublerką.

Światła znowu pogasły. Kierownik produkcji przykucnął przy krześle Stahra, żeby mu nie zasłaniać. Materiał puszczono jeszcze raz.

- Widzisz teraz? - spytał Stahr. - A w prawym kącie klatki jest włos, widzisz? Trzeba sprawdzić, czy w projektorze, czy na taśmie.

Pod koniec ujęcia Claudette Colbert powoli unosiła głowę pokazując swoje duże, wilgotne oczy.

- O, proszę, tak powinno być od samego początku - powiedział Stahr. - Pięknie to zresztą zagrała. Zobaczcie, czy ten kawałek da się wmontować. Chciałbym wiedzieć jutro, albo jeszcze dziś po południu.

Pete Zavras nigdy nie popełniłby takiego błędu. W całym Hollywoodzie nie było nawet sześciu operatorów całkowicie godnych zaufania.

Światła zabłyśły, kierownik artystyczny i kierownik produkcji tego filmu wyszli.

- Monroe, teraz będzie wczorajszy materiał, wywołali go w nocy.

Zapadła ciemność. Na ekranie ukazała się głowa Sziwy, ogromna i pełna niewzruszonego spokoju, nieświadoma tego, że za parę godzin zostanie uniesiona przez powódź. Dokoła niej kłębił się tłum wiernych.

- Kiedy będziecie to kręcić na nowo, posadźcie na czubku tej głowy parę małych dzieci. Lepiej sprawdzić zawczasu, czy to nie bluźnierstwo, ale mnie się zdaje, że można tak zrobić. Dzieci wszędzie włożą.

- Zrobi się.

Srebrny pasek wycięty w gwiazdy... Smith, Jones, Brown?... Ogłoszenie: pani w srebrnym pasku, która... proszona jest...

Następne ujęcie przeniosło wszystkich do Nowego Jorku, w środowisko gangsterów, i nagle Stahr zdenerwował się.

- Ależ to bzdura! - krzyknął w ciemności. - Źle napisane, źle obsadzone, niczego nie załatwia. To mają być gangsterzy? Ta banda poprzebieranych idiotów? Lee, co się stało, do diabła ciężkiego?!

- Scena została napisana na planie dzisiejszego ranka - odpowiedział Lee Kapper. - Burton chciał nakręcić już wszystko na szóstej hali.

- Cóż z tego, kiedy to szmira. I ta następna też. Nie ma sensu tego kopiować. Ona nie wierzy w to, co mówi. Cary też nie wierzy. „Kocham cię” na zbliżeniu! Wycmokają was z sali! I po co tak się wystroiła?

Ktoś dał sygnał w ciemności, projektor zatrzymał się, zapaliły się światła. Sala projekcyjna zamarła w ciszy oczekiwania.

- Kto napisał tę scenę? - spytał Stahr po minucie z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Wylie White.

- Pewnie był pijany!

- Wykluczone.

- Czterech scenarzystów zabierze się do tej sceny dzisiaj wieczorem - powiedział Stahr po chwili zastanowienia. - Kogo mamy? Czy jest już Sidney Howard?

- Przyjechał dziś rano.

- Pogadajcie z nim. na ten temat. Trzeba mu wyjaśnić, czego chce. Dziewczyna jest śmiertelnie przerażona, gra na zwłokę, to przecież całkiem proste. Człowiek nie przeżywa trzech różnych emocji naraz. Poza tym... Kapper?...

Scenograf wychylił się z drugiego rzędu krzesel.

- Tak.

- Jest coś niedobrego w tej dekoracji.

Wszyscy popatrzyli po sobie ukradkiem.

- Co takiego, Monroe?

- Ty mi to powiedz - odparł Stahr. - Jest przeładowana. Oko nie ma się na czym zatrzymać. I wszystko wygląda bardzo tanio.

- Wcale nie było tanie.

- Wiem o tym doskonale. Nie ma katastrofy, lecz coś w tym jest niedobrego. Idź i zobacz, jeszcze dzisiaj. Może za dużo mebli - albo nie takie, jak trzeba. Może pomogłoby jakieś okno. Czy nie możesz stworzyć trochę więcej perspektywy? Przestrzeni?

- Zobaczę, co się da zrobić. - Kapper przecisnął się między krzesłami zerknąwszy na zegarek.

- Wezmę się do tego od razu - powiedział. - Posiedzę cały wieczór, jutro rano będzie gotowe.

- W porządku. Lee, czy możesz powtórzyć te sceny, powiedz?

- Chyba tak, Monroe.

- Biorę to na mój rachunek. Czy macie scenę bójki?

- Właśnie teraz będzie.

Stahr kiwnął głową. Kapper wybiegł pospiesznie i na sali znowu zgasło światło. Na ekranie czterech facetów biło się w jakiejś piwnicy. Stahr parsknął śmiechem.

- Spójrzcie na Spencera Traey'ego! Jak on się zabiera do tego drania. Głowę dam, że nie pierwszy raz w życiu to robi.

Mężczyźni bili się i bili, bo ujęcie wielokrotnie powtarzano; na końcu każdego powtórzenia spoglądali na siebie z uśmiechem, czasami klepali się przyjaźnie po ramieniu. Prawdziwe niebezpieczeństwo groziło tylko jednemu z nich, zawodowemu pięściarzowi, który bez trudu potrafiłby sam jeden zabić całą trójkę, lecz gdyby aktorzy w zapale walki zlekceważyli wskazówki, jakich im udzielił, mógł od nich porządnie oberwać. Najmłodszy aktor nawet w tych warunkach bał się o swoją twarz i reżyser krył jego uniki pomysłowymi ustawieniami kamery i przebitkami.

A potem bez końca powtarzało się ujęcie, w którym jacyś dwaj mężczyźni mijali się w drzwiach, poznawali nawzajem i rozchodzili się. każdy w swoją stronę. Moment mijania się, zaskoczenia, rozejścia.

Następnie jakąś mała dziewczynka czytała pod drzewem, nad nią na gałęzi siedział chłopiec i też czytał. Mała dziewczynka znużyła się i chciała z chłopcem porozmawiać. Lecz

on nie zwracał na nią uwagi. Ogryzek jabłka, które jadł, spadł na głowę małej dziewczynki.

Jakiś głos zapytał w ciemności: - Czy to nie za długo, Monroe?

- Ani trochę - odpowiedział Stahr. - To ładne. W tym jest nastrój.

- A mnie się zdawało, że trochę za długie.

- Czasem dziesięć metrów to za dużo, a czasami scena, która ma dwieście metrów, wydaje się za krótka. Chciałbym porozmawiać z montażystą, zanim się do tego zabierze - to jest coś, co każdy zapamięta w tym filmie.

Przemówiła wyrocznia. Trudno było się nie zgadzać czy dyskutować. Stahr zawsze musiał mieć rację, nie najczęściej, lecz zawsze - w przeciwnym razie cały gmach roztopiłby się jakby był z masła.

Przeszła jeszcze godzina. Daleko, na przeciwległej ścianie, pojawiły się fragmenty snów; poddawano je analizie, po której miały zostać snem śnionym przez tłumy albo iść do kosza. Koniec przeglądu zwiastowały próbne zdjęcia - kandydata do roli charakterystycznej i młodej dziewczyny. Po roboczych materiałach, które miały własny, pełen napięcia rytm, próbne zdjęcia wydały się gładkie, wykończone; obecni rozsiedli się wygodnie w fotelach, Stahr spuścił nogę z kolana. Każdy mógł wyrazić swoje zdanie. Jeden z techników głośno oznajmił, że chętnie przespałby się z tą dziewczyną - przyjęto to oświadczenie obojętnie.

- Ktoś przysłał nam jej zdjęcia dwa lata temu. Pewnie się tu gdzieś kręci, ale nie zrobiła się przez to lepsza. Za to ten typ jest dobry. Mógłby zrobić rosyjskiego księcia w „Stepach”, prawda?

- To autentyczny rosyjski książę - powiedział dyrektor działu angażowania. - Ale bardzo się tego wstydzi. Jest „czerwony”. Książę to jedyna postać, której nie zagra.

- Ale może zagrać tylko księcia - odpowiedział Stahr.

Zapaliły się światła. Stahr zawinął swoją gumę do żucia w papierek i włożył do popielniczki. Odwrócił się pytająco do sekretarki.

- Zdjęcia trikowe na drugiej hali - powiedziała.

Zajrzał tam na krótko. Kręcono zdjęcia na tle projekcji drugiego filmu przy pomocy bardzo pomysłowej techniki. W biurze pana Marcusa było zebranie w sprawie filmu o Manon z happy endem i Stahr wyraził swój pogląd, jak to już robił nieraz, że od stu pięćdziesięciu lat Manon bez żadnego happy endu przynosi pieniądze. Był nieustępliwy - o tej porze, po południu, miał najwięcej swady - i opozycja wycofała się podejmując inny temat: postanowiono wypożyczyć kilkanaście gwiazd do programu na bezdomne ofiary trzęsienia ziemi w Long Beach. W nagłym porywie hojności zebrano błyskawicznie sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Dawali dużo, lecz nie tak, jak dają biedni ludzie. Nie było w tym

miłosierdzia.

W biurze zastał już wiadomość od okulisty, który zbadał Zavrasa: oczy operatora były 19-20, stan prawie idealny. Lekarz napisał zaświadczenie i Zavras kazał zrobić fotokopię. Stahr krążył po swoim gabinecie jak kogut pod pełnym uwielbieniem wzrokiem panny Doolan. Księżę Agge wpadł, aby podziękować mu za popołudnie spędzone w wytwórni i w czasie rozmowy nadeszła wiadomość szyfrem, od jednego z kierowników artystycznych, że para scenarzystów, nazwiskiem Tarleton, „zwiedziła się i postanowiła wymówić”.

- Dobrze pracują - wyjaśnił Stahr księciu - a dobrych pisarzy nam brakuje.

- Przecież może pan zaangażować każdego - wykrzyknął gość ze zdumieniem.

- Och, angażujemy ich, lecz kiedy się tu znajdują, przestają być dobrymi pisarzami... musimy więc pracować z tymi, których mamy na miejscu.

- Na przykład?

- Z każdym, kto zaakceptuje nasz system i nie będzie się zapijał. Mamy tu najróżniejsze typy: zawiedzionych poetów, autorów jednej sztuki, studentki. Opracowują nowe parami, a jeśli to trwa zbyt długo, to bierzemy jeszcze dwóch, którzy pracują nad tym samym pomysłem oddzielnie. A czasami nawet trzy pary scenarzystów.

- Czy im to odpowiada?

- Na pewno nie, gdy o tym wiedzą. To nie są geniusze, żaden z nich w inny sposób nigdy tyle nie zarobi. Lecz Tarletonowie, to małżeństwo, przyjechali tutaj ze Wschodu - para całkiem niezłych dramaturgów. Dowiedzieli się właśnie, że nie oni jedni pracują nad tym samym scenariuszem, i doznali szoku, ucierpiało ich poczucie integralności, tak to nazywają.

- Lecz na czym właściwie polega to poczucie? Co to jest integralność?

Stahr zawahał się - twarz jego miała wyraz surowy, tylko w oczach igrał chochlik.

- Integralność to ja - odparł. - Niech pan nas znowu kiedyś odwiedzi.

Rozmawiał z Tarletonami. Podoba mu się ich praca, powiedział patrząc na panią Tarleton w taki sposób, jakby z maszynopisu znał jej charakter pisma. Potem powiedział z wielką życzliwością, że postanowił przenieść ich do pracy nad innym scenariuszem, gdzie będą mieli więcej swobody i mniej roboty. Zgodnie z jego przewidywaniem poprosili, by ich nie przenosił, woleli szybciej znaleźć się na afiszu, choćby nawet do spółki z innymi. Zgodził się z nimi, że to wstyd, to ordynarny wyzysk i czysto komercyjne podejście, godne pożałowania. Ale że metoda ta była jego wynalazkiem, o tym nie wspomniał.

Gdy pożegnali się, weszła panna Doolan z triumfującą miną.

- Proszę pana, ta pani z paskiem jest przy telefonie.

Stahr przeszedł do swego gabinetu, został sam; siadł przy biurku i podniósł słuchawkę

czując jednocześnie nagły skurcz żołądka. Nie wiedział, czego chce. Nie zajęła go ta sprawa tak, jak sprawa Pete'a Zavrasy. Z początku pragnął tylko wiedzieć, czy to były aktorki, czy ta jedna świadomie upodobniła się do Minny: kiedyś sam kazał pewnej młodej aktorce zrobić się na Claudette Colbert.

- Halo! - powiedział.

- Halo!

Szukał słowa, skrótu, by wyrazić zaskoczenie i poruszenie, jakiego doznał poprzedniego wieczoru, i nie mógł znaleźć; zaczęło go ogarniać przerażenie, z którego się otrząsnął siłą woli.

- Trudno było panią znaleźć - powiedział. - Pani Smith!... I dopiero od niedawna tutaj zamieszkała. Mieliśmy tylko te dane. No i pani srebrny pasek.

- Tak - odpowiedział mu głos wciąż zakłopotany, zmieszany. - Miałam na sobie srebrny pasek wczoraj wieczorem.

I co dalej?

- Kim pan jest? - zapytał głos z odcieniem spłoszonej, mieszczańskiej godności.

- Nazywam się Monroe Stahr - odpowiedział.

Pauza. Nazwisko to nigdy nie pojawiała się na ekranie i dziewczyna oczywiście nie wiedziała, z czym je związać.

- Ach... tak. Był pan mężem Minny Davis?

- Tak.

Czy to podstęp? Ożył w jego wyobraźni obraz widziany poprzedniej nocy - nawet szczególnie blask tej skóry, jakby lekko fosforyzującej - i pomyślał, czy nie było w tym podstępu, chęci poznania go za wszelką cenę. To nie była Minna, a przecież jakby ona sama. Porwana wiatrem zasłona przy oknie wpadła nagle do pokoju, papiery zaszeleściły na biurku, a serce jego poddało się odczuciu intensywnej rzeczywistości dnia za oknem. Co by się stało, gdyby mógł teraz wyjść na balkon i znów ją zobaczyć - te przymglone gwiazdziste oczy, te mocno zarysowane usta, które umiały się śmiać tak po ludzku, z żalosną odwagą.

- Pragnę panią zobaczyć. Czy zechciałaby pani przyjść do wytwórni.

I znowu wahanie - a potem zdecydowana odmowa.

- Och, wydaje mi się, że nie powinnam. Bardzo pana przepraszam.

Przeprosiny były formalnością, lekceważącym gestem, odcięciem się. Odruch zwykłej, powierzchownej próżności przyszedł Stahrowi z pomocą, każąc do wezwania dodać perswazję.

- Chciałbym panią zobaczyć z pewnego powodu.

- Ale boję się, że...

- Mógłbym przyjść do pani, jeśli mi pani pozwoli.

Znowu pauza, lecz czuł, że już nie z powodu wahań, tylko dla namysłu nad odpowiedzią.

- Chodzi o coś, o czym pan nie wie - rzekła wreszcie.

- Och, jest pani zapewne mężatką - zniecierpliwił się. - To nie ma nic do rzeczy, nie prosiłem panią o przyjście po kryjomu, może pani przyprowadzić męża, jeśli go pani ma.

- To... to zupełnie niemożliwe.

- Ale dlaczego?

- Głupio mi nawet, że rozmawiam z panem, lecz pana sekretarka tak się upierała. Pomyślałam, że może zgubiłam coś w czasie tej powodzi i pan to znalazł.

- Bardzo pragnę z panią pomówić, zajmę pani nie więcej niż pięć minut.

- Chce mnie pan zaangażować?

- Nie, nie myślałem o tym.

Nastąpiła tak długa pauza, że zląkł się, iż ją czymś obraził. Nieoczekiwanie jednak spytała; - Gdzie mogę się z panem spotkać?

- Tutaj? U pani?

- Nie. Gdzieś na mieście.

I nagle Stahr nie mógł wymyślić żadnego miejsca. Jego własny dom, jakiś lokal? Gdzie ludzie się spotykają? Czy istnieje jakieś specjalne miejsce? Cocktail bar?

- Mogę się z panem umówić o dziewiątej - powiedziała.

- Boję się, że to niemożliwe.

- No to trudno.

- Dobrze. O dziewiątej, ale może gdzieś blisko wytwórni? Na Wilshire jest drugstore...

Była za kwadrans szósta. W sekretariacie czekało dwóch ludzi, którzy przychodzili co dzień o tej porze i co dzień na próżno. Była to pora zmęczenia - sprawa tych ludzi nie wymagała natychmiastowej interwencji, nie była jednak aż tak błaha, by można ją całkowicie zignorować. Kazał to znowu przelożyć na następny dzień i siedział przy biurku bez ruchu, myśląc przez chwilę o Rosji. Nie tyle może o Rosji, ile o filmie na ten temat, który zabierze mu niebawem beznadziejnie stracone pół godziny. Zdawał sobie sprawę, że opowiadano o Rosji wiele różnych historii, nie mówiąc już o samej rewolucji, zatrudnił więc cały sztab scenarzystów, którzy wsparci historyczną dokumentacją pracowali już prawie cały rok, lecz wciąż nie umieli znaleźć właściwego podejścia do tematu. Czuł, że można by rzecz

przedstawić odwołując się do analogii z amerykańskiej wojny o niepodległość, jednakże każda kolejna wersja scenariusza budziła niepożądane asocjacje, dotykała niemiłych problemów. Uważał, że ma do Rosji stosunek bardzo uczciwy - pragnął zrobić film pełen sympatii, lecz scenariusz wciąż przyprawiał go o ból głowy.

- Przyszedł pan Drummon, proszę pana, i pan Kirstoff, i pani Cornhill w sprawie rosyjskiego filmu.

- Doskonale. Niech ich pani wprowadzi. Następnie, od pół do siódmej do pół do ósmej, przeglądał popołudniowy materiał zdjęciowy, i byłby jak zwykle spędził cały wieczór w sali projekcyjnej albo synchronizacyjnej, aż do umówionego spotkania, lecz z powodu trzęsienia ziemi odczuwał pewne zmęczenie i postanowił zjeść kolację. Wracając do siebie zastał czekającego w sekretariacie Zavrasy, z ręką w łubkach.

- Jesteś Ajschylosem i Eurypidesem filmu - powiedział Zavras z prostotą. - Także Arystofanesem i Menandrem.

Skłonił się nisko.

- O kim mówisz? - spytał Stahr z uśmiechem.

- O moich ziomkach.

- Nie wiedziałem, że w Grecji robi się filmy.

- Żartujesz ze mnie, Monroe - odpowiedział Zavras. - Chcę powiedzieć, że jesteś tak samo świetny facet, jak oni. Uratowałeś mnie w stu procentach.

- Czujesz się teraz dobrze?

- Ręka to głupstwo. Mam uczucie, jakby mnie ktoś bez przerwy w tę rękę całował. Warto było zrobić to, co zrobiłem, dla takiego rezultatu.

- Dlaczego zrobiłeś to akurat tutaj? - spytał Stahr z ciekawością.

- Przed wyrocznią delficką - powiedział Zavras. - Edyp, który rozwiązał zagadkę. Chciałbym dopaść skurwysyna, który puścił tę gadkę o mnie.

- Budzisz we mnie żal, że nie otrzymałem wykształcenia - powiedział Stahr.

- Niewarte ani centa - odparł Pete. - Zrobiłem magisterium w Salonikach i proszę, gdzie się znalazłem?

- No, nie przesadzaj.

- Jeśli będziesz chciał kiedyś podciąć komuś gardło - wszystko jedno - w dzień czy w nocy, to mój numer jest w książce telefonicznej.

Stahr przymknął oczy i otworzył je. Sylwetka Zavrasy zamglila się na tle słońca. Wyczuł za plecami stół, oparł się ciężko i powiedział zwykłym swym głosem: - Życzę ci szczęścia, Pete.

W pokoju było prawie czarno, lecz zmusił nogi, by go zaniósł, jak zwykle, do gabinetu i poczekał na trzask, zamykających się drzwi, nim sięgnął po pigułki. Karafka z wodą stuknęła o stół, szklanka stuknęła o stół. Usiadł w głębokim fotelu czekając na działanie benzedryny, potem ruszył na kolację.

Gdy wracał z kantyny, czyjaś ręka kiwnęła mu z otwartego kabrioletu. Rozpoznał głowy sterczące nad oparciem - był to pewien młody aktor i jego dziewczyna; odprowadził ich wzrokiem aż do bramy, za którą wsiąkli w zapadający już letni zmierzch. Coraz bardziej tracił zapał do tych spraw, jak gdyby Minna na zawsze zabrała ze sobą ich smak: topniała w nim potrzeba wzniosłych przeżyć, niebawem skończy się nawet luksus wiecznej żałoby. Dziecinne skojarzenie osoby Minny z ziemską rozkoszą sprawiło, że gdy znalazł się w swym biurze, kazał po raz pierwszy w tym roku wyprowadzić z garażu swój kabriolet. Wielka limuzyna zbyt wiele kryła w sobie wspomnień konferencji i momentów skrajnego wyczerpania.

Opuścił wytwórnię jeszcze pełen napięcia, lecz otwarty wóz przybliżył mu letni wieczór. Zaczął mu się przyglądać. U wylotu bulwaru wisiał księżyc - przyjemne było złudzenie, że za każdym razem, każdego roku jest to inny księżyc. Reszta światel Hollywoodu nie zmieniła się od śmierci Minny; strome stosy cytryn, grejpfrutów i zielonych jabłek na otwartych straganach rzucały ukośnie przymglony blask na ulicę. Jadący przed nim wóz mrugnął liliowo stopowym światelkiem przystając na skrzyżowaniu, na następnym mrugnął znów liliowo. Światła reflektorów przeczesywały niebo.

Na pustym rogu ulicy dwie tajemnicze postacie manipulowały lśniącem bębmem rysując kapryśne łuki na firmamencie.

W drugstorze stała jakaś kobieta przy ladzie ze słodyczami. Była wysoka, niemal jego wzrostu, i dość zakłopotana. Niewątpliwie zdawała sobie sprawę z sytuacji i gdyby Stahr nie wyglądał tak, jak wyglądał - niezwykle wyrozumiale i uprzejmie - nie zagrałaby swojej roli. Oboje powiedzieli: „halo” i wyszli bez słowa, niemal bez spojrzenia na siebie - mimo to, zanim doszli do krawężnika, Stahr wiedział wszystko: była to po prostu ładna Amerykanka i nic więcej, żadna piękność jak Minna.

- Dokąd idziemy? - spytała. - Myślałam, że będzie pan z szoferem. Ale nie szkodzi, umiem się nieźle boksować.

- Boksować?

- To nie zabrzmiało zbyt uprzejmie - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Ale o was, z filmu, mówi się, że jesteście o k r o p n i !

Myśl, że może być okropny, rozbawiła Stahra, a potem nagle przestała go bawić.

- Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć? - spytała siedząc już w wozie.

Stał bez ruchu i miał wielką ochotę powiedzieć jej, żeby natychmiast wysiadła. Lecz rozparła się wygodnie, on zaś wiedział, że sam stworzył tę niefortunną sytuację, więc zacisnął usta i obszedł wóz, by wsiąść z drugiej strony. Światło ulicznej lampy padało na jej twarz i trudno było uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, którą widział wczorajszej nocy.

- Odwiozę panią do domu - powiedział. - Gdzie pani mieszka?

- Do domu? - była zaskoczona. - Nie musimy się tak spieszyć. Przepraszam, jeśli pana uraziłam.

- Nic się nie stało. Bardzo miło, że pani przyszła. Byłem głupi. Wczoraj wydawało mi się, że jest pani sobowtórem kogoś, kogo znałem. Było ciemno, światło świeciło mi prosto w oczy.

Poczuła się bardzo dotknięta - zarzucił jej, że nie jest podobna do kogoś innego.

- A, więc tylko o to chodziło? To śmieszne.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

- Był pan mężem Minny Davis, prawda? - rzekła wiedziona intuicją. - Przepraszam, że o tym wspominam.

Jechał najszybciej, jak mógł, nie zwracając jej uwagi.

- Nie jestem w jej typie - powiedziała - jeśli o to panu chodziło. Może miał pan na myśli tę dziewczynę, która była ze mną. Ona jest bardziej podobna do Minny Davis niż ja.

Było mu to obojętne. Najważniejsze, by skończyć z tym jak najprędzej i zapomnieć.

- Może panu o nią chodziło? - spytała - Mieszka obok mnie.

- Nie sądzę - odpowiedział. - Pamiętam ten srebrny pasek.

- Tak, to byłam ja.

Znaleźli się na północny zachód ci Bulwaru Zachodzącego Słońca i jechali pod górę krętą drogą biegnącą dnem kanionu, który przecinał wzgórze. Za każdym zakrętem wyrastały oświetlone wille, ożywiające je elektryczny prąd zdawał się wsiąkać w wieczorne powietrze wraz z odgłosem radia.

- Widzi pan to ostatnie światło, na szczycie? Tam mieszka Kathleen. A ja mieszkam zaraz po drugiej stronie wzgórza.

W chwilę później powiedziała: - Niech pan tu stanie.

- Powiedziała pani „po drugiej stronie wzgórza”, tak mi się zdawało.

- Chcę wpaść do Kathleen.

- Obawiam się, że...

- Chcę wysiąść właśnie tutaj - rzekła zniecierpliwiona.

Stahr wysunął się za nią z wozu. Ruszyła w stronę nowego domu, okrytego, niby dachem, samotną wierzbą, on zaś zupełnie odruchowo poszedł za nią aż pod próg. Zadzwoiła i odwróciła się, aby się z nim pożegnać.

- Przykro mi, że pana rozczarowałam.

Żał mu się jej zrobiło, żał ich obojga.

- To była moja wina. Dobranoc.

Błysnęła smuga światła w uchylonych drzwiach i gdy kobiecy głos zapytał: - Kto tam?

- Stahr spojrział w górę.

To była ona - twarz i cała postać, i uśmiech na tle światła padającego z wnętrza. Twarz Minny: lśniąca skóra, jakby natarta fosforem, ciepłe, hojne usta, przepojone urzekającą radością, która fascynowała jedno całe pokolenie.

Serce w nim drgnęło i otwarło się, jak poprzedniej nocy, tym razem przyłgnęło do tej dziewczyny przepojone uczuciem wdzięczności.

- Och, Edna, nie mogę cię wpuścić - powiedziała dziewczyna. - Właśnie robię porządki i cały dom pachnie amoniakiem.

Edna zaczęła się śmiać, zuchwale i głośno.

- Wiesz, Kathleen, jestem pewna, że ten pan chciał widzieć ciebie.

Spojrzenie Stahra sprzęgło się ze spojrzeniem Kathleen. Pokochali się przez tę chwilę, jak już nikt nigdy nie będzie kochał. Spojrzenie to było powolniejsze niż uścisk, bardziej namiętne niż krzyk.

- Zadzwoił do mnie - powiedziała Edna. - Zdaje mi się, że...

Stahr przerwał jej i stanął w smudze światła.

- Boję się, że nie byliśmy zbyt uprzejmi w wytwórni... w czasie powodzi.

Lecz to, co w rzeczywistości jej powiedział, kryło się między słowami. Słuchała go uważnie, bez wstydu. Życie w nich zakipiło - Edna zniknęła daleko, w ciemności.

- Wcale nie był pan nieuprzejmy - odparła Kathleen. Chłodny powiew rozwiął jej brązowe loki na czole. - Kręciłyśmy się tam zupełnie niepotrzebnie.

- Mam nadzieję, że zechcą panie przyjść i zwiedzić wytwórnię.

- Kim pan jest? Kimś ważnym?

- To producent. Był mężem Minny Davis - rzuciła Edna, jak dobry dowcip - i to jeszcze nie wszystko. Myślę, że leci na ciebie.

- Cicho bądź, Edna - powiedziała ostro Kathleen.

Edna musiała zdać sobie sprawę ze swojej arogancji, bo nagle powiedziała: - Zadzwoń

do mnie, dobrze? - i niepostrzeżenie wróciła do samochodu.

Lecz zabrała ze sobą ich tajemnicę - dostrzegła iskrę, która między nimi przebiegła w ciemności.

- Pamiętam pana - powiedziała Kathleen do Stahra. - Pan nas wyciągnął z wody:

I co teraz? Brakowało tej drugiej kobiety, gdy odeszła. Za mało się znali na to, co już zaszło między nimi. Pozostawieni sobie, znaleźli się w zawieszaniu. Jego świat wydawał się tak odległy - ona nie miała żadnego, z wyjątkiem głowy Sziwy i tych na wpół otwartych drzwi.

- Pani jest Irlandką? - powiedział, próbując ją gdzieś umiejscowić.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Że też pan to odgadł! Mieszkałam długo w Londynie.

Dzikie, zielone oczy autobusu pędziły drogą w ciemności. Milczeli, póki ich nie minął.

- Nie spodobałem się pani przyjaciółce - powiedział. - Przypuszczam, że nie lubi słowa „producent”.

- Ona też przyjechała tutaj niedawno, jak ja. To głupiutkie stworzenie i zupełnie nieszkodliwe. Ja bym się pana nie bała.

Poszukała wzrokiem jego twarzy. Pomyślała, jak wszyscy, że ma wygląd zmęczony - lecz zapomniała o tym pod wrażeniem miłego ciepła bijącego z niego jak z przenośnego piecyka ustawionego w chłodny wieczór na dworze.

- Przypuszczam, że dziewczyny nie dają panu spokoju, żeby się dostać do filmu?

- Już dawno zrezygnowały - odpowiedział.

Nie chciał się przechwalać, lecz mógłby mieć wszystkie, o czym wiedział doskonale; czekają pod progiem, i to od tak dawna, że ich żalosnego wołania nie mógł już odróżnić od szumu ruchliwej ulicy. Jego pozycja wciąż była więcej niż królewska: król mógł tylko jedną kobietę uczynić królową, Stahr - wiele, przynajmniej w ich przekonaniu.

- Przypuszczam, że w tych warunkach zrobił się z pana wielki cynik. Nie chce pan, żebym zagrała w filmie?

- Nie.

- To dobrze. Nie jestem aktorką. Kiedyś w Londynie zaczepił mnie jakiś typ w Carltonie i zapraszał na próbne zdjęcia, ale po namyśle nie poszłam.

Stali, zdawało się, niemal bez ruchu, on za chwilę się pożegna, ona wejdzie do domu. Nagle Stahr wybuchnął śmiechem.

- Mam takie uczucie, jakbym jedną nogę wsunął między drzwi, jak poborca

podatkowy.

Ona też się roześmiała.

- Żałuję, że nie mogę zaprosić pana do środka. Włożę kurtkę i możemy posiedzieć na dworze.

- Nie. - Nie wiadomo dlaczego czuł, że powinien odejść. Może ją znów zobaczy, może nie. Tak też będzie dobrze.

- Przyjdzie pani do wytwórni? - spytał. - Nie mogę obiecać, że wprowadzę panią osobiście, ale jeżeli pani przyjdzie, to proszę koniecznie dać mi znać.

Cień niezadowolenia, jak cień włosa, przebiegł jej przez oczy.

- Nie wiem, czy to zrobię - odpowiedziała. - Ale w każdym razie bardzo dziękuję.

Wiedział, że z jakiegoś powodu nie przyjdzie i - wymknęła mu się w jednej sekundzie. Oboje poczuli, że chwila została wygrana do końca. On musi odejść, nawet jeśli nie ma dokąd, i to z pustymi rękami. Praktycznie, nie miał nawet jej numeru telefonu - czy choćby nazwiska; lecz wydało mu się niemożliwe pytać o to w takiej chwili.

Odprowadziła go do wozu, działając na niego swoją promienną urodą i tajemnicą nowości; lecz gdy wyszli z cienia, rozdzielała ich smuga księżycowego światła.

- Czy to wszystko? - spytał impulsywnie.

Ujrzał żal w jej twarzy - lecz również drgnienie warg, cień uśmiechu nieokreślonego, tajemniczego - jakby uniesienie i opuszczenie kurtyny zasłaniającej wzbronione przejście.

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy - powiedziała niemal oficjalnie.

- Byłbym niepokieszony, gdybyśmy się nie zobaczyli.

Oddalali się od siebie - na moment. Lecz gdy zawrócił wóz i przejechał jeszcze raz koło jej domu, stała wciąż na progu, czekając. Pomachał jej ręką i odjechał, napęczniony uczuciem zachwyty i szczęścia. Cieszył się, że istnieje na świecie piękność, której nie sprofanuje dział angażowania aktorów.

Lecz w domu poczuł dziwną samotność, gdy lokaj podawał mu herbatę z samowaru. Odezwała się dawna rana bólem ciężkim i słodkim, gdy wziął do ręki pierwszy z dwóch scenariuszy stanowiących jego wieczorną normę; czytając musiał sobie wszystko wyobrazić na ekranie, wiersz po wierszu. Zwlekał z lekturą, myśląc o Minnie. Wyjaśnił jej, że to naprawdę nic, że nikt na świecie nie może być do niej podobny, że ją przeprasza.

Tak zasadniczo wyglądał jego dzień. Nie wiem nic o chorobie, kiedy się zaczęła i tak dalej, ponieważ był człowiekiem skrytym, wiem tylko, że w ciągu tego miesiąca zemdlął parę razy, bo ojciec mówił mi o tym. Książę Agge jest moim autorytetem, jeśli chodzi o ten lunch

w kantynie, gdzie Stahr powiedział wszystkim, że zamierza zrobić film, który przyniesie straty - a to było coś, jeśli się zważy, z jakimi ludźmi miał do czynienia i że sam posiadał duży pakiet akcji i kontrakt dający mu udział w zyskach wytwórni.

Bardzo dużo powiedział mi Wylie White i wierzę mu, ponieważ wskutek zazdrości i podziwu, jaki miał dla Stahra, czuł go przez skórę. Jeśli chodzi o mnie, to czy chcecie, czy nie - byłam w nim wówczas po uszy zakochana.

Rozdział 5

W tydzień później wybierałam się na spotkanie ze Stahrem świeża jak poranek. Tak mi się przynajmniej zdawało, gdy Wylie zajechał po mnie. Byłam w stroju do konnej jazdy, aby stworzyć wrażenie, że rozpoczęłam dzień o porannej rosie.

- Rzucę się dziś pod jego samochód - powiedziałam.

- Może pod mój? - zaproponował. Zdecydowanie najlepszy używany wóz, jaki Mort Fleishacker w swoim życiu sprzedał.

- Z tobą nie zaryzykuję - odpowiedziałam jak z nut. - Masz żonę na Wschodzie.

- Należy do przeszłości - oświadczył. - Twoim wielkim atutem, Celio, jest poczucie własnej wartości. Czy myślisz, że ktokolwiek spojrzalby na ciebie, gdybyś nie była córką Pata Brady'ego?

Inaczej przyjmujemy dziś obelgi niż kiedyś nasze matki. Dzisiaj nic nie ma znaczenia - żadna uwaga. Powie ci ktoś taki, żeś kuta na cztery nogi albo że się z tobą żeni dla pieniędzy, albo ty mu coś takiego powiesz. Wszystko jest o wiele prostsze. „Czyżby?“, zwykliśmy mawiać.

Lecz gdy nastawiłam radio i zabrzmiała piosenka „Serce moje bije jak młot...” i wóz popędził w górę Kanionu Laurowego, nie wierzyłam jego słowom. Miałam dobre rysy, choć twarz może trochę zbyt pełną, dobre nogi, skórę, której dotyk każdy z nich bardzo lubił, i nie musiałam nosić staniczka. Nie miałam słodkiego usposobienia, lecz czy ktoś taki jak Wylie White miał prawo czynić mi z tego powodu zarzuty?

- Czy nie uważasz, że to dobry pomysł przyjść rano? - spytałam.

- Tak, zwłaszcza do kogoś, kto ma najmniej czasu w całej Kalifornii. Doceni cię z pewnością. Dlaczego nie obudziłaś go o czwartej?.

- No właśnie! Wieczorem jest taki zmęczony! W ciągu dnia widzi mnóstwo osób, czasami niezłych. Więc zjawiam się rano i pobudzam do myślenia.

- To mi się nie podoba. Jest cyniczne.

- Co możesz zaproponować? Tylko bądź miły.

- Kocham cię - powiedział bez większego przekonania. - Kocham cię więcej niż twoje pieniądze, to znaczy - ogromnie. Może twój ojciec zrobi ze mnie supervisora.

- Mogłam w tym roku wyjść za takiego, co już był jedną nogą na tamtym świecie. Żyłabym jak królowa na Long Island.

Przekreśliłam gałkę i usłyszałam „Stracony” albo „Na zawsze” - tegoroczne szlagiery. Z muzyką znowu było lepiej, naprawdę brała człowieka, nie to, co w latach kryzysu, kiedy byłam młoda i kiedy najlepsze kawałki pochodziły z lat dwudziestych: na przykład Benny Goodmana „Niebieskie niebo” czy Paula Whitemana „Gdy kończy się dzień”. Zresztą była to muzyka tylko do słuchania. Teraz lubiłam prawie wszystko, nie mogłam tylko wytrzymać, kiedy ojciec podśpiewywał „Moje małżeństwo miało pracowity dzień”, dla stworzenia atmosfery sentymentalnej ojcowskiej czułości.

Nie odpowiadał mi nastrój „Straconego” ani „Na zawsze”, więc znowu przekreśliłam gałkę i trafiłam na „Przyjemnie spojrzeć”, mój ulubiony rodzaj piosenki. Obejrzałam się za siebie, gdy przejechaliśmy przez przełęcz - w przeczystym powietrzu widać było każdy liść na Górze Zachodzącego Słońca, odległej o dwie mile. Czy to nie dziwne, że człowieka czasem zaskoczy taka rzecz jak powietrze - zwyczajne powietrze, obecne zawsze i wszędzie!

- „Przyjemnie spojrzeć, a jak miło poznać...” - zanuciłam.

- Czy zaśpiewasz to dla Stahra? - spytał Wylie. - Bo jeżeli tak, to wstaw jeden wiersz o tym, że byłbym doskonałym kierownikiem artystycznym.

- Och, będę śpiewać tylko o nim i o mnie - odparłam. - A on spojrzy na mnie i pomyśli: właściwie nigdy jej dotąd nie widziałem.

- Już nie śpiewa się tego w tym roku - powiedział Wylie.

- No to powie „moja Cecylko” - jak wtedy, podczas trzęsienia ziemi. Powie, że wcale nie zauważył, kiedy stałam się kobietą.

- Nie będziesz musiała nic robić.

- Tak. Po prostu stać i wyglądać jak kwiat, kiedy mnie pocałuje, jak całuje się dziecko...

- Wszystko to jest w moim scenariuszu - poskarżył się Wylie - on to jutro rano przeczyta!

- ... siądzie, zakryje twarz rękami i powie, że nigdy nie myślał o mnie w taki sposób.

- Chcesz powiedzieć, że w czasie pocałunku energicznie zabierzesz się do niego?

- Będę jak kwiat - powiedziałam. - Ile razy mam ci to powtarzać? Jak kwiat!

- To mi zaczyna brzmieć dość lubieżnie - zauważył Wylie. - Lepiej odłóżmy ten temat,

muszę dziś od rana zabrać się do pracy.

- Potem on powie, że zawsze w nim to było.

- Znasz ten fach. Masz w żyłach krew producenta. - Zatrząś się z obrzydzenia. - Brr...
niech mnie Pan Bóg broni przed transfuzją...

- Potem on mówi...

- Jego odzywki już znam - powiedział Wylie. - Interesują mnie twoje.

- Ktoś wchodzi - ciągnęłam dalej.

- A ty pospiesznie zeskakujesz z kanapy dla kandydatek do filmu i wygładzasz spódniczkę.

- Czy chcesz, żebym wysiadła i wróciła do domu?

Byliśmy teraz w pięknej dzielnicy Beverly Hills, wśród wysokich hawajskich sosen. Hollywood jest miastem podzielonym na strefy według hierarchii dochodów i dokładnie wiadomo, w jakiej strefie kto mieszka, od dyrektorów i reżyserów aż po wille zamieszkałe przez techników i na końcu - statystów. Jechaliśmy przez strefę dyrektorów, ich rezydencje tworzyły w sumie pstry tort imieninowy. Nie miała ta dzielnica romantyzmu starych wiosek Wirginii czy New Hampshire. Lecz tego ranka wyglądała całkiem przyjemnie.

„Pytają mnie, skąd wiem, że moja luba jest mi wierna”, zawodziło radio.

W sercu moim płonął taki ogień, że oczy zaszyły mi dymem itepe; obliczyłam swoje szanse na pięćdziesiąt procent. Podejdę do niego, jakbym zamierzała go minąć albo pocałować w usta, zatrzymam się w odległości trzydziestu centymetrów i powiem: „Halo” z rozbrajającą skromnością.

I zrobiłam tak - chociaż, oczywiście, wszystko było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam: piękne, ciemne oczy Stahra odpowiedziały mi spojrzeniem czytającym w moich myślach - głowę dam za to - i ani odrobinę nie zakłopotanym. Stałam bez ruchu chyba z godzinę, w każdym razie tak mi się wydawało; Stahr uśmiechnął się kątem ust i włożył ręce do kieszeni.

- Czy pójdziesz ze mną dziś na bal? - spytał.

- Jaki bal?

- Bal scenarzystów w „Ambasadorze”.

- O, tak!

Zamyślił się.

- Nie mogę cię zabrać, pewnie przyjdę później. Mamy pokaz w Glendale.

Jakież to było zupełnie inne od tego, co wymyśliłam. Kiedy usiadł, podeszłam, położyłam głowę między telefonami, gdzie musiała wyglądać jak przycisk na biurku, i

spojrzałam na niego: a jego ciemne oczy popatrzyły na mnie tak miło - i to wszystko. Mężczyźni rzadko wyczuwają chwilę, gdy można mieć dziewczynę dosłownie za nic. Zdołałam mu podsunąć tylko jedno:

- Dlaczego nie wyjdiesz za mąż, Celio?

Może znowu wspomni o Robbym, spróbuje mnie z nim skojarzyć?

- Co mam zrobić, żeby zainteresować interesującego człowieka? - spytałam.

- Powiedzieć mu, że jesteś w nim zakochana.

- Czy latać za nim?

- Tak - odparł z uśmiechem.

- Nie wiem. Jak czegoś nie ma, to nie ma.

- Ożeniłbym się z tobą - powiedział nieoczekiwanie. - Piekielnie dokucza mi samotność. Ale jestem zbyt stary i zmęczony, żeby się na to zdobyć.

Obeszłam biurko i stanęłam przy nim.

- Może zdobędziesz się na mnie?

Spojrzał zdumiony; nareszcie zrozumiał, że jestem śmiertelnie poważna.

- Ach, nie - odpowiedział. Wyglądał przez chwilę żałośnie. - Moja miłość to film. Niewiele mam czasu przed sobą... - Poprawił się szybko: - Chciałem powiedzieć, nigdy nie mam czasu.

- Nie mógłbyś mnie pokochać?

- Nie o to chodzi - odparł i tak, jak sobie wymarzyłam, choć jednak inaczej: - Nigdy nie myślałem o tobie w ten sposób, Celio. Znam cię tak dawno. Ktoś mi powiedział, że wychodzisz za Wyliego White'a.

- A co ty na to? Nic?

- Owszem. Chciałem z tobą o tym pomówić. Poczekaj, aż przestanę pić, przynajmniej przez dwa lata.

- On zupełnie nie wchodzi w grę, Monroe.

Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. I wtedy - dokładnie tak, jak sobie wymyśliłam - ktoś wszedł do gabinetu - tylko że przedtem Stahr na pewno przycisnął ukryty pod biurkiem dzwonek.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy poczułam za plecami pannę Doolan z notatnikiem w ręce; był to koniec mojego dzieciństwa, koniec zbierania fotosów. Widziałam dotąd nie Stahra, lecz jakby jego podobiznę, starannie wyciętą z prasy: oczy, które ogarniały cię doświadczonego spojrzeniem, zbyt szybko uciekającym pod szerokie czoło, człowieka zajętego tysiącem planów i intryg; twarz, która starzała się od wewnątrz, pozbawiona bruzd

wyrytych przez niepokój, ascetycznie ściągnięta może wysiłkiem cichej, wewnętrznej walki, może długą chorobą... Była dla mnie piękniejsza od wszystkich innych, rumianych i opalonych w Coronado czy Del Monte. Była moją własnością, jak fotosy, którymi wyklejałam ściany starej, szkolnej szafki, zamykanej na kluczyk. Wszystko to usłyszał ode mnie Wylie White, a kiedy dziewczyna zwierza się mężczyźnie, który jej się podoba, na temat drugiego, który jej się bardzo podoba, to na pewno jest zakochana.

Zauważyłam ją na długo przed przybyciem Stahra na bal. Nie była to „ładna dziewczyna”, takich nie ma w Los Angeles; ładna może być jedna, ale tuzin podobnych to już chórzystki. Nie była też zawodową pięknoscią, z tych, co zabierają powietrze innym, i nawet panowie muszą w końcu wyjść, żeby trochę odetchnąć. Po prostu dziewczyna o cerze rafałowskiego aniołka i tak szykowna, że człowiek musiał się obejrzeć, żeby zobaczyć, co właściwie miała na sobie..

Zauważyłam ją, a potem zapomniałam o niej. Siedziała daleko za kolumnadą, przy stole ozdobionym osobą przywidłej półgwiazdy, która tańczyła absolutnie z każdym straszędem, byleby zwrócić na siebie uwagę i zdobyć jakąś rolę. Przypomniałam sobie ze wstydem mój pierwszy bal, kiedy to mama kazała mi tańczyć wciąż z tym samym chłopcem, żebym była na widoku. Półgwiazda zagadnęła kilka osób przy naszym stole, lecz byliśmy zgraną paczką „z wyższych sfer” i niczego w końcu nie osiągnęła.

W naszym przekonaniu ludzie zawsze czegoś od nas chcieli.

- Oczekują od nas, że będziemy szaleć jak za dawnych czasów - powiedział Wylie. - Kiedy widzą, że trzymamy się innego stylu, tracą odwagę. Stąd ten dzielny, lecz ponury wyraz twarzy. Być typem z Hemingwaya, to dla nich jedyne wyjście, aby zachować szacunek dla samego siebie. Lecz pod tym wszystkim kryje się w nich nienawiść, ponura nienawiść, i ty wiesz o tym.

Miał rację - wiedziałam, że od 1933 roku bogaci mogą być szczęśliwi tylko we własnym gronie.

Widziałam przyście Stahra: zjawił się w cieniu arkady wieńczącej szerokie schody i stojąc z rękami w kieszeniach, rozglądał się po sali. Było późno i światła robiły wrażenie, jakby już trochę przygasły, chociaż były wciąż te same. Program na parkiecie dobiegał końca, produkował się jeszcze tylko jakiś człowiek z tablicą, głoszącą, że Sonja Henie będzie się ślizgać w Hollywood Bowl na gorącej zupie. Gdy tańczył, napis na jego plecach wydawał się coraz mniej śmieszny... Jeszcze parę lat temu zebraloby się koło niego trochę pijanych, za którymi przywidła aktorka tęsknie rozglądała się spoza ramienia swego tancerza. Odprowadzałam ją wzrokiem, gdy wracała do stolika...

... i tam, ku memu zdumieniu, znalazłam Stahra; rozmawiał stojąc z tą drugą dziewczyną, i tak uśmiechali się do siebie, jakby życie dopiero się dla nich zaczęło.

Stahr nie spodziewał się tego, gdy parę minut wcześniej stał na schodach. Był rozczarowany pokazem filmu, potem zrobił awanturę Jacques'owi La Borwitzowi, czego teraz żałował. Zamierzał przyłączyć się do paczki Brady'ego, gdy ujrzał Kathleen siedzącą przy długim stole, samą.

I nagle wszystko się zmieniło. Szedł ku niej przez rozstępujący się tłum, który wsiąkał w ściany jak malowidło; biały stół wyciągnął się na długość ołtarza, przy którym kapłanka siedziała samotnie. Poczł przyływ sił, mógłby bez końca stać i przez stół patrzeć na nią z uśmiechem.

Powrócili biesiadnicy, Stahr z Kathleen poszli tańczyć.

Gdy poczuł ją blisko, zbladły wszystkie wizje jej osoby: stała się natychmiast nierealna. Zazwyczaj kształt głowy nadaje dziewczynie jej rzeczywisty wymiar, lecz nie tej! Oszłomienie trwało, gdy przetańczyli cały parkiet, aż po duże lustro; w głębi zwierciadła rozpoczęli nowy taniec z innymi tancerzami, o twarzach jakby już znajomych. Na tym nowym terenie powiedział szybko, natarczywie:

- Jak się pani nazywa?
- Kathleen Moore.
- Kathleen Moore - powtórzył.
- Nie mam telefonu, jeśli o to panu chodzi.
- Kiedy pani przyjdzie do wytwórni?
- To niemożliwe. Naprawdę.
- Dlaczego? Ma pani męża?
- Nie.
- Nie ma pani męża?
- Nie i nigdy nie miałam. Ale może będę miała.
- Kogoś przy tym stole?
- Nie! - zaśmiała się. - Co za ciekawość!

Ale była zainteresowana nim wcale nie mniej niż on nią, niezależnie od tego, co mówiła. Jej oczy zachęcały go do żarliwego, romantycznego zespolenia się. Jakby zdając sobie z tego sprawę, szepnęła z przestrawieniem:

- Muszę już wracać. Obiecałam ten taniec.
- Nie chcę pani stracić. Czy możemy zjeść razem lunch albo kolację?

- To niemożliwe. - Lecz nic nie mogła poradzić, że zamiast tego mówiła „owszem, możliwe, drzwi są wciąż uchylone, niech pan spróbuje. Ale szybko - mamy tak mało czasu...”

- Muszę wracać - powtórzyła głośno. Potem opuściła w dół ramiona, przestała tańczyć i spojrzała na niego śmiejąc się figlarnie.

- Kiedy jestem z panem, nie mogę prawidłowo oddychać - powiedziała.

Odwróciła się, uniosła ogon długiej sukni i wstąpiła z powrotem w lustro. Stahr szedł za nią, póki nie przystanęła w pobliżu stołu.

- Dziękuję panu za taniec - rzekła - a teraz już naprawdę: dobranoc!

I niemal pobiegła.

Stahr skierował się do stołu, przy którym go oczekiwano, i usiadł z paczką „z wyższych sfer” - z ludźmi z Wall Street, Grand Street, Loudon County, z Wirginii i dalekiej Odessy. Rozprawiali z zapalem o koniu, który świetnie pobiegł w gonitwach, a najbardziej zapalony ze wszystkich był pan Marcus. Żydzi przejęli teraz kult konia jako symbol - pomyślał Stahr - dawniej jeździli na koniach Kozacy, Żydzi chodzili piechotą. Teraz Żydzi mieli konie, co dawało im poczucie niezwykłego dobrobytu i potęgi. Stahr siedział udając, że słucha, i nawet potakiwał głową, gdy zwracano się do niego, lecz przez cały czas obserwował ten stół za kolumnadą. Nie wszystko było dla niego jasne, nawet jego własna pomyłka ze srebrnym paskiem przypisanym innej dziewczynie, który mógł oznaczać jakiś chytry podstęp. Lecz fakt, że ona naprawdę chciała mu się wymknąć, był poza wszelkim podejrzeniem. Bo oto spostrzegł w pewnym momencie, że znów ucieka - pantomima przy stole oznaczała odejście. Wychodziła, już jej nie było.

- No i proszę - powiedział złośliwie Wylie White - mamy prawdziwego Kopciuszka. Zgubiony pantofelek proszę odnieść do Regal Shoe Company, 812, South Broadway.

Stahr dogonił ją w długim korytarzu na piętrze, gdzie w kącie oddzielnym sznurem siedziały kobiety pilnujące wejścia do sali balowej.

- Czy to z mojej winy? - spytał.

- Nie, już muszę iść - lecz niemal z wyrzutem dodała: - Wszyscy zaczęli gadać, jakbym tańczyła z księciem Walii. Gapili się na mnie. Jeden z panów chciał narysować mój portret, inny pragnął się ze mną umówić na jutro.

- Tak samo jak ja - powiedział uprzejmie Stahr - tylko ja pragnę tego o wiele bardziej niż on.

- Ależ pan jest uparty - odpowiedziała ze znużeniem. - Opuściłam Anglię dlatego między innymi, że tam mężczyźni zawsze chcą postawić na swoim. Myślałam, że tu jest inaczej. Nie wystarczy, że nie chcę pana widzieć?

- Powinno wystarczyć - zgodził się Stahr. - Błagam, niech mi pani uwierzy, zupełnie siebie nie poznaję. Czuję się jak dureń. Ale naprawdę muszę panią jeszcze zobaczyć i porozmawiać.

Zawahała się.

- Ale nie ma pan powodu czuć się jak dureń - powiedziała. - Taki wspaniały mężczyzna nie może czuć się jak dureń. Lecz powinien pan widzieć rzeczywistość taką, jaka jest.

- A jaka jest?

- Stracił pan dla mnie głowę z kretesem. I w swoich marzeniach już mnie pan posiadał.

- Zapomniałem o pani - oświadczył - aż do momentu, gdy stanąłem w tamtych drzwiach.

- Być może myślami zapomniał pan, ale kiedy pierwszy raz pana zobaczyłam, wiedziałam od razu, że należy pan do tych, którym się podobam...

Zreflektowała się. Obok nich jakiś mężczyzna żegnał się z kobietą. - Powiedz jej ode mnie do widzenia i powiedz, że ją strasznie kocham - mówiła kobieta - kocham was oboje, wszystkich was, dzieci także. - Stahr nie umiał tak mówić, tak, jak się teraz mówiło. I nic innego nie przyszło mu do głowy, gdy zmierzała do windy, jak tylko:

- Przypuszczam, że ma pani absolutną rację.

- Ach, tak? Przyznaje pan to?

- Nie, nie przyznaję - wycofał się. - Chodzi po prostu o to, jaka pani jest... cała. Jak pani mówi, jak pani chodzi, jak pani patrzy, na przykład w tej chwili... - Widział, że topnieje, i nadzieja w nim rosła. - Jutro jest niedziela, zwykle w niedzielę pracuję, lecz jeśli chce pani zobaczyć miasto albo kogoś poznać, to niech mi pani pozwoli to zaaranżować, bardzo proszę.

Stali przy windzie. Drzwi otwarły się, lecz ona nie wsiadła.

- Jest pan bardzo skromny - odpowiedziała. - Mówi pan zawsze o pokazaniu mi wytwórni albo czegoś innego w okolicy. Czy nigdy nie jest pan sam?

- Jutro będę się czuł bardzo samotny.

- Och, biedaczek, aż mi się na płacz zbiera. Największe gwiazdy ekranu chętnie skakałyby koło niego, lecz on wybrał mnie.

Uśmiechnął się; był wobec niej bezradny.

Winda znów się zatrzymała. Dała znak chłopcu, żeby zaczekał.

- Jestem słabą kobietą - powiedziała. - Jeżeli spotkam się z panem jutro, czy zostawi mnie pan później w spokoju? Nie. Będzie jeszcze gorzej. Nie wyniknie z tego nic dobrego, przeciwnie, coś złego, więc mówię „nie” i dobranoc panu.

Weszła do windy. Wszedł za nią i uśmiechnięci zjechali o dwa piętra niżej, do pasażu mieszczącego małe sklepiki. U jego wylotu, powstrzymywany przez policję, gromadził się tłum ludzi, którzy przepychali się wyciągając szyje, by zajrzeć w głąb uliczki. Kathleen zadrżałaś.

- Patrzyli na mnie tak dziwnie, kiedy tu wchodziłam - wyznała - jakby oburzeni, że nie jestem żadną sławą.

- Znam inne wyjście - powiedział Stahr.

Wyszli przez drugstore, na boczną uliczkę, i znaleźli się obok parkingu. Była jasna, chłodna kalifornijska noc. Poczuli się bardzo daleko od sali balowej, ona także.

- Kiedyś mieszkało tu wielu aktorów - powiedział. - John Barrymore i Pola Negri w tamtych willach, a w tym wysokim wąskim bloku po drugiej stronie mieszkała Connie Talmadge.

- Czy, teraz nikt już tu nie mieszka?

- Wytwórnice przeniosły się za miasto - odparł - to znaczy tam, gdzie kiedyś nie było jeszcze miasta. Przeżyłem tutaj piękne chwile...

Nie wspomniał, że przed dziesięciu laty Minna mieszkała z matką w jednym z tych bloków.

- Ile pan ma lat? - spytała nagle.

- Straciłem orientację... chyba już prawie trzydzieści pięć.

- Słyszałam przy naszym stole, że był pan cudownym dzieckiem.

- I nadal będę, nawet gdy skończę sześćdziesiąt lat - odparł cierpko. - Zobaczymy się jutro, dobrze?

- Zobaczymy się. Gdzie?

Okazało się nagle, że nie wiedzą, gdzie się spotkać. Nie chciała pójść z nim na żadne przyjęcie ani pojechać na wieś, ani pływać, chociaż nad tym zawahała się przez chwilę, ani do jakiegoś modnego lokalu. Wydawała się kapryśna, lecz on wiedział, że nie bez powodu. Dowiódł się w swoim czasie. Przyszło mu do głowy, że jest może siostrą albo córką jakiejś znanej osobistości i musi pozostać w cieniu. zaproponował, że przyjedzie po nią i wtedy zdecydują.

- Nie, nie chcę - odpowiedziała. - A może tutaj, w tym samym miejscu?

Zgodził się, wskazując na łuk, pod którym stali.

Pomógł Kathleen wsiąść do jej samochodu, za który łaskawy nabywca dałby najwyżej osiemdziesiąt dolarów i który ruszył z miejsca chrypiąc i zgrzytając. Przy wejściu rozległy się krzykliwe brawa - publiczność witała kogoś ze swych ulubieńców. Stahr zastanowił się,

czy powinien wrócić do towarzystwa, żeby się pożegnać.

Teraz ja, Celia, podejmuję dalszy ciąg opowieści. Stahr ostatecznie powrócił - było już po wpół do trzeciej - i zaprosił mnie do tańca.

- Jak się czujesz? - spytał, jakbyśmy się wcale nie widzieli tego ranka. - Wdałem się w długą rozmowę z jednym panem.

A więc trzymał to w tajemnicy - tak bardzo mu na tym zależało...

- Odwiozłem go - ciągnął dalej niewinnie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ta część miasta się zmieniła.

- Naprawdę się zmieniła?

- O tak, ogromnie. Nie do poznania. Nie potrafię ci powiedzieć dokładnie, ale wszystko jest inne, wszystko. To zupełnie inne, nowe miasto. - Po chwili uzupełnił: - Nie miałem pojęcia, do jakiego stopnia się to wszystko zmieniło.

- Co to był za pan? - zaryzykowałam.

- Mój stary przyjaciel - odparł niejasno - znajomy z dawnych lat.

Kazałam Wyliemu dyskretnie dowiedzieć się, kim była ta dziewczyna. Gdy podszedł do tamtego stołu, ekskwiada poprosiła go, by usiadł. Nie, nie wie, co to za dziewczyna, przyjaciółka czyjejs przyjaciółki, nawet mężczyzna, który z nią przyszedł, nie wiedział.

Tak więc tańczyłam ze Stahrem w takt pięknej piosenki o huśtawce, którą grał nam Glen Miller. Dobrze się teraz tańczyło, na parkiecie było dużo miejsca. Lecz zrobiło się pusto - puściej, gdy odeszła ta dziewczyna. Dla mnie, podobnie jak dla Stahra, wraz z jej odejściem wieczór się skończył, zabrała ze sobą ten kłujący ból, który czułam - wielka sala balowa opustoszała, pozbawiona wzruszeń. Teraz wszystko już było nieważne, tańczyłam z mężczyzną, który będąc myślami daleko opowiadał mi, jak bardzo zmieniło się Los Angeles.

Spotkali się następnego popołudnia, jak obcy sobie ludzie w nieznanym kraju. Skończyła się noc, zniknęła dziewczyna, z którą tańczył. Różowo-błękitny kapelusz osłonięty mgłą woalki sunął ku niemu z głębi ulicy i przystanął, badając jego twarz. Stahr również wyglądał obco - w brązowym garniturze z czarnym krawatem stał się dojmująco daleki - bardziej niż w wieczorowym fraku albo gdy poznali się i był tylko twarzą z głosem w półmroku.

Stahr pierwszy nabrał pewności, że to ta sama osoba co przedtem: górna część twarzy należała do Minny, lśniaca skóra z odcieniem śmietanki na skroniach i opalizująca brązem - zimnym brązem jej wijących się włosów. Mógłby ją objąć i przycisnąć mocno do siebie, jak

kogoś bardzo swojego - znał już puszek na jej karku, układ kręgów na plecach, kąciki jej oczu, rytm oddechu - nawet fakturę jej sukienek.

- Czy czekał pan tutaj przez całą noc? - spytała głosem podobnym do szeptu.

- Nie ruszyłem się stąd, nie drgnąłem.

I wciąż ten sam problem - nie mieli gdzie pójść.

- Napiałabym się herbaty - zaproponowała - ale tam, gdzie pana nie znają.

- Wygląda na to, że któregoś z nas ma złą reputację.

- To prawda - roześmiała się.

- Pojedziemy na wybrzeże - powiedział Stahr. - Do takiego miejsca, gdzie goniła mnie kiedyś tresowana foka.

- Czy pan sądzi, że ta foka da nam herbaty?

- Możliwe, nie wykluczam, jest tresowana, I nie przypuszczam, żeby później plotkowała, chyba nie jest aż tak wytresowana. Właściwie co pani chce ukryć?

Po chwili powiedziała lekko: - Może przyszłość - w sposób, który mógł znaczyć wszystko i nic.

Gdy ruszyli z miejsca, wskazała swój gruchot na parkingu.

- Czy nic mu nie grozi?

- Nie wiem. Zauważyłem, że kręcą się tutaj jakieś typy z czarnymi brodami.

Kathleen spojrzała na niego zaniepokojona.

- Naprawdę? - Zobaczyła, że się uśmiecha. - Wierzę we wszystko, co pan mówi - powiedziała. - Ma pan tak łagodne usposobienie, że nie rozumiem, dlaczego wszyscy się pana boją. - Przyjrzała mu się z uznaniem, nieco strapiona jego bledością, którą słoneczny blask jeszcze podkreślał. - Czy dużo pan pracuje? Czy naprawdę pracuje pan w każdą niedzielę?

Zareagował na jej zainteresowanie z rezerwą, lecz poważnie.

- Nie zawsze. Kiedyś mieliśmy... miałem dom, basen i różne takie rzeczy, w niedzielę przychodziło trochę ludzi. Grałem w tenisa i pływałem. Teraz przestałem pływać.

- Ale dlaczego? To panu dobrze zrobi. Myślałam, że wszyscy Amerykanie pływają.

- Nogi mi schudły już parę lat temu, i to mnie krępuje. Robiłem wiele różnych rzeczy - masę rzeczy: grałem w piłkę, kiedy byłem dzieckiem, a nawet tutaj miałem jeszcze boisko, rozmyła je burza.

- Jest pan dobrze zbudowany - powiedziała w formie komplementu, mając na myśli tylko jego sylwetkę.

Potrząsnął głową nie przyjmując pochlebstwa.

- Najbardziej mnie bawi praca - powiedział. - Moja praca bardzo mi odpowiada.

- Czy zawsze chciał pan robić filmy?

- Nie. Kiedy byłem młody, chciałem być najważniejszym urzędnikiem, tym, który wie, gdzie co jest.

Uśmiechnęła się.

- To dziwne. A został pan czymś więcej, o wiele więcej.

- Nie. Wciąż jestem tym właśnie - odparł Stahr. - Bo do tego mam talent, jeśli w ogóle mam jakiś talent. Kiedy się dostałem tutaj, stwierdziłem, że nikt nigdy nie wie, gdzie co jest. I odkryłem, że człowiek musi wiedzieć, dlaczego i co gdzie jest. I czy należy to tam zostawić. Zaczęto wszystko zwać na moje barki, było to bardzo skomplikowane. Ani się obejrzałem, gdy już miałem w ręku klucze do wszystkiego. Gdybym je musiał dziś oddać, nikt już nie wiedziałby, który klucz do jakiego zamka pasuje.

Zatrzymało ich czerwone światło. - Mickey Mouse zamordowana! Randolph Hearst wypowiada wojnę Chinom! - krzyknął im gazeciarz prosto w twarz.

- Trzeba kupić tę gazetę - powiedziała.

Gdy ruszyli dalej, poprawiła kapelusz i wyprostowała się. Widząc, że patrzy na nią, uśmiechnęła się.

Była bystra, czujna i spokojna - zalety ostatnio bardzo poszukiwane. Tyle było wszędzie ospałości - Kalifornię zaludniał tłum znużonych i przegranych ludzi. Wielu młodych mężczyzn i kobiet przywiozło ze Wschodu zapał i odwagę, które jednak nie wytrzymały walki z klimatem. Było publiczną tajemnicą, że w Kalifornii trudno się zdobyć na ciągły wysiłek; Stahr nie chciał odnieść tej reguły do własnej osoby, skądinąd wiedział jednak, że przybysze z innych stron przez jakiś czas tryskali energią.

Byli teraz przyjaciółmi. Nie uczyniła żadnego ruchu, gestu, który klóciłby się z jej urodą, z jej sylwetką w jakikolwiek sposób. Wszystko było właściwe. Oceniał ją jak ujęcie filmowe. To nie była szmira ani kicz, to była piękna, czysta robota - w jego własnym znaczeniu tego słowa, w którym mieściło się poczucie proporcji i smaku: była „przyjemna”.

Dojechali do Santa Monica, gdzie kilkanaście gwiazd filmowych posiadało okazałe rezydencje w enklawach otoczonych gęstym tłumem, jak na plaży pod Nowym Jorkiem. Pomknęli w dół, w stronę otwartej, błękitnej przestrzeni nieba i morza, potem jechali wzdłuż brzegu, aż z wolna, spod mrowia ludzkich ciał, załśnił ponownie to szerszy, to węższy pas żółtego piasku.

- Buduję sobie dom - powiedział Stahr - niedaleko stąd. Sam nie wiem, po co to robię.

- Może dla mnie - powiedziała.

- Być może.

- Jak to pięknie z pana strony, że zaczął pan budować dla mnie duży dom, nie wiedząc jeszcze, jak wyglądam.

- Nie jest taki duży. I nie ma dachu. Nie wiedziałem, jaki dach zrobić.

- Niepotrzebny nam jest dach. Mówiono mi, że tutaj nigdy nie pada, że...

Zamilkła tak nagle, że wiedział, iż coś sobie przypomniała.

- Och, to już się skończyło.

- Co to było? - spytał. - Inny dom bez dachu?

- Tak. Inny dom bez dachu.

- Czy była tam pani szczęśliwa?

- Żyłam z pewnym mężczyzną - powiedziała - bardzo, bardzo długo, za długo. To jeden z tych strasznych błędów, jakie się w życiu popełnia. Zdałam sobie sprawę, że chcę odejść, ale żyłam z nim jeszcze przez długi czas, bo mnie nie puszczał. Może i chciał, lecz nie mógł się na to zdobyć. W końcu uciekłam.

Śluchał jej i zastanawiał się nad jej słowami, lecz nie wydawał sądu. Nic nie zmieniło się pod różowo-niebieskim kapeluszem. Miała około dwudziestu pięciu lat. Szkoda byłoby, gdyby dotąd nie kochała i nie była kochana.

- Byliśmy zbyt mocno ze sobą związani - powiedziała. - Może gdybyśmy mieli dzieci, rozdzielałyby nas trochę. Lecz nie można mieć dzieci, kiedy dom nie ma dachu.

W porządku, teraz już wiedział. Nie tak, jak wczoraj, gdy jakiś głos w nim powtarzał, niby w dyskusji nad scenariuszem: - Nie wiemy nic o tej dziewczynie. Nie musimy wiedzieć dużo, ale coś jednak musimy wiedzieć! - Wyłoniło się za nią jakieś tło, bardziej konkretne niż głowa Sziwy oblana światłem księżyca.

Dojechali do restauracji, przed którą stała odstręczająca ilość niedzielnych samochodów. Gdy wysiedli, tresowana foka zawarczała przypominając sobie Stahra. Jej właściciel powiedział, że kiedy w aucie sadza ją z tyłu, to zaraz wdrapuje się przez oparcie, żeby usiąść obok niego na przodzie. Człowiek ten był bez wątpienia niewolnikiem swojej foki, chociaż sobie tego jeszcze nie uświadamiał.

- Chętnie zobaczyłabym dom, który pan dla siebie buduje - powiedziała Kathleen. - Nie chcę herbaty, herbata to przeszłość.

Zamiast herbaty Kathleen napiła się coca-coli i potem jechali przez dziesięć mil w tak mocnym blasku słońca, że wyjął ze schowka dwie pary okularów. Pięć mil dalej skręcili na wąski cypel i dotarli do miejsca budowy.

Silny wiatr, wiejący z czystego nieba, rozbijał przybój o skały i opryskiwał pianą samochód. Betoniarka, żółte, surowe drewno i sterty gruzu czekały na koniec niedzieli -

otwarta rana w morskim krajobrazie. Obeszli dom od frontu, gdzie na dwóch wielkich głazach miał stać taras.

Obejrzała się za siebie i skrzywiła lekko na widok świecących pustką wzgórz.

- Nie warto szukać tego, czego tu nie ma - powiedział wesoło. - Niech pani sobie wyobrazi, że stoi na czubku globusu... zawsze chciałem mieć globus, kiedy byłem chłopcem.

- Rozumiem - oświadczyła po chwili. - Wtedy można sobie uświadomić, że Ziemia się obraca, prawda?

Kiwnął głową.

- Tak. Bez tego wszystko razem jest po prostu *manana*, czekaniem na poranek albo na księżyc.

Przeszli pod rusztowaniem do środka domu. Jeden pokój, przeznaczony na największy salon, był już wykończony, aż po półki w ścianie i karnisze pod oknami, czekające na zasłony; miał w podłodze zapadnię na filmowy projektor. Pokój ten wychodził na taras, gdzie - ku jej zdumieniu - stały krzesła z poduszkami i stół do ping-ponga, wszystko na swoim miejscu. Drugi taki stół był nieco dalej, na ziemi przykrytej świeżą darnią.

- W zeszłym tygodniu pochopnie wydałem tutaj śniadanie - przyznał się Stahr. - Przywieźli mi parę rekwizytów, trochę trawy. Chciałem zobaczyć, jak tu będzie.

Roześmiała się nagle.

- Więc to nie jest prawdziwa trawa?

- Owszem, to jest trawa.

Za pasem istniejącego jeszcze trawnika wykopano już dół pod basen, opanowany chwilowo przez mewy, które na ich widok odleciały.

- I pan tu zamieszka zupełnie sam? - spytała go. - Nawet bez jakiejś dziewczyny?

- Prawdopodobnie. Miałem kiedyś zwyczaj robienia planów na przyszłość, ale teraz już nie. Myślałem sobie, że przyjemnie będzie czytać tu scenariusze. Prawdziwym moim domem jest wytwórnia.

- To się zgadza z tym, co słyszałam o amerykańskich biznesmenach.

Dosłyszał nutkę krytycyzmu w jej głosie.

- Człowiek robi to, do czego się urodził - odparł uprzejmie. - Mniej więcej raz na miesiąc próbuje mnie ktoś reformować, ostrzega przed jałową starością, czyhającą na mnie, gdy będę już niezdolny do pracy. Lecz to wcale nie takie proste.

Wiatr wzmagał się. Czas był opuścić to miejsce, wyjął więc z kieszeni kluczyki od samochodu i potrząsał nimi z roztargnieniem. Srebrzysty odgłos telefonu zabrzmiał nagle w słonecznej przestrzeni.

Dzwonek dźwięczał gdzieś poza domem, zaczęli szukać go w całym ogrodzie goniąc się jak dzieła, gdy grają w „ciepło i zimno”, aż w końcu wpadli do szopy z narzędziami koło kortu tenisowego. Telefon, zirytowany zwłoką, szczebnał na nich podejrzliwie ze ściany. Stahr zawahał się.

- Może niech sobie dzwoni dalej?

- Ja bym tak nie mogła. Chyba że wiedziałabym, kto to.

- Albo wcale nie do mnie, albo gwałtownie mnie poszukują.

Podniósł słuchawkę.

- Halo... Zamiejscowa, ale skąd? Tak, tu mówi Stahr.

W jego zachowaniu zaszła nieuchwytna zmiana. Kathleen ujrzała coś, co niewielu widziało: Stahr był przejęty. Widać było prawdziwe przejęcie, które często tylko udawał - ponieważ odmłodziło go na chwilę.

- To prezydent - powiedział niemal uroczyście.

- Waszej spółki?

- Nie. Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Usiłował zachować swobodę ze względu na nią, lecz głos jego nabrzmiał gorliwością.

- Tak jest, poczekam - powiedział do telefonu, a potem do Kathleen: - Mówiłem już kiedyś z nim.

Obserwowała go. Uśmiechnął się do niej i mrugnął, jakby dla zapewnienia, że chociaż musi okazać szacunek prezydentowi, to przecież o niej nie zapomni.

- Halo - powtórzył. Słuchał. Potem powiedział jeszcze raz: - Halo! - i zmarszczył brwi.

- Czy może pan mówić trochę głośniej - rzekł uprzejmie, a potem: - Kto? ... Co to znaczy?!

Ujrzała wyraz niesmaku na jego twarzy.

- Nie będę z nim rozmawiał - powiedział. - Nie!

Odwrócił się do Kathleen: - Może mi pani wierzyć albo nie, ale to orangutan!

Kiwnął na Kathleen, a gdy podeszła do telefonu, wręczył jej słuchawkę, w której usłyszała dziwny oddech, potem stłumiony ryk. Następnie głos: - To prawdziwy orangutan, Monroe. Umie mówić i jest groźnym przeciwnikiem dla McKinleya. Pan Horace Wickersham jest tu ze mną i trzyma fotografię McKinleya...

Stahr słuchał cierpliwie.

- Mieliśmy szympansa w zeszłym roku - powiedział po minucie. - Pogryzł Johna Gilberta... W porządku, daj go jeszcze raz.

Rzekł poważnie, jak do dziecka: - Jak się masz, orangutanie?

Po chwili odwrócił się do Kathleen z innym wyrazem twarzy. - Powiedział do mnie: halo!

- Niech go pan spyta, jak mu na imię - zaproponowała.

- Halo, orangutanie... O Boże, co z tego można zrobić! Czy wiesz, jak się nazywasz?... Nie, nie wie tego... Posłuchaj mnie, Lewis. Nie będziemy kręcić nic w rodzaju King Konga, a w filmie „Małpa” nie ma żadnej małpy... Oczywiście, jestem tego pewien. Przykro mi, Lewis, do widzenia..

Zły był na niego, ponieważ uwierzył, że to prezydent osobiście dzwoni do niego, i przygotował się na to. Poczul się trochę ośmieszony, lecz Kathleen współczuła mu i polubiła go jeszcze więcej właśnie za to, że to był orangutan.

Ruszyli z powrotem wzdłuż wybrzeża mając słońce za plecami. Dom wydał im się z daleka przyjemniejszy, jakby ogrzany ich przelotną obecnością; odpychający blichtr nowości łatwiej było znieść, gdy poczuli, że nie są przywiązani do tego.

- Bardzo panu dziękuję. To było przyjemne popołudnie.

Byli niedaleko od jej domu. Czuli, że droga biegnie pod górę, głośniejszy szum motoru na drugim biegu był początkiem końca. W willach, wspinających się na wzgórza, płonęły światła, Stahr zapalił przednie światła w swoim wozie. Poczul ciężar w sercu.

- Spotkamy się jeszcze.

- Nie - odpowiedziała natychmiast, jakby przygotowana na takie oświadczenie. - Napiszę panu. Przepraszam, że jestem taka tajemnicza - to był naprawdę komplement, ponieważ ja bardzo pana lubię. Niech pan postara się mniej pracować, musi się pan ożenić.

- Och, nie to powinna pani powiedzieć - zaprotestował gwałtownie. - To był nasz dzień, mój dzień i pani dzień. Może dla pani nic on nie znaczył, ale dla mnie bardzo wiele. Muszę mieć trochę czasu, żeby pani o tym powiedzieć.

Lecz to już chyba w jej domu, ponieważ byli na miejscu. Ona jednak potrzęsła głową, gdy podjechali pod próg.

- Muszę już iść. Zapomniałam powiedzieć, że się umówiłam.

- To nieprawda. Ale nic nie szkodzi.

Odprowadził ją aż do drzwi i stanął na własnych śladach z pierwszego wieczoru, podczas gdy ona szukała klucza w torebce.

- Znalazła pani?

- Tak, znalazłam - odpowiedziała.

I powinna była pożegnać go w tym momencie, lecz chciała przyjrzeć mu się jeszcze

raz, więc przechyliła głowę na lewo, potem na prawo, usiłując dojrzeć jego twarz w zapadającym zmroku. Wychyliła się zbyt daleko, trwało to odrobinę za długo - jego ręka w naturalny sposób dotknęła jej ramienia i pleców; pociągnęła ją w ciemność, na jego piersi. Kathleen przymknęła oczy, czując kant klucza w mocno zaciśniętej dłoni. Powiedziała „och” wydając westchnienie i potem znowu „och”, gdy przyciągnął ją bliżej i brodą delikatnie nawrócił jej policzek. Oboje uśmiechali się słabo, lecz ona poza tym zmarszczyła brwi, gdy dzielący ich cal przestrzeni rozplynął się w ciemności.

Kiedy rozłączyli się, pokiwała znów głową, lecz raczej na znak zdziwienia niż protestu. A więc tak to przyszło, z jej własnej winy, ale jak się zaczęło, gdzie i kiedy? Tak to przyszło i wysiłek oderwania się od tego, od faktu, że są razem, stawał się coraz większy, coraz mniej możliwy. On promieniał: ona opierała się i nie mogła mieć mu za złe, lecz nie chciała jeszcze dzielić z nim tego uniesienia, bo przecież doznała porażki. Jak dotąd - była to dla niej porażka. A potem pomyślała, że jeśli - chcąc uniknąć klęski - oderwie się i wejdzie do domu, to nie będzie to jeszcze oznaczać zwycięstwa. Będzie to po prostu - nic.

- Nie chciałam tego - powiedziała. - Wcale nie chciałam.

- Czy mogę wejść?

- Och, nie, nie!

- To siadajmy do wozu i jedźmy gdzieś.

Z ulgą chwyciła się tak konkretnej propozycji - odjechać stąd natychmiast było prawdopodobnie najwłaściwszym zakończeniem, jak ucieczka z miejsca zbrodni. Potem znaleźli się w wozie i jechali w dół, czując chłodny powiew wiatru na twarzach; powoli przysła do siebie. Teraz wszystko rysowało jej się wyraźnie - jak czarne i białe.

- Pojedziemy z powrotem do pańskiego domu nad morzem - powiedziała.

- Z powrotem tam?

- Tak, wrócimy do pana domu. I nie rozmawiajmy już więcej. Chcę jechać i nic nie mówić.

Gdy znaleźli się nad morzem, niebo było szare, a w Santa Monica dopadła ich nagła ulewa. Stahr zatrzymał wóz na poboczu drogi, włożył płaszcz deszczowy i podniósł płócienny dach. - Mamy dach - powiedział.

Wycieraczki tykały przytulnie jak stary zegar w kącie. Nadąsane wozy opuszczały mokrą plażę, kierując się do miasta. Później wpadli w mgłę, która rozmazała kontur drogi, i jadące im naprzeciw wozy włączały światła pozycyjne w ostatniej chwili, przy mijaniu.

Zostawili za sobą część samych siebie, czuli się lekko i swobodnie. Mgła sączyła się

przez szpary do wnętrza i Kathleen powoli, spokojnie zdjęła swój różowo-niebieski kapelusz, na co Stahr patrzył z napięciem. Schowała go pod płótno na tylnym siedzeniu i potrząsnęła włosami, a gdy spostrzegła, że Stahr ją obserwuje, odpowiedziała mu uśmiechem.

Restauracja z tresowaną foką zamieniła się w smugę zielonego światła z tej strony, gdzie był ocean. Stahr spuścił szybę i wyjrzał szukając drogowskazu, lecz po kilku milach mgła znikła i droga zupełnie nagle skręciła w bok, w stronę jego domu. A tam już świecił księżyc zza chmur. Nad morzem wciąż błąkała się reszta dziennego światła.

Dom znów rozpadł się na poszczególne elementy. Znaleźli belkę zwisającą nad wejściem i potykając się o jakieś tajemnicze przedmioty, sięgające im do pasa, po omacku weszli do jedyne go wykończonego pokoju, który pachniał trocinami i mokrym drewnem. Gdy wziął ją w ramiona, widzieli nawzajem swoje oczy w półmroku. Jego deszczowy płaszcz upadł na podłogę.

- Czekaj - powiedziała.

Potrzebowała minuty. Nic dobrego z tego nie wyniknie, myślała; nie przeszkadzało jej to doznawać uczucia szczęścia i pożądania, potrzebowała jednak minuty, by przemyśleć sobie wszystko od początku, powrócić do tego, co było przed godziną, i zrozumieć, co się teraz dzieje. Czekala w jego ramionach, kręcąc głową jak przedtem, lecz trochę wolniej, i nie spuszczać oczu z jego oczu. Wtem spostrzegła, że on drży.

Spostrzegł to równocześnie z nią i uścisk jego zelżał. Natychmiast odezwała się do niego szorstko, prowokująco i przyciągnęła jego twarz do swojej. Potem walczyła chwilę z czymś, co krępowało jej kolana, stojąc nadal i obejmując go jednym ramieniem, potem kopnięciem zsunęła to coś z nóg. Przestał teraz drżeć i znów mocno przytulił ją do siebie, a potem razem uklękli i osunęli się na płaszcz rozpostarty na podłodze.

Później leżeli nic nie mówiąc, a jego ogarnęła nagle fala czulej miłości, więc przycisnęła ją do siebie z całej siły, aż jakiś szew pękł w jej sukience. Cichy trzask przywrócił ich rzeczywistości.

- Pomogę ci wstać - powiedział biorąc ją za rękę.

- Jeszcze nie w tej chwili. Właśnie myślałam o czymś.

Leżała w ciemności myśląc, wbrew rozsądkowi, że byłoby z tego takie mądre, takie silne dziecko, lecz zgodziła się w końcu, by pomógł jej wstać... Gdy wróciła, pokój oświetlony był lampą włączoną do jedyne go kontaktu.

- System oświetlania jedną żarówką - powiedział. - Może zgasić?

- Nie. Tak jest bardzo przyjemnie. Chcę cię widzieć.

Usiedli na drewnianym parapecie okna dotykając się podeszwami.

- Mam uczucie, że jesteś daleko - powiedziała.

- Ty też.

- Czy jesteś zaskoczony?

- Czym?

- Że rozpadliśmy się na dwie oddzielne osoby? Czy nie wydaje ci się zawsze... czy nie masz nadziei, że się pozostanie jedną osobą? Potem okazuje się nagle, że znów jest dwoje.

- Stałaś mi się bardzo bliska.

- Ty też - powiedziała.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję t o b i e .

Roześmieli się.

- Czy tego właśnie chciałeś? - spytała. - Mam na myśli wczorajsze spotkanie.

- Nie całkiem świadomie.

- Ciekawa jestem, kiedy się to wykrystalizowało - zastanowiła się. - Najpierw wydaje ci się, to niepotrzebne, a potem nagle wiesz, że nic na świecie tego nie powstrzyma.

Brzmiał w tym ton doświadczenia i - o dziwo - polubił ją za to jeszcze więcej. Był w takim nastroju, że namiętnie pragnął powtórzenia przeszłości, nie jej rekapitulacji, i wydało mu się słuszne, że jest tak, jak jest.

- Lekkomysłna ze mnie istota - powiedziała, jakby idąc śladem jego myśli. - Sądzę, że właśnie dlatego nie pojechałam z Edną.

- Kto to jest Edna?

- To ta dziewczyna, którą wziąłeś za mnie. Ta, do której telefonowałeś - mieszka po drugiej stronie ulicy. Przeniosła się do Santa Barbara.

- Chcesz powiedzieć, że to panienka lekkich obyczajów?

- Tak mi się zdaje. Bywa w domu schadzek.

- A to śmieszne.

- Zgadłabym od razu, gdyby była Angielką. Ale wydała mi się jak każda inna amerykańska dziewczyna. Przyznała się dopiero przed wyjazdem.

Spostrzegł, że zadrzała, więc wstał i okrył ją swoim płaszczem. Otworzył szafkę, z której wypadł na podłogę plażowy materac i poduszka. Było tam też pudełko świec, które zapalił i rozstawił w pokoju w różnych miejscach, a do kontaktu na miejsce lampy włączył elektryczny grzejnik.

- Dlaczego Edna tak się mnie bała? - spytał nagle.

- Ponieważ jesteś producentem. Miała jakieś makabryczne przeżycia, ona czy jej przyjaciółka. Myślę też, że jest po prostu strasznie głupia.

- W jaki sposób poznałyście się?

- Przyszła do mnie. Może myślała, że jestem jej upadłą siostrą. Wydawała mi się całkiem przyjemna. Powiedziała do mnie: „Mów mi Edna” i powtarzała w kółko: „Mów mi Edna”, więc w końcu zaczęłam jej mówić po imieniu i to cała nasza przyjaźń.

Zeskoczyła z parapetu, bo chciał podścielić jej poduszki. Usiadła oparta wygodnie.

- Co mogę zrobić? Jestem pasożytem.

- Nie, nie jesteś. - Objął ją. - Posiedź spokojnie. Ogrzej się.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Wiem, z jakiego powodu spodobałam ci się na początku - odezwała się. - Edna mi powiedziała.

- Co ci powiedziała?

- Powiedziała, że wyglądam jak... Minna Davis. Parę osób już mi to mówiło.

Odsunął się od niej i przytaknął ruchem głowy.

- To jest tutaj - i przyłożywszy dłonie do policzków ściągnęła lekko skórę ze skroni. - Tutaj i tutaj - powiedziała.

- Tak - odrzekł Stahr. - Bardzo dziwna sprawa. Jesteś bardziej podobna do niej takiej, jaka była w życiu, niż na ekranie.

Wstała, gestem ręki odsuwając temat, jakby się go bała.

- Ciepło mi teraz - rzekła. Podeszła do szafki, zajrzała do niej i wróciła w małym fartuszkowi we wzorek ze śnieżnych płatków. Rozejrzała się dokoła z przyganą.

- Jak pusto. Słysząc jeszcze echo... ale dopiero przed godziną wprowadziliśmy się tutaj.

Otworzyła drzwi na taras i wciągnęła do środka dwa plecione krzesła otrząsając je z kropel deszczu. Śledził jej ruchy uważnie i z pewną obawą, że ciało jej sprawi mu zawód i czar pryśnie. Widział wiele kobiet na próbnym zdjęciach, widział, jak ich piękność zniknęła w mgnieniu oka, gdy piękny posąg chodząc poruszał się jak lalka z papieru o mizernych cienkich kończynach. Lecz Kathleen stąpiła mocno, całą stopą, i kruchość jej była - jak być powinna - złudzeniem.

- Przestało padać - powiedziała. - Padało w dzień mojego przyjazdu. Padało tak głośno, wiesz, jakby konie rżały.

Roześmiał się.

- Spodoba ci się tutaj. Zwłaszcza jeżeli masz zamiar zostać. Czy zamierzasz zostać?

Nie możesz powiedzieć? Co to za tajemnica?

Potrząsnęła głową.

- Nie teraz, zresztą nie warto o tym mówić.

- No to chodź do mnie.

Podeszła i stanęła przed nim. Przycisnęła policzek do chłodnego płótna fartuszka.

- Jesteś zmęczonym człowiekiem - powiedziała zanurzając dłoń w jego włosy.

- Och, nie w tych sprawach!

- Chcę powiedzieć - dodała szybko - że zaharujesz się na śmierć.

- Przestań mi matkować.

Bądź ladacznicą, pomyślał. Chciał zmienić styl życia. Jeśli miał wkrótce umrzeć, a tak mu powiedziało dwóch lekarzy, to pragnął choć na chwilę nie być Stahrem i polować na miłość jak mężczyźni, którzy nie mieli nic do dania, jak bezimienni młodzi mężczyźni, którzy rozglądają się na ulicy wieczorem.

- Zdjąłeś mi fartuszek - powiedziała.

- Tak.

- Ktoś może chodzić po plaży... Czy nie należy pogasić tych świec?

- Nie, nie gaś.

Potem leżała wsparta na białej poduszce uśmiechając się do niego.

- Czuję się jak Wenus w otwartej muszli - powiedziała.

- Co ci przyszło do głowy?

- Spójrz na mnie - czy to nie Botticelli?

- Nie wiem - odparł z uśmiechem. - Na pewno masz rację.

Ziewnęła.

- Och, jak dobrze było! I bardzo cię lubię.

- Ty dużo wiesz, prawda?

- Co masz na myśli?

- Różne twoje uwagi. A może sposób, w jaki mówisz.

Zastanowiła się.

- Wiem niewiele - przyznała. - Nie mam wyższych studiów, jeśli o to ci chodzi. Ale ten człowiek, o którym mówiłam, wiedział wszystko i wечно mnie uczył. Układał plan zajęć dla siebie i dla mnie, kazał mi chodzić na Sorbonę na jakieś kursy, do muzeów. Więc trochę się otrząsałam.

- Kim on był?

- Uchodził za malarza i był, potworem. A prócz tego jeszcze tym i owym. Chciał,

żebym czytała Spenglera - wszystko miało temu służyć. Miałam się uczyć historii i filozofii, i harmonii po to, żeby czytać Spenglera, ale porzuciłam go, zanim doszliśmy do Spenglera. Myślę teraz, że głównie z tego powodu nie chciał mnie puścić od siebie.

- Kto to jest Spengler?

- Mówię, żeśmy do niego nie doszli - zaśmiała się - a teraz zapomniałam wszystko i nie martwię się, ponieważ to niemożliwe, żebym kogoś podobnego spotkała po raz drugi.

- Ależ nie powinnaś zapominać! - rzekł Stahr z przejęciem. Miał ogromny szacunek dla wykształcenia, jego instynkt rasowy zachował pamięć o starych *schules*. - Nie powinnaś!

- Nauka miała mi zastąpić dzieci.

- Mogłabyś uczyć własne dzieci - powiedział.

- Naprawdę tak myślisz?

- No pewnie! Mogłabyś to wszystko przekazać im za młodu. Dziś, kiedy chcę coś wiedzieć, muszę pytać jakiegoś pijanego scenarzystę. Nie marnuj tego.

- Dobrze - zgodziła się wstając. - Przekażę to wszystko moim dzieciom. Ale to jest zabawa bez końca - im więcej wiesz, tym więcej pozostaje do poznania i wciąż tego przybywa. Ten człowiek mógłby być nie wiem czym, gdyby nie był głupcem i tchórzem.

- Kochałaś go jednak.

- Owszem, z całego serca. - Wyjrzała przez okno, osłaniając dłonią oczy. - Tam jest jakieś światło. Chodźmy na plażę.

- Ależ to pewnie *grunion!* - wykrzyknął. Skoczył na równe nogi.

- Co to jest?

- Tak. To dzisiaj. Pisali o tym we wszystkich gazetach. - Wybiegł na dwór i usłyszała, że otwiera drzwi samochodu. Wrócił z gazetą w ręce.

- O dziesiątej szesnaście. Za pięć minut.

- Czy to coś w rodzaju zaćmienia?

- Nie - powiedział. - Niezwykle punktualna ryba. Chodźmy. Możesz iść boso.

Była piękna, błękitna noc. Wzbierał przyływ i małe srebrne rybki kołysały się przy brzegu czekając na godzinę dziesiątą minut szesnaście. W parę sekund później wraz z pierwszą falą przyływu całe ich ławice rzuciły się na brzeg; stąpali po rybach trzepoczących się na piasku. Jakiś Murzyn zbliżał się ku nim z dwoma wiadrami, do których szybko wrzucał ryby; siedł tuż nad wodą i zbierał je niby gałązki chrustu. Napływały parami, trójkami, w małych plutonach i kompaniach, niezmordowane, podniecone i rozgniewane obecnością wielkich, bosych stóp intruza; nawiedzały ten brzeg, zanim jeszcze Sir Francis Drake przybił tu swoją tabliczkę do skały.

- Przydałoby mi się trzecie wiadro - powiedział Murzyn, przystając dla odpoczynku.

- Z daleka przyszliście - powiedział Stahr.

- Zwykle chodziłem do Malibu, ale ci filmowcy nie życzą sobie.

Nacierająca fala zmusiła ich do odwrotu, cofnęła się jednak szybko, piasek znów napelnił się życiem.

- Czy to się opłaca? - spytał Stahr.

- Nie robię takich kalkulacji. Przyjechałem tutaj głównie, żeby czytać Emersona. Zna go pan?

- Ja znam - wtrąciła Kathleen. - Trochę.

- Mam go na piersi. Przywiozłem też mistyków siedemnastowiecznych. Różokrzyżowców, ale już mi się znudzili.

Wiatr zmienił trochę kierunek, fale rosły teraz dalej, na pełnym morzu, mogli więc iść tuż nad wodą pieniącą się przy brzegu.

- Gdzie pan pracuje? - spytał Murzyn Stahra.

- W filmie.

- Ach, tak! - I po chwili dodał: - Nigdy nie chodzę do kina.

- Dlaczego? - spytał ostro Stahr.

- A po co? To nic nie daje. Dzieciom też nie pozwalam.

Stahr nie spuszczał z niego oczu, Kathleen wzrokiem pilnowała Stahra.

- Bywają dobre filmy - powiedziała patrząc na spienione fale; Murzyn nie dosłyszał jej. Czuła, że na przekór jemu powinna to powtórzyć, lecz gdy ją usłyszał, spojrział obojętnie.

- Czy bractwo Różokrzyżowców jest przeciwne filmom? - spytał Stahr.

- Wygląda mi na to, że sami nie wiedzą, co myśleć. Raz popierają jedno, potem znów drugie, co tydzień coś innego.

Można było liczyć tylko na małe rybki. Minęło już pół godziny, one wciąż się zjawiały. Murzyn napelnił wiadra i oddalił się plażą w stronę drogi, nieświadomy, że podważył racje istnienia całego przemysłu filmowego.

Wrócili do domu; Kathleen zastanawiała się, jak odegnąć chwilowe przygnębienie Stahra.

- Biedny stary Sambo - powiedziała.

- Co?

- Czy nie tak nazywacie Murzynów?

- Wcale ich nie nazywamy. - Po chwili powiedział: - Mają swoje własne filmy.

W domu włożyła przy grzejniku pończochy i pantofle.

- Już trochę bardziej lubię Kalifornię - odezwała się po namyśle. - Myślę, że chyba byłam seksualnie wygłodzona.

- Czyżby to było wszystko?

- Wiesz doskonale, że nie.

- Dobrze jest być blisko ciebie.

Wstała wzdychając tak cicho, że nie usłyszał.

- Nie chcę cię teraz stracić - powiedział. - Nie wiem, co myślisz o mnie, czy w ogóle myślisz. Prawdopodobnie zgadłaś, że serce moje jest w grobie... - zamilkł, zastanawiając się, czy to aby prawda - lecz jesteś najbardziej interesującą kobietą, jaką spotkałem od niepamiętnych czasów. Mógłbym patrzeć na ciebie bez przerwy. Nie wiem dokładnie, jaki masz kolor oczu, lecz współczuję wszystkim na świecie...

- Przestań! - zawołała ze śmiechem. - Bo nie oderwę się od lustra. Moje oczy nie mają w ogóle koloru, służą po prostu do patrzenia i jestem najzwyczajniejszą w świecie kobietą. Mam, dobre zęby, jak na Angielkę...

- Masz piękne zęby!

- ... ale nawet się nie umyłam do tych dziewcząt, które spotykam tutaj...

- Teraz ty przestań - powiedział. - Powiedziałem prawdę, a jestem ostrożny w tym, co mówię.

Stała przez chwilę bez ruchu, zamyślona. Spojrzała na niego, potem spojrzała w głąb siebie, potem znów na niego - a potem poniechała swej myśli.

- Musimy iść - rzekła.

Byli innymi ludźmi, gdy ruszyli z powrotem. Cztery razy przejechali dzisiaj tę drogę nad morom, za każdym razem - inna para! Ciekawość, smutek i pożądanie mieli teraz za sobą. Był to prawdziwy powrót - do siebie samych, do własnej przeszłości i przyszłości, i do zaborczej obecności jutra. Gdy poprosił, by przysunęła się bliżej zrobiła to, lecz nie poczuli się bliźsi sobie, ponieważ bliskość musi rosnąć, by dać uczucie zbliżenia. Nic nie stoi w miejscu. Miał na końcu języka propozycję, by przyszła do niego tam, gdzie mieszkał, i została na całą noc - lecz pomyślał, że zabrzmiałoby to jak skarga na własną samotność. Gdy wóz wspinał się na wzgórze, na którym mieszkała, Kathleen zaczęła szukać czegoś za oparciem siedzenia.

- Czy coś zgubiłaś?

- Pewnie wyleciała - powiedziała przeszukując po omacku torebkę.

- Co takiego?

- Koperta.

- Ważna?

- Nie.

Gdy jednak stanęli przed jej domem i Stahr zapalił światła na desce rozdzielczej, pomogła mu Zdjąć oparcie i ponownie przeszukali cały wóz.

- Och, to nie ma znaczenia - powiedziała idąc do drzwi. - Pod jakim adresem mieszkasz naprawdę?

- Po prostu Bel-air. Bez żadnego numeru.

- A gdzie jest Bel-air?

- To takie osiedle koło Santa Monica. Ale lepiej, żebyś zadzwoniła do wytwórni.

- W porządku... dobranoc, panie Stahr.

- Panie Stahr? - powtórzył zdumiony.

Poprawiła się uprzejmie: - No więc dobranoc, Stahr. Czy tak jest lepiej? Poczul się jakby odsunięty na pewną odległość.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział. Nie przyjął do wiadomości jej wyniosłego tonu. Nie spuszczał z niej oczu, przechylając głowę to w prawo, to w lewo, jej ruchem. „Wiesz, co się ze mną stało” - mówił bez słów. Westchnęła głęboko. Potem znalazła się w jego ramionach i przez chwilę znów należała do niego całkowicie. Zanim to mogło ulec zmianie, Stahr szepnął dobranoc, odwrócił się i wszedł do samochodu.

Zjeżdżał krętą drogą ze wzgórza, wsłuchując się w samego siebie, jakby stan jego duszy miał się za chwilę wyrazić muzyką, dziwnie przejmującą i pełną siły, nowym utworem nieznanego kompozytora. Muzyczny temat nie od razu da się rozpoznać - może zabrzmieć w klaksonach aut na jarzących się neonami bulwarach, a może dźwiękiem tak cichym, stłumionym, jakby ktoś palcami uderzał w bęben księżyca. Słuchał z napięciem, świadomy tylko tego, że zaczyna się nowa pieśń - miła mu, choć niezrozumiała. Wobec rzeczy, które łatwo pojąć, człowiek pozostaje obojętny. Lecz to, co się w nim działo, było nowe i zaskakujące, tego nie przerwie w połowie taktu, by resztę grać ze starych nut.

Był z tym również związany, i to natrętnie, ten Murzyn z plaży. Czekał w domu na Stahra, z wiadrami pełnymi srebrnych ryb i będzie czekał jutro w wytwórni. Powiedział, że nie pozwala swoim dzieciom słuchać opowieści Stahra. To uprzedzenie, Murzyn nie miał racji i koniecznie trzeba go w jakiś sposób przekonać. Zrobić jeden, dwa, dziesięć filmów, aby udowodnić mu, że się myli. Po rozmowie z nim Stahr natychmiast skreślił z planu cztery filmy - jeden z nich miał wejść do produkcji w bieżącym tygodniu - filmy błahe, jeśli chodzi o treść i zgodził się z Murzynem, że to była szmira. I z powrotem umieścił na swojej liście pewien ambitny film, który wcześniej rzucił na pożarcie wilkom - Brady'emu, Marcusowi i reszcie, żeby tym kosztem załatwić sobie inną sprawę Teraz uratuje go dla tego Murzyna.

Gdy zajechał do siebie, zapaliły się światła na ganku. Służący Filipińczyk zeszedł po stopniach, aby odprowadzić wóz do garażu. W bibliotece Stahr znalazł notatkę - dzwonili do niego:

La Borwitz

Marcus

Harlow

Reinmund

Fairbanks

Brady

Colman

Skouras

Fleishacker i tak dalej.

Filipińczyk wszedł do pokoju niosąc list.

- Wypadło z samochodu - powiedział.

- Dziękuję - rzekł Stahr. - Szukałem tego.

- Czy będzie dziś oglądanie filmu?

- Nie, dziękuję, możesz się położyć.

List ku jego zdumieniu zaadresowany był do Wielmożnego Pana Monroe'a Stahra. Zamierzał otworzyć kopertę, a potem przyszło mu do głowy, że przecież Kathleen chciała ten list odzyskać i - być może - wycofać. Gdyby miała telefon, zadzwoniłby prosząc, by pozwoliła mu przeczytać. Przez chwilę obracał list w palcach. Napisany był przed ich spotkaniem - dziwnie pomyśleć, że wszelka jego treść straciła teraz ważność: był tylko pamiątką chwili, której nastrój już minął.

A jednak nie chciał czytać tego listu bez jej zgody. Położył go obok stosu scenariuszy i usiadł biorąc pierwszy z brzegu maszynopis na kolana. Był dumny, że oparł się pokusie i nie otworzył koperty. Widział w tym dowód, że jednak nie stracił głowy. Nigdy nie stracił głowy dla Minny, nawet na samym początku - zawarli wspaniale dobrany, królewski związek. Minna kochała go zawsze, a tuż przed jej śmiercią również w nim wybuchła zaskakująca czułość i naprawdę był w swej żonie zakochany. Zakochany jednocześnie w niej i w krainie śmierci - gdzie wyglądała tak samotnie, że pragnął za nią podążyć.

Nigdy nie szalał za kobietami; jego brat zrujnował się kompletnie z powodu jakiejś damulki lub raczej rujnował się dla każdej po kolei. Stahr we wczesnej młodości miał każdą dziewczynę tylko raz, nigdy więcej - jak szklanek piwa. Przeznaczał dla siebie zupełnie innego rodzaju doznania - coś lepszego od sercowych przygód. Jak wielu świetnych ludzi,

wyrósł na mężczyznę zabójczo zimnego. Wszystko to zaczęło się prawdopodobnie, gdy miał lat dwanaście i wzorem natur szczególnie bogato obdarzonych zaczął odrzucać wszystko: „Ależ... to nie to... to zawracanie głowy... kłamstwo... oszustwo” - odsunął to od siebie, jak mężczyźni jego pokroju. A potem, zamiast stać się „psem na kobiety” jak większość z nich, stwierdził, że daje to tylko uczucie jałowej pustki, i powiedział sobie: „To nie dla mnie!” Tak oto brał lekcje wyrozumiałości, dobroci, wstrzemięźliwości i nawet przywiązania.

Filipińczyk przyniósł wodę w karafce i miskę pełną orzechów i owoców i powiedział dobranoc. Stahr otworzył pierwszą stronę i zaczął czytać.

Czytał przez trzy godziny - raz po raz przerywał lekturę, redagował tekst bez pomocy ołówka. Niekiedy podnosił oczy znad kartki i w ciepłym jego spojrzeniu była jakaś niejasna myśl o szczęściu, nie ze scenariusza wzięta. Skąd? - zastanawiał się co najmniej przez minutę, po czym już wiedział, że to była myśl o Kathleen, i spoglądał na list - przyjemnie otrzymać list!

Była godzina trzecia, gdy nabrzmiała na rękę żyła pulsowaniem dała znak, że czas na odpoczynek. W miarę jak ubywało nocy, Kathleen odsunęła się naprawdę daleko - różne jej wizerunki skurczyły się w jego pamięci do obrazu jednej osoby, obcej, interesującej, z którą związany był przez kilka przelotnych chwil. Czuł się całkowicie w porządku, gdy otworzył list:

Drogi Panie Stahr,

za pół godziny przyjdą na umówione spotkanie. Kiedy pożegnamy się, wręczę Panu ten list. Piszę go, żeby Panu powiedzieć, że wkrótce wychodzę za mąż i od jutra me będę mogła się z panem widywać.

Powinnam była powiedzieć to wczoraj wieczorem, ale zdawało mi się, że to nie ma nic do rzeczy. A głupio byłoby mówić o tym w takie piękne popołudnie i widzieć, jak znika pańskie zainteresowanie. Niech się lepiej skończy od razu teraz. Na pewno powiem o sobie wystarczająco dużo, aby Pan nabrał przekonania, że jestem „nic nadzwyczajnego”. (Usłyszałam to wyrażenie od mojej gospodyni, kiedy wpadła do mnie i siedziała całą godzinę. Zdaje mi się, że według niej to wszyscy są „nic nadzwyczajnego” z wyjątkiem Pana. Uważam za swój obowiązek o tym donieść, niech Pan ją zatrudni u siebie, jeśli Pan może).

Ogromnie mi pochlebia, że człowiek, który zna tyle pięknych kobiet... nie skończy tego zdania, ale Pan wie, o co mi chodzi. A poza tym - spóźnię się na nasze spotkanie, jeżeli w tej chwili nie wyjdę.

Życzę wszystkiego najlepszego –

Kathleen Moore

Pierwszym uczuciem, jakiego doznał, był strach; potem pomyślał, że list jest już nieważny - przecież chciała go odzyskać. Lecz później przypomniał sobie pożegnalne „panie Stahr” i to, że spytała go o adres - może już napisała drugi list, oznaczający również pożegnanie. Wbrew logice był wstrząśnięty obojętnością jej listu na wszystko, co się stało później. Odczytał go jeszcze raz, by stwierdzić, że ten list niczego nie przewidywał. A jednak, gdy się z nią żegnał przed domem, postanowiła podtrzymać jego treść, pomniejszyć wszystko, co się stało, nie licząc się z faktem, że w jej świadomości przez całe popołudnie nie istniał żaden inny mężczyzna. Sam teraz w to nie wierzył i dociekliwie wspominając całą przygodę powoli obierał ją ze wszystkiego. Samochód, wzgórze, kapelusz, muzyka, list pofrunęły niby kawałki papy z placu budowy. A Kathleen odjechała zabierając ze sobą swoje niezapomniane gesty, swoje miękkie ruchy głowy, i krzepkie, gorliwe ciało, i bose stopy, które deptały mokry, rozstępujący się piasek. Niebo pobladło i zwiędło, wiatr sposepniał, deszcz zmył z powrotem do morza srebrne ryby. Był to jeszcze jeden zwyczajny dzień, po którym nic nie pozostało prócz stosu scenariuszy na stole.

Poszedł na górę. Na piętrze powtórzyło się umieranie Minny, lecz zapomniał o niej, zanim dowlókł się, zgębiony, krok za krokiem, na drugie piętro. Powitała go pusta przestrzeń podłogi i drzwi, za którymi nikt nie spał. W swoim pokoju zdjął krawat, rozwiązał sznurowadła butów i siadł na brzegu łóżka. Wszystko było zakończone, prócz czegoś, co podświadomie dręczyło go, póki sobie nie przypomniał: jej wóz stał wciąż na parkingu hotelowym. Nastawił budzik wyznaczając sobie sześć godzin snu.

Teraz ja, Cecylia, podejmuję opowieść. Sądzę, że najlepiej będzie w tym miejscu pójść śladem moich własnych poczynań, ponieważ tego okresu w życiu bardzo się wstydzę, a to, czego się ludzie wstydzą, zwykle stanowi najlepszy materiał dla opowieści.

Kiedy wysłałam Wyliego do stołu, przy którym siedziała Marta Dodd, nie zdołał dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna, a stało się to nagle najważniejszą sprawą w moim życiu. Moim i Marty Dodd. Siedzieć przy jednym stole z dziewczyną, którą zachwyca się władca naszego małego, feudalnego światka, której może włożyć na głowę koronę - i nawet nie wiedzieć, kto to jest!

Za mało się znałam z Martą, aby zagadnąć ją prosto z mostu; zwróciłoby to uwagę, lecz w poniedziałek wybrałam się do wytwórni i zajrzałam do Jane Maloney.

Z Jane byłam zaprzyjaźniona. Myślałam o niej trochę tak, jak dzieci myślą o biednych krewnych. Wiedziałam, że pisze scenariusze, lecz wyrosłam w przekonaniu, że scenarzyści niewiele się różnią od sekretarek, tyle tylko, że pachną cocktailem i częściej zaprasza się ich

na kolacje. Lecz mówiło się o nich tym samym tonem - za ich plecami - wyjąwszy tych, co należeli do gatunku dramaturgów przyjeżdżających ze Wschodu. Tych bowiem traktowano z szacunkiem, jeśli nie siedzieli tu za długo, bo wówczas wsiąkali, jak wszyscy inni, w bezimienny tłum pracowników umysłowych.

Jane urzędowała w „starym budynku scenarzystów”. W każdej wytwórni był taki barak o małych, wąskich pokoikach jeszcze z czasów filmu niemego, w którym rozlegały się głuche jęki zamkniętych jak w klasztorze różnych próżniaków, „murzynów” i grafomanów. Opowiadano, że jakiś producent zwiedził kiedyś to miejsce i, zaintrygowany, spytał później w biurze dyrektora:

- Kim są ci ludzie?

- To podobno pisarze.

- Tak myślałem. Ale przyglądałem im się przez dziesięć minut i ani jeden nie napisał choćby linijki.

Zastałam Jane przy maszynie do pisania; miała zamiar przerwać pracę, żeby zjeść lunch. Powiedziałam jej prosto z mostu, że mam rywalkę.

- To nowicjuszka, nie mogę się dowiedzieć, jak ma na imię.

- Ach, tak? No cóż, może ja będę wiedziała. Ktoś mi już mówił coś na ten temat...

Ten ktoś to oczywiście jej kuzynek, Ned Sollinger, chłopiec, którego urządziła w biurze Stahra. Był dawniej jej dumą i nadzieją. Posłała go na uniwersytet w Nowym Jorku, gdzie grał w piłkę nożną. Później był w szkole medycznej i kiedy, na pierwszym roku, rzuciła go dziewczyna, posłał jej wyciętą ze zwłok jakiejś damy najdyskretniejszą część kobiecego ciała. Nie pytajcie mnie, dlaczego to zrobił. Skłócony z losem i opinią ludzką, wystartował od nowa i - jak dotąd - nie posunął się ani o krok dalej.

- Co wiesz? - spytałam.

- Było to w czasie tego trzęsienia ziemi. Wpadła do stawu na dziedzińcu wytwórni, on skoczył i uratował jej życie. Ktoś inny powiedział mi, że rzuciła się z balkonu i złamała rękę.

- Kto to jest?

- To też zabawna historia...

Zadzwoił telefon i długo czekałam, aż Jane skończy rozmowę z Joe Reinmundem. Zdaje się, że próbował przy telefonie zbadać jej kwalifikacje i pytał, czy pisała kiedyś dla filmu. A mówiono o niej, że była w wytwórni wtedy, kiedy Griffith wynalazł zbliżenie! Reinmund gadał, ona zaś skręcała się, pojękując cicho, robiła miny do słuchawki, położyła ją sobie na brzuchu tak, że głos ledwie docierał do jej uszu - i na boku rozmawiała, ze mną.

- I cóż on? Żyje od randki do randki? - ... już dziesiąty raz mnie o to pyta!... a

wszystko jest spisane w memorandum, które mu posłałam...

I do słuchawki; - Jeżeli to dojdzie do Monroe'a, to nie przeze mnie. Ja moją robotę zrobię do końca.

Przymknęła oczy w udęcie.

- ... Teraz robi obsadę... obsadza mniejsze role... Chce mieć Buddy Ebsona... Mój Boże, on po prostu nie ma nic do roboty... teraz przyszedł mu do głowy Walter Davenport... pomylił się, chodzi mu o Donalda Cripsa... trzyma na brzuchu ten wielki album aktorów, słyszę, jak przewraca strony... jaki on dzisiaj ważny, drugi Stahr!... Na miłość boską, przecież muszę zrobić jeszcze dwie sceny przed lunchem...

Reinmund skończył wreszcie - albo może ktoś mu przerwał. Wszedł kelner przynosząc z kantyny lunch dla Jane i coca-colę dla mnie - owego lata nie jadałam nic w południe. Jane napisała jedno zdanie na maszynie, zanim zabrała się do jedzenia. Intrygował mnie jej sposób pisania. Byłam kiedyś obecna, gdy razem z jakimś młodzieńcem przerabiała cudzą historyjkę z „The Saturday Evening Post”, zmieniając dla niepoznaki postacie i w ogóle wszystko, następnie zaczęli pisać dialog, szybko i sprawnie, który oczywiście brzmiał szalenie nienaturalnie, jak rozmowa ludzi, którzy udają, że są zabawni albo uprzejmi, albo odważni. Bardzo chciałam zobaczyć to później na ekranie, ale jakoś ten film przegapiłam.

Lubiłam Jane, jak się lubi starą, tanią lalkę. Zarabiała trzy tysiące dolarów tygodniowo; wszyscy jej mężowie pili i omal nie zatłukli jej na śmierć. Lecz dzisiaj przysłałam, by upiec własną pieczeń.

- Więc nie wiesz, jak się nazywa? - naciskałam.

- Ach, o to ci chodzi - odpowiedziała Jane. - No cóż, potem wciąż do niej dzwonił i powiedział Kate Doolan, że ona nazywa się zupełnie inaczej.

- Należy sądzić, że ją odnalazł - powiedziałam. - Czy znasz Martę Dodd?

- Tak. Ale miała pecha! - wykrzyknęła Jane z teatralnym współczuciem.

- Mogłabyś ją zaprosić jutro na lunch?

- Och, sądzę, że ta mała nie umiera z głodu. Ma swego Meksykanina...

Wyjaśniłam, że nie kieruje mną litość dla tej dziewczyny. Jane przyrzekła mi pomoc. Zadzwoiła do Marty Dodd.

Następnego dnia zjadłyśmy razem lunch w Bev Brown Derby, sennym lokalu, odwiedzanym z powodu dobrej kuchni przez klientów, którzy wyglądali zawsze tak, jakby chcieli się położyć. W porze lunchu restauracja ta ożywia się trochę i kobiety przez pięć minut po jedzeniu nieźle się tam zgrywają, lecz myśmy stanowiły trójkę nie wpadającą w oczy. Powinnam była od razu wygarnąć, o co mi chodzi. Marta Dodd była prostą dziewczyną,

nigdy nie potrafiła pojąć, co los z nią zrobił, i nie miała się czym pochwalić, chyba tylko spojrzeniem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu. Wciąż wierzyła, że zakosztowała prawdziwego życia i wystarczy czekać cierpliwie, by znów wróciło.

- Miałam w 1928 piękną rezydencję - powiedziała nam. - Trzydzieści akrów, miniaturowy golf i basen, i wspaniały widok. Przez całą wiosnę mogłam tarzać się w stokrotkach.

Na zakończenie rozmowy powiedziałam jej, żeby przyszła poznać się z moim ojcem. Była to. wyłącznie pokuta za moją nieszczerłość, której, w dodatku, trochę się wstydziłam. Hollywood nie uznaje takiej taktyki, zbyt kłopotliwa. Każdy i tak się domyśli, a klimat każe oszczędzać energię. Podstępne zabiegi to rzucające się w oczy marnotrawstwo.

Jane pożegnała się z nami przy bramie wytwórni oburzona moim tchórzostwem. Marta zaczęła roić marzenia o karierze, niezbyt zresztą wygórowane po tych siedmiu latach zupełnego zapomnienia, lecz przynajmniej nerwowo trochę się uspokoiła, ja zaś postanowiłam przycisnąć ojca do muru. Dla takich ludzi jak Marta, na których kiedyś zarobili grube pieniądze, nikt się już potem nie trudził. Pozwalano im stoczyć się w nędzę, dorabiać statystowaniem - bardziej humanitarne byłoby wygnanie ich z miasta. Ojciec był ze mnie bardzo dumny owego lata! Musiałam powstrzymywać go przed opowiadaniem każdemu, kto chciał, czy nie chciał słuchać, w jaki sposób dzięki edukacji stałam się takim wspaniałym klejnotem. A Bennington - ooo, nie dla wszystkich to szkoła, mój panie! Tak, tak... Zapewniałam go, że pod wytwornymi łaskami z Fifth Avenue miałyśmy takie same majteczki i haleczki jak wszystkie inne dziewczyny na świecie, lecz ojciec tak bronił tej szkoły, jakby ją sam ukończył. „Miałaś wszystko”, mawiał uszczęśliwiony. Wszystko, włącznie z dwuletnim prawie pobytem we Florencji, gdzie z trudem udało mi się pozostać jedyną dziewicą w szkole, i towarzyskim debiutem, przez protekcję, na balu w Bostonie, w Massachusetts. Byłam prawdziwym kwiatem zacnej, starej arystokracji „netto-brutto”.

Wiedziałam więc, że zrobi coś dla Marty Dodd, i gdy szłam do jego biura, wyobrażałam sobie w marzeniach, że uda mi się coś zrobić również dla Johnny Swanson-kowboja i Evelyn Brenta, i dla wszystkich innych wyrzuconych na śmietnik. Ojciec był człowiekiem czarującym i niezwykle sympatycznym - z wyjątkiem tego jednego razu, gdy niespodziewanie zobaczyłam go w Nowym Jorku - i nawet wzruszał mnie trochę jako ojciec. Ostatecznie - jest moim ojcem, więc zrobi dla mnie absolutnie wszystko. W sekretariacie była tylko Rosemary Schmiel, zajęta telefoniczną rozmową z aparatu Birdy Peters. Kiwnięciem ręki zaprosiła mnie, bym usiadła, ale ja, w moim zapale, kazałam Marcie czekać i nie przejmować się, nacisnęłam guzik pod biurkiem Rosemary i skierowałam kroki do drzwi,

które się przede mną otwały.

- Twój ojciec ma konferencję! - zawołała Rosemary.. - Właściwie nie konferencję, tylko... ale nie wolno...

Byłam już za drzwiami i minąwszy mały przedpokój - za drugimi drzwiami; zaskoczyłam ojca w koszuli, bez marynarki, gdy zamierzał otworzyć okno. Był gorący dzień, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak gorący, i pomyślałam, że ojciec źle się czuje.

- Nie, nic mi nie jest - powiedział. - O co ci chodzi?

Wy tłumaczyłam mu. Chodząc po pokoju mówiłam, co myślę o takich ludziach jak Marta Dodd, w jaki sposób powinien ich zatrudniać, dając gwarancję stałego zarobku. Odniosłam wrażenie, że przyjął mój pomysł z zachwytem, kiwał głową i zgadzał się ze mną; już dawno nie wydał mi się tak bliski. Podeszłam do niego i pocałowałam w policzek. Drżał, a koszulę miał przesiąkniętą potem.

- Jesteś chory - powiedziałam - albo w tarapatach.

- Nie, nie jestem.

- No to co się stało?

- To Monroe - odpowiedział. - Ten przeklęty mały jezusik z Vine Street! Nie daje mi spokoju w dzień i w nocy.

- Ale co się stało? - spytałam o wiele chłodniej.

- Och, mądrzy się jak stary rabin. Siedzi i gada, to zrobi, tego nie zrobi... Nie mogę ci teraz opowiedzieć... jestem na wpół przytomny. Jedź dalej.

- Nie chcę, żebyś był w takim nastroju.

- Jedź dalej, mówię ci! - Pociągnęłam nosem, lecz ojciec nigdy nie pił.

- Idź i uczesz się - powiedziałam. - Chcę, żebyś przyjął Martę Dodd.

- Mam ją tutaj wpuścić? Nigdy się od niej nie uwolnię!

- To pogadaj z nią gdzie indziej. Ale najpierw idź i umyj się. Włóż świeżą koszulę.

Z teatralnym gestem rozpaczy przeszedł do małej łazienki przylegającej do pokoju. W gabinecie jego panował upał, wszystkie okna były dotąd zamknięte i może dlatego tak źle się poczuł; otworzyłam więc jeszcze dwa okna.

- Mów dalej, zaraz wracam! - krzyknął ojciec spoza zamkniętych drzwi.

- Bądź dla niej bardzo miły - powiedziałam. - Żadnych gestów litości.

W tym momencie rozległ się przeciągły jęk, jak gdyby Marta osobiście wystąpiła w swojej sprawie. Drgnęłam, potem znieruchomiałam, gdy jęk powtórzył się, i to wcale nie w łazience, w której był ojciec, ani nie za oknem, lecz w ściennej szafie na wprost mnie. Nie wiem, jak mi starczyło odwagi; przebiegłam przez pokój, otwarłam szafę i wypadła z niej -

zupełnie jak trup w filmie - sekretarka ojca, Birdy Peters, goła, jak ją Pan Bóg stworzył. Wraz z nią buchnęła z szafy fala stęchłego powietrza. Dziewczyna upadła na podłogę, jedną ręką odruchowo przyciskając do piersi swoje ubranie i leżała na ziemi oblana potem; i na to właśnie ojciec wyszedł z łazienki. Czułam, że stoi za mną, i nie musiałam odwracać się, żeby dokładnie wiedzieć, jak wygląda - bo już kiedyś tak samo go zaskoczyłam.

- Przykryj ją - powiedziałam ściągając koc z kanapy. - Na miłość boską, przykryj ją!

Wyszłam z gabinetu. Rosemary Schmiel odpowiedziała przerażoną miną na widok mojej twarzy. Nigdy już więcej nie zobaczyłam ani jej, ani Birdy Peters.

Gdy opuszczałam biuro razem z Martą, spytała: - Co się stało, kochanie? - Milczałam. - Kiem, że zrobiłaś, co mogłaś. To pewnie był nieodpowiedni moment. Powiem ci, co zrobię. Poznam cię z jedną bardzo miłą Angielką. Czy widziałaś tę dziewczynę, która siedziała wczoraj przy naszym stole i z którą Stahr tańczył?...

Tak więc za cenę zanurzenia się w rodzinne błotko osiągnęłam to, czego chciałam.

Niewiele sobie przypominam z tej wizyty. Po pierwsze - nie zastałyśmy jej w domu. Zewnętrzne drzwi z siatki nie były zamknięte na klucz i Marta weszła do środka wołając wesoło, poufale: - Kathleen! - Zobaczyłyśmy pusty pokój, jak w hotelu: były tam kwiaty, lecz nie takie, jakie przysyła się kobiecie. Marta znalazła również kartkę na stole, na której było napisane: Zostaw sukienkę. Poszłam szukać pracy. Wpadnę jutro”.

Marta przeczytała ją dwukrotnie, lecz chyba nie była to wiadomość zostawiona dla Stahra. Poczekałyśmy pięć minut. Dziwnie nieruchoma cisa panuje w domu, gdy nie ma w nim ludzi. Nie zawsze jest hałas, rzecz jasna, gdy są - po prostu sprzedają to spostrzeżenie za tyle, ile jest warte. Cisza i spokój. Niemal uroczyście. Tylko jakaś mucha panoszyła się tu nie zwracając na nas najmniejszej uwagi i wiatr wzdymał róg zasłony.

- Ciekawa jestem, jakiej pracy szuka - powiedziała Marta. - Zeszłej niedzieli wybrała się gdzieś ze Stahrem.

Lecz mnie przestało to interesować. Było coś okropnie niestosownego w mojej obecności tutaj - to dziedziczne, pomyślałam z przerażeniem. I w panice wyciągnęłam Martę na słońce; blask jego działał kojąco, lecz nie na mnie. Czułam się koszmarnie. Zawsze dumna byłam z mego ciała - myślałam o nim w kategoriach figury geometrycznej, która dobrze prezentuje się w każdej pozycji. Przypuszczam, że ludzie oddają się miłości wszędzie, nie wyłączając kościoła i biur - ale nikt mnie jeszcze nie wepchnął nagiej do dziury w ścianie, w środku jasnego dnia.

- Przypuśćmy, że jest pan w drugstorze - powiedział Stahr - i czeka na wykonanie lekarstwa...

- Ma pan na myśli aptekę? - spytał Boxley.

- Przypuśćmy, że jest pan w aptece - zgodził się Stahr - i czeka na lekarstwo dla kogoś z rodziny, kto zaniemógł...

- Zachorował? - spytał Boxley.

- Tak. Poważnie zachorował. Wówczas wszystko za oknem, co przyciąga pańską uwagę, prawdopodobnie dobrze zagra w filmie.

- Morderstwo?

- Po co aż tyle! - odparł Stahr z uśmiechem. - Wystarczy pajak na szybie.

- Oczywiście... rozumiem.

- Obawiam się, że pan tego nie rozumie, panie Boxley. Pan na to patrzy pod kątem swojej sztuki, nie naszej. Pajaka chowa pan dla siebie, dla nas wymyśla morderstwa.

- Powinienem wyjechać - odpowiedział Boxley. - Na nic się panu nie przydam. Siedzę tu już trzy tygodnie i nic nie zdziałałem. Daję pomysły, których nikt nie zapisuje.

- Chcę, żeby pan został. W panu jest jakaś niechęć do filmu i pewnie to przeszkadza panu wymyślić historię filmową.

- Bo to piekielne zawracanie głowy! - wybuchnął Boxley. - Przecież człowiek nie może sobie pozwolić...

Ugryzł się w język. Wiedział, że Stahr, sternik tej nawy, znalazł dla niego czas pośród wiecznie szalejącego sztormu, że rozmowie ich wtóruje nieustanny zgrzyt takielunku, a statek trzeszcząc i kołysząc się niezdarnie z boku na bok z trudem ranie po otwartym morzu. Albo - odnosił czasami takie wrażenie - że rozmawiają na dnie ogromnego kamieniołomu, gdzie nawet świeżo wycięty blok marmuru zdaje się częścią starego frontonu z jakimś na wpół zatartym napisem.

- Nie tracę nadziei, że uda się panu przeskoczyć wymagania produkcji dla mas - rzekł Boxley.

- Niestety - odparł Stahr. - Zawsze będą jakieś przekłete wymagania. Robimy film o życiu Rubensa - przypuśćmy, że zamawiam u pana portrety kilku takich bogatych bubków jak Bill Brady i ja, i Gary Cooper, i Marcus, podczas gdy pan pragnie malować Jezusa Chrystusa. Nie czułby się pan ograniczony w swej twórczości? Nasze ograniczenie polega na tym, że musimy wyjść od tego, co ludzie znają, lubią, akceptują, i podać tak polukrowane, żeby za każdym razem wydało się nowe. Pan nam da trochę tego lukru.

Boxley wiedział, że wieczorem mógłby posiedzieć z Wyliem White'em w Trocadero

rzucając gromy na Stahra, lecz właśnie czytał lorda Charnwooda i pojął, że Stahr, podobnie jak Lincoln, to wódz prowadzący przewlekłe boje na wielu frontach; w ciągu ostatnich dziesięciu lat niemal sam jeden zdołał pchnąć film na drogę takiego rozwoju, że produkcja klasy „A” przewyższała teatr swoją treścią i wartością. Pod presją konieczności Stahr z laika stał się artystą, jak Lincoln wodzem.

- Niech pan idzie ze mną do La Borwitza - powiedział. - Tam z pewnością czekają na lukier.

W biurze La Borwitza dwaj scenarzyści, sekretarka i milczący kierownik artystyczny siedzieli w gęstych chmurach dymu, jak ich Stahr zostawił przed trzema godzinami: utknęli w martwym punkcie. Popatrzył po twarzach i niczego w nich nie znalazł. La Borwitz, przerażony własną klęską, pochwalił się: - Mamy za wiele postaci, Monroe.

- Ale na tym właśnie polega ten film - parsknął Stahr uśmiechem.

Wyjął z kieszeni drobne, spojrzął na lampę wiszącą nad stołem i podrzucił półdolarówkę; z brzękiem wpadła do klosza. Przejrzał pozostałe w dłoni monety i wybrał ćwierć dolara.

La Borwitz przyglądał mu się z żalną miną, znał tę ulubioną zabawę Stahra i wiedział, jaką stratę czasu oznacza. W jednej chwili wszyscy odwrócili się od niego. Siedział nieruchomo z rękami pod blatem biurka, lecz nagle wyrzucił je w górę z takim rozmachem, że omal nie trzasnęły w stawach, a potem opuszczając ramiona w dół ścisnął dłonie. Poczul się o wiele lepiej. Panował nad sobą. Jeden ze scenarzystów wyjął trochę bilonu, ustalono reguły gry: należy wrzucić monetę do szklanego klosza tak, by nie dotknęła łańcuchów, na których wisiała lampa. Co wpadnie do klosza, jest pułą.

Grali przez pół godziny wszyscy z wyjątkiem Boxleya, który siedząc z boku pogrążył się w lekturze scenariusza, i sekretarki, która zabawiła się w obliczenia. Koszt czasu straconego przez tych czterech panów wynosił tysiąc sześćset dolarów. W końcu La Borwitz wygrał wszystko - pięć dolarów pięćdziesiąt centów - i woźny przyniósł drabinę, żeby wyjąć z klosza bilon.

Nagle odezwał się Boxley:

- Tym można nafaszerować indyka.

- Co takiego?!

- To nie jest scenariusz!

Spojrzeli na niego zdumieni. Stahr ukrył uśmiech.

- Nareszcie filmowiec z prawdziwego zdarzenia! - wykrzyknął La Borwitz.

- Wiele pięknych słów - mówił Boxley śmiało - ale żadnych sytuacji. Ostatecznie

każdy wie, że scenariusz to nie powieść. Jest to również o wiele za długie. Trudno mi dokładnie określić, jakie odnoszę wrażenie, ale czegoś mi tu brak. Mnie to wszystko nie wzrusza, nie interesuje.

Karmił ich teraz tym samym, co kazali mu jeść przez trzy tygodnie. Stahr odwrócił się obserwując ich kątem oka.

- Powiedziałbym też, że wcale nie za dużo postaci. Przeciwnie, powinno być więcej. W tym sęk. Przynajmniej ja to tak rozumiem.

- W tym sęk - powiedzieli scenarzyści.

- Tak, w tym sęk - dodał La Borwitz.

Boxley, podniecony faktem, że zwrócił na siebie uwagę, ciągnął w natchnieniu: - Niech każdy z bohaterów zobaczy siebie na miejscu drugiego. Policjant musi aresztować złodzieja i nagle widzi, że ten złodziej ma jego twarz! Chcę powiedzieć, że tak to należy pokazać. Można by nawet dać tytuł: „Postaw się na moim miejscu”.

I nagle wszyscy przystąpili do roboty sięgając po nowy temat jak uliczna orkiestra po instrumenty przed wyjściem na miasto. Jutro mogą znów wszystko zmienić, lecz przynajmniej na chwilę wstąpiło w nich życie. W równym stopniu sprawiło to wrzucanie monet do lampy co przemówienie Boxleya. Stahr przywrócił właściwą atmosferę - bez demonstrowania swego wodzostwa - czuł się i zachowywał, i nawet chwilami wyglądał, jak mały chłopiec, który się popisuje.

Zostawił ich, dyskretnie dotknąwszy w przejściu ramienia Boxleya, jakby go pasował na rycerza - nie chciał, żeby reszta zmówiła się przeciw niemu i w ciągu godziny zniszczyła nastrój, który stworzył.

Doktor. Baer czekał w jego gabinecie. Był z nim Murzyn z przenośnym kardiografem, wyglądającym jak wielka waliza. Stahr nazywał to urządzenie maszynką do wykrywania kłamstw. Rozebrał się do pasa i zaczęło się cotygodniowe badanie.

- Jak się czujesz ostatnio?

- Jak zwykle - odpowiedział Stahr..

- Dużo pracujesz? Spisz?

- Niewiele, mniej więcej pięć godzin. Jeżeli położę się wcześniej, to nie mogę zasnąć.

- Bierz proszki na sen.

- Po tych żółtych źle się czuję.

- To bierz czerwone.

- Koszmar.

- Bierz jeden żółty, jeden czerwony, żółty najpierw.

- Dobrze. Spróbuję. A jak ty się czujesz?

- Ja dbam o siebie, Monroe. Ja się oszczędzam.

- Akurat! Czasem pracujesz przez całą noc.

- To potem śpię przez cały dzień.

Po dziesięciu minutach Baer powiedział:

- Wyglądasz nieźle. Ciśnienie podniosło się o pięć kresiek.

- To dobrze - powiedział Stahr. - Prawda, że dobrze?

- Tak, dobrze. Kardiogram będę miał gotów jeszcze dziś wieczorem. Kiedy wyjedziesz ze mną?

- Kiedyś - odpowiedział lekko Stahr. - Może za sześć tygodni sytuacja będzie lepsza.

Baer spojrział na niego ze szczerą sympatią, która była wynikiem trzyletniej znajomości.

- Poprawiłeś się w trzydziestym trzecim, kiedy rzuciłeś wszystko - powiedział. - Wystarczyło, że tylko na trzy tygodnie.

- Znów to zrobię.

Na pewno nie, pomyślał Baer. Przed laty udało mu się wymusić na nim, z pomocą Minny, kilka krótkich wyjazdów na wypoczynek, później napomynał o tym, usiłował dowiedzieć się, kto jest jego najbliższym przyjacielem. Kto mógłby go stąd zabrać? Ale to już teraz chyba nie pomoże. Musiał umrzeć, i to niedługo. Z całą pewnością przed upływem sześciu miesięcy. Po co robić kardiogramy? Takiego człowieka jak Stahr trudno było namówić, aby położył się i patrzył w niebo przez pół roku. Wolałby umrzeć od razu. Obojętność, z jaką mówił, kryła w sobie zdecydowane dążenie do całkowitego wyczerpania - nie pierwszy raz. Zmęczenie może być lekarstwem, podobnie jak trucizna, i Stahr najwidoczniej odczuwał jakąś dziwną, niemal fizyczną przyjemność, gdy umysł jego stawał się jasny. Było to perwersyjne działanie sił żywotnych, które lekarz obserwował już wcześniej, lecz teraz nie próbował temu przeciwdziałać. Wyleczy człowieka, gdy coś w nim zabije - pozostanie czczą satysfakcją konserwowania skorupy.

- Nie poddajesz się - powiedział.

Wymienili spojrzenia. Czy Stahr wiedział? Być może. Lecz nie wiedział kiedy. Nie wiedział, że tak szybko.

- Jeśli się nie poddam, to czegoś mogę chcieć więcej? - wyznał Stahr.

Murzyn skończył pakowanie aparatu.

- Za tydzień o tej samej porze?

- Doskonale - odrzekł Stahr. - Do widzenia, Bill.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Stahr otworzył dyktograf i w tej samej sekundzie usłyszał głos panny Doolan:

- Czy zna pan niejaką Kathleen Moore?

- A dlaczego pani pyta? - Był wyraźnie zaskoczony.

- Dzwoni jakaś panna Kathleen Moore. Mówi, że pan prosił o telefon.

- Ależ tak, oczywiście! - wykrzyknął i oburzył się nagle sam na siebie. To już pięć dni minęło - jak mógł!

- Czy dzwoni w tej chwili?

- Tak.

- Dobrze. Doskonale.

Po chwili usłyszał jej głos bardzo blisko siebie.

- Czy wyszłaś za mąż? - spytał zgryźliwie, cichym głosem.

- Jeszcze nie.

Pamięć jego zachowała jej twarz i postać - gdy usiadł przy biurku, doznał złudzenia, że pochyla się nad nim i zagląda mu w oczy.

- Co zamierzasz? - spytał tym samym cierpkim tonem. Ciężko mu było prowadzić tę rozmowę.

- Znalazłeś list? - spytała.

- Tak. Tego samego wieczora.

- Chcę z tobą pomówić. Właśnie o tym.

Nareszcie wiedział, jakie zająć stanowisko - był oburzony.

- O czym tu można mówić? - spytał.

- Próbowałam napisać do ciebie drugi list, ale mi to jakoś nie wyszło.

- Wiem również i o tym.

Nastąpiła cisza.

- Och, rozchmurz się - rzekła niespodziewanie. - To takie niepodobne do ciebie! Czy to naprawdę Stahr? Ten miły, uroczy pan Stahr?

- Jestem oburzony - odrzekł nadętym głosem. - Nie widzę sensu rozmawiać dłużej. Miałem przynajmniej miłe wspomnienia.

- Nie wierzę, że to ty - odpowiedziała. - Brakuje tylko, żebyś mi życzył szczęścia... - Nagle roześmiała się. - A może miałeś taki zamiar? Kiedy mówisz to, co postanowiłeś powiedzieć, brzmi to zwykle okropnie.

- Nie spodziewałem się, że cię znowu usłyszę - odparł z godnością. Lecz nie było na

nią rady, bo roześmiała się znowu - śmiechem kobiety, który jest jak śmiech dziecka: sylabą, piskiem, krzykiem rozkoszy.

- Czy wiesz, jakie mam uczucie? - spytała - Jak pewnego dnia w Londynie, w czasie plagi gąsienic, kiedy takie włochate rozgrzane coś wpadło mi prosto w usta.

- Bardzo mi przykro.

- Och, błagam cię, ocknij się - poprosiła. - Chcę cię zobaczyć. Nie mogę wyjaśnić takich spraw przez telefon. Dla mnie to też jest niewesołe, zrozum.

- Jestem bardzo zajęty. Mam dziś wieczorem pokaz w Glendale.

- Czy to zaproszenie?

- Jedzie ze mną George Boxley, angielski powieściopisarz. - Ku własnemu zdziwieniu dodał: - Może chcesz pojechać z nami?

- Przecież nie będziemy mogli porozmawiać. - Zastanowiła się. - A może wpadniesz po mnie później? Pojedziemy gdzieś.

Panna Doolan usiłowała przy pomocy dużego dyktografu dotrzeć do niego i połączyć go z reżyserem na planie - jedyny powód upoważniający do przerwania rozmowy. Nacisnął guzik i zniecierpliwiony warknął do mikrofonu: - Czekać!

- Około jedenastej? - spytała Kathleen tonem spiskowca.

„Pojechać gdzieś” wydało się pomysłem tak nierozsądnym, że gdyby mógł znaleźć słowa, byłby jej odmówił, lecz nie chciał być gąsienicą. I nagle opuściła go wszelka poza, została świadomość, że dzień będzie przynajmniej kompletny. Czekają go coś wieczorem, dzień będzie miał swój początek, środek i koniec.

Zastukał w zewnętrzne drzwi, krzyknęła ze środka, by poczekał, więc przystanął na skłonie zbocza. Z dołu dobiegał warkot maszyny do strzyżenia trawnika - ktoś po nocy przycinał trawę w swoim ogródku. Księżyc świecił tak jasno, że Stahr widział tego człowieka wyraźnie, właśnie zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów niżej i oparł na rączce maszyny, żeby odetchnąć, nim zacznie ją pchać z powrotem przez cały ogród. Czuło się w powietrzu niepokój pełnego lata - wczesny sierpień, pora nierozważnych miłości i zbrodni w afekcie. Niewiele już można było oczekiwać od lata, więc namiętnie usiłowano żyć terazniejszością lub - jeśli jej brakło, to jakąś terazniejszość wymyślić.

Wreszcie przyszła, zachwycona i zupełnie inna! W kostiumie z kloszową spódniczką, którą podbijała kolanami schodząc w dół do samochodu, z dzielną, wesołą i zuchwałą miną jak w piosence: „Trzymaj się mocno, mała, ruszamy w świat!” Stahr przyjechał limuzyną z szoferem i gdy minąwszy zakręt pomknęli w mrok, przytulny nastrój czterech ścian uwolnił

ich natychmiast od uczucia obcości. Ta przejażdżka z nią była na swój sposób jednym z najprzyjemniejszych momentów w jego życiu. W każdym razie - jednym z tych, gdy nie myślał o rychłej śmierci, jeśli nawet o niej wiedział.

Opowiedziała mu swoją historię. Siedziała obok niego, w blasku swej urody, chłodna przez chwilę, potem zaczęła z ożywieniem snuć opowieść przenosząc go w dalekie strony, przedstawiając i opisując ludzi, których znała. Historia była z początku niejasna. „Ten człowiek” to ten, którego kochała i z którym żyła. „Amerykanin” to drugi, ten, który ją uratował, gdy zaczęła tracić grunt pod nogami.

- Kim jest ten Amerykanin?

Och, nazwiska nie mają przecież żadnego znaczenia, prawda? Ani tak ważny jak Stahr, ani bogaty. Mieszkał w Londynie, teraz zamieszkają tutaj. Będzie dla niego dobrą żoną, będzie naprawdę kimś. Przeprowadzał właśnie rozwód - wcale nie z jej powodu - stąd wynikła zwłoka.

- A ten pierwszy? - spytał Stahr. - Jak to się zaczęło?

Och, z początku było to prawdziwe szczęście. Od szesnastego do dwudziestego roku życia cierpiała nędzę. Tego dnia, gdy macocha przedstawiła ją na królewskim dworze, miała tylko jednego szylinga na jedzenie, tyle akurat, żeby nie zemdleć z głodu. Po sześć pensów na osobę, ale macocha jadła oszczędnie. W parę miesięcy później umarła, ona zaś gotowa „była sprzedać się za jednego szylinga, lecz brakło jej sił wyjść na ulicę. Londyn potrafi być bezlitosny - och, jak bezlitosny!

Nikogo nie miała?

Miała przyjaciół w Irlandii, którzy przysyłali masło. Jadła bezpłatną zupę. Odwiedziła wujka; nakarmił ją, potem dobierał się cło niej: wytrzymała atak i wymusiła pięćdziesiąt funtów za to, że nie powie żonie.

- Dlaczego nie wzięłaś się do pracy? - spytał Stahr.

- Pracowałam. Sprzedawałam samochody. Udało mi się sprzedać jeden.

- Czy nie mogłaś dostać stałego zajęcia?

- Och, to trudna sprawa... tam jest inaczej. Tam panuje przekonanie, że ludzie mojego pokroju odbierają pracę innym. Jakaś kobieta pobiła mnie, kiedy starałam się o miejsce pokojówki w hotelu.

- Przecież byłaś przedstawiona na dworze?

- To było dzieło mojej macochy - raczej przypadek. Byłam nikim. Ojca straciłam w dzieciństwie. Zginął w Irlandii, zastrzelony przez Anglików. Napisał książkę pod tytułem „Ostatnie błogosławieństwo”. Może ją czytałeś?

- Nie czytam książek.

- Chciałabym, żebyś zrobił z niej film. To dobra książka. Wciąż jeszcze otrzymuję procent od sprzedaży... dziesięć szylingów rocznie.

A potem spotkała „tego człowieka” i objechali razem cały świat. Widziała wszystkie te miejsca, które ludzie znali z filmów Stahra, mieszkała w takich miastach, o których nawet on nigdy nie słyszał. Potem „ten człowiek” rozpił się, sypiał z pokojówkami, stręczył ją swoim znajomym. Usiłowano zmusić ją, by z nim została. Mówiono, że skoro uratowała go, to powinna być z nim dalej, do końca. Że to jej obowiązek. Bardzo trudno było oprzeć się tej presji. Ale spotkała „Amerykanina” i mogła wreszcie uciec.

- Powinnaś była uciec wcześniej.

- Zrozum, to było bardzo trudne. - Zawahała się, potem wygarnęła: - Widzisz, ja uciekłam od kogoś, kto był królem.

Zbladły wszystkie morały - górowała teraz nad nim. Wiele różnych myśli przeleciało mu równocześnie przez głowę, wśród nich jedna - jakieś dawne, mgliste przekonanie, że osoby królewskiego pochodzenia noszą w sobie zawsze jakąś chorobę.

- To nie był król Anglii - powiedziała. - Mój król był „zwolniony z posady”, jak sam mówił o sobie. W Londynie jest mnóstwo takich monarchów. - Roześmiała się i dodała niemal prowokacyjnie: - Był zresztą bardzo interesujący, zanim się nie rozpił i nie zamienił życia w piekło.

- Jaki to król?

Powiedziała mu i Stahr przypomniał sobie twarz, widzianą kiedyś w jakiejś kronice filmowej.

- Był człowiekiem bardzo wykształconym - dodała. - Mógłby uczyć wszystkiego, i wcale nie wyglądał na króla. Nie tak jak ty. Żaden z nich tak nie wyglądał.

Teraz Stahr się roześmiał.

- Wiesz, co mam na myśli. Wszyscy oni czuli się bardzo niemodni. Większość za wszelką cenę próbowała dotrzymać kroku dzisiejszym czasom. Na przykład jeden był syndykalistą. Inny znów chwalił się, że w turnieju tenisowym doszedł do półfinałów. Nosił przy sobie wycinki z gazet i pokazywał mi je kilkanaście razy.

Przejechali Park Griffitha i minęli tonące w ciemności studio Burbanka, a potem lotnisko; wyjechali na drogę do Pasadeny oświetloną neonami przydrożnych lokalików. Pragnął jej w myślach, lecz było późno i już sama jazda z nią napełniała go bezmierną radością. Trzymali się za ręce, a raz nawet znalazła się w jego ramionach. - Och, jaki ty jesteś miły. Jak ja lubię być z tobą - powiedziała wtedy. Lecz część jej myśli była gdzie indziej, ta

noc nie należała wyłącznie do niego, tak jak tamto niedzielne popołudnie. Zajęta była sobą, podniecona opowiadaniem o własnych przeżyciach; on zaś nie mógł zdusić w sobie wątpliwości, czy aby uraczyła go dokładnie tą samą historią, co swego „Amerykanina”.

- Od kiedy go znasz? - zapytał.

- Och, znam go już parę miesięcy. Widywaliśmy się. Świetnie się rozumieliśmy. Mówił zawsze: „Wygląda, że teraz to już na mur”.

- To dlaczego zadzwoniłaś do mnie?

Zawahała się.

- Chciałam cię jeszcze raz zobaczyć. A poza tym... miał przyjechać dzisiaj, lecz wczoraj dostałam depeszę, że będzie tu w przyszłym tygodniu. Chciałam pogadać z kimś, z przyjacielem... Ostatecznie jesteś chyba moim przyjacielem, prawda?

Pragnął jej teraz bardzo mocno, lecz jednocześnie pozostał w nim jakiś chłód; ona chce zobaczyć, czy jestem w niej zakochany, czy chcę się z nią ożenić. Dopiero wtedy pomyśli, czy rzucić tamtego. Nie podejmie decyzji, zanim ja się nie zobowiążę.

- Czy kochasz tego człowieka? - spytał.

- O, tak. To już postanowione. Uratował mnie, moje życie, moje zdrowie psychiczne. Dla mnie przenosi się na drugi koniec świata.

- Ale czy go kochasz?

- O, tak. Kocham.

Jej „o, tak” powiedziało mu, że go nie kocha - powiedziało mu, że powinien przemówić we własnej sprawie - a wtedy ona się zastanowi. Wziął ją w ramiona i długo tulił do siebie, z premedytacją całując ją w usta. Było mu tak ciepło.

- Nie dzisiaj - szepnęła.

- Dobrze.

Przejechali przez most samobójców opatrzonej nową, wysoką barierą z drutu.

- Wiem, co to jest - powiedziała - ale jakie to głupie. Anglik nie zabija się, kiedy nie może zdobyć tego, czego pragnie.

Zawrócili na podjeździe jakiegoś hotelu i ruszyli w drogę powrotną. Noc była ciemna, bez księżyca. Fala pragnienia opadła i oboje milczeli. Jej opowiadanie o królach poruszyło w nim strzępy wspomnień, przenosząc go - dziwna rzecz - do jasnej jak sznur pereł Białej Drogi, która była główną ulicą w Erie, w Pensylwanii, gdy miał piętnaście lat. Była tam pewna restauracja, w jej oknie wystawiano homary, w oświetlonym akwarium o wyglądzie podwodnej jaskini, pełnej zielonych wodorostów; w głębi lokalu, za czerwoną zasłoną - strasznie obcy i tajemniczy tłum ludzi słuchających w zamyśleniu dźwięku skrzypiec. Było to

tuż przed jego wyjazdem do Nowego Jorku. Ta dziewczyna przypominała mu świeże, obłożone lodem ryby albo homary w owym oknie w Pensylwanii. Miała coś z Pięknej Lalki. Minna nigdy nie była taka.

Spojrzeli na siebie i spytała go wzrokiem: Czy mam wyjść za „Amerykanina”? - Nic nie odpowiedział.

- Wyjedźmy gdzieś na weekend - rzekł po chwili.

Zastanowiła się.

- Czy masz na myśli jutro?

- Niestety tak.

- To odpowiem ci jutro.

- Powiedz dzisiaj. Boję się, że...

- ... znowu znajdziesz list w samochodzie? - zaśmiała się. - Nie, tym razem nie będzie listu. Wiesz już prawie wszystko.

- Prawie wszystko.

- Tak, prawie. Zostało kilka nieważnych spraw.

Będzie musiał się dowiedzieć, jakie to sprawy. Jutro mu powie. Wątpił - chciał wątpić - w jaj flirty. „Ten człowiek”, ten król, trzymał ją mocno przy sobie, działał na nią długo. Trzy lata całkowicie nienormalnej sytuacji - jedną nogą w pałacu, drugą - gdzieś w zaułku. - Musiałam się dużo śmiać - powiedziała. - Nauczyłam się śmiać.

Stahr nie pochwalał tego.

- Mógł cię poślubić, jak panią Simpson.

- Och, miał już żonę. I nie był takim romantykiem... - ugryzła się w język.

- Jak ja?

- Tak - przyznała niechętnie, jak gdyby to przyznanie było utratą jednego atutu. - Częściowo. W tobie jest trzech albo czterech różnych ludzi, lecz każdy z nich dostępny, otwarty. Jak wszyscy Amerykanie.

- Nie zaczynaj od ufania Amerykanom bez zastrzeżeń - powiedział z uśmiechem. - Może i niczego nie ukrywają, lecz bardzo szybko potrafią się zmieniać.

Wydawała się zmartwiona.

- Naprawdę?

- Bardzo szybko i zupełnie nagle - powiedział - i nic na świecie nie jest w stanie odwrócić tej zmiany.

- Przerazasz mnie. Amerykanie dawali mi zawsze ogromne poczucie bezpieczeństwa.

Wydała się nagle tak samotna, że wziął ją za rękę.

- Dokąd pojedziemy jutro? - spytał. - Może w góry? Mam na jutro mnóstwo roboty, ale nic z tego nie zrobię. Możemy wyruszyć o czwartej, wieczorem będziemy na miejscu..

- Nie wiem na pewno. Czuję się trochę zagubiona. Jakbym była nie tą samą dziewczyną, co przyjechała do Kalifornii, żeby zacząć nowe życie.

Mógł wtedy powiedzieć: „Już zaczęłaś nowe życie”. Mógł tak powiedzieć, ponieważ uważał, że tak jest, wiedząc, że już jej nie puści; lecz jakiś głos wewnętrzny doradzał mu odwlec tę decyzję i powiedzieć jej dopiero nazajutrz. Postąpić jak człowiek dorosły, nie jak romantyk. Ona zaś wciąż patrzyła na niego, wędrując wzrokiem po jego twarzy od czoła do brody i jeszcze raz w górę i w dół, powoli kiwając głową... Masz szansę, Stahr... Korzystaj z niej, nie zwlekaj. To dziewczyna dla ciebie. Może cię uratować, może przywrócić cię z powrotem życiu. Zacznie dbać o ciebie, odzyskasz siły. Ale bierz ją teraz, zaraz, powiedz jej i zabierz ze sobą. Żadne z was nie wie o tym, że tam daleko, tej właśnie nocy, „Amerykanin” zmienił swoje plany. Jego pociąg pędzi teraz przez Albuquerque, zgodnie z rozkładem jazdy. Maszynista jedzie o czasie. Rano już tu będzie. Skręcili pod górę, do domu Kathleen. Wydał się Stahrowi ciepły nawet w ciemności obejmował swym czarem wszystko - jego osobę, limuzynę, nie dokończony dom nad morzem, nawet tę wspólną jazdę przez rozległe miasto. Wjechali już na wzgórze - ono również wydzielalo z siebie jakiś żar, jakiś stłumiony dźwięk. który budził w jego duszy pragnienie rozkoszy i szczęścia.

Przy pożegnaniu doznał ponownie uczucia, że nie może oderwać się od niej nawet na parę godzin. Dzieliła ich różnica tylko dziesięciu lat. a przecież stał się podobny w swej namiętności do starzejącego się mężczyzny zakochanego w młodej dziewczynie. Winne temu było głębokie, rozpaczliwe pragnienie pokonania czasu, jakby w sercu jego tykał zegar i naglił - wbrew logice - by poszedł za nią i powiedział: „Zostań ze mną na zawsze!”

Kathleen czekała, niezdecydowana - różanosrebrzysty szron czekający wiosennego topnienia śniegów. Była Europejką, pokorną w obliczu siły, lecz ogromne poczucie godności nie pozwalało jej posunąć się dalej. Nie miała żadnych złudzeń na temat książąt - byli kapryśni.

- Pojedziemy jutro w góry - powiedział Stahr. Tysiące ludzi polegało na jego decyzjach, zawsze przemyślanych, lecz umiejętność, w której się celuje od lat, każdego może niespodziewanie zawieść.

Następnego ranka, w sobotę, był bardzo zajęty. O drugiej, gdy wrócił z lunchu, czekał na niego stos telegramów: statek wytwórni zagubił się w Arktyce; jedna z gwiazd filmowych znalazła się w niełasce; jakiś pisarz wytoczył proces o milion dolarów. Gdzieś za morzem umierali nieszczęśliwi Żydzi. W końcu z tego stosu depeesz wyjrzały ku niemu słowa:

„Wysłałam za mąż dziś w południe. Żegnaj”. A reklamowa nalepka na brzegu blankietu zalecała: „Odpowiedź prześlij przez Western Union Telegram”.

Rozdział 6

Nie wiedziałam nic o tym wszystkim. Pojechałam nad Jezioro Louise, a po powrocie unikałam wytwórni. Pewnie już w połowie sierpnia wyjechałabym na Wschód, gdyby Stahr nie zadzwonił do mnie pewnego dnia.

- Chcę cię o coś prosić, Celio... Czy mogłabyś zorganizować mi spotkanie z jakimś członkiem partii komunistycznej?

- Którym? - zapytałam trochę zaskoczona.

- Wszystko jedno.

- A nie masz ich tam dość u siebie, w wytwórni?

- Myślę o kimś z przywódców, z Nowego Jorku.

Poprzedniego lata zaangażowana byłam po uszy w polityce - prawdopodobnie mogłabym mu zorganizować spotkanie nawet z Harrym Bridgesem. Lecz gdy wróciłam po wakacjach na uniwersytet, mój chłopiec zabił się w wypadku samochodowym i straciłam kontakt z tymi sprawami. Słyszałam, że kręci się po mieście ktoś z „New Masses”.

- Czy zapewnisz mu nietykalność? - zażartowałam.

- O, tak - odparł Stahr z powagą. - Nie zrobię mu nic złego. Przyrowadź kogoś takiego, z kim można porozmawiać, i powiedz mu, żeby przyniósł jakąś swoją książkę.

Powiedział to takim tonem, jakby chodziło o wyznawcę kultu „Jestem”.

- Chcesz brunetkę czy blondynkę?

- Och, przyrowadź mężczyznę - odpowiedział szybko.

Fakt, że usłyszałam jego głos, podniósł mnie na duchu - od czasu owej historii z ojcem wydawało mi się, że brodę w lepkim błocie. Stahr zmienił mój kąt widzenia, mój nastrój, zmienił zapach powietrza.

- Twój ojciec wcale nie musi o tym wiedzieć - dodał. - Możemy udawać, że to jakiś bułgarski muzyk czy ktoś w tym rodzaju, dobrze?

- Oni się już teraz nie przebierają - odpowiedziałam mu.

Trudniejsze to było do załatwienia, niż mi się zdawało - negocjacje Stahra ze Związkiem Pisarzy, ciągnące się już od roku, utknęły w martwym punkcie. Może obawiano się próby przekupstwa z jego strony, bo spytano mnie, co Stahr „proponuje”. Stahr powiedział mi później, że przygotowując się do tego spotkania przejrzał wszystko, co miał w swym

prywatnym archiwum filmowym o rewolucji rosyjskiej. Obejrzał również „Doktora Calighari” i „Psa andaluzyjskiego” Salvadora Dali; prawdopodobnie podejrzewał, że mają jakiś związek z tematem. Zdumiały go rosyjskie filmy z lat dwudziestych i za namową Wylie White'a zamówił w dziale scenariuszy dwustronicowe streszczenie „Manifestu komunistycznego”.

Lecz dla jego umysłu rzecz ta była raczej niedostępna. Był z natury racjonalistą, myślącym samodzielnie, bez pomocy lektury, a poza tym jego odwieczna żydowska mentalność zatrzymała się w swym rozwoju na osiemnastym stuleciu. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nadszedł kres dla tego, co stare, żywił namiętą lojalność parweniusza wobec własnej wizji przeszłości.

Spotkanie odbyło się w pokoju, który nazywałam „salonem skórzanym” - nazwa ta utkwiała mi w głowie, bo pomieszczenie to było jednym z sześciu zaprojektowanych dla nas przed laty przez dekoratora od Sloane'a. Pokój ten był jego dziełem w całym tego słowa znaczeniu: dywan z puszystej wełny w kolorze brzasku - najdelikatniejszej, jaką można sobie wyobrazić, szarości, której człowiek wprost nie ośmielał się dotknąć nogą; srebrzysta boazeria i obite skórą stoły, i pastelowe obrazy, i jakieś wysmukłe szkła, tak delikatne, że wstrzymywaliśmy oddech, by nie splamić tych drobiazgów parą z ust - pokój widziany od progu wyglądał wspaniale, zwłaszcza gdy okna były otwarte i wiatr jęcząc targał zasłony. Był on w prostej linii potomkiem starego amerykańskiego salonu, do którego wchodziło się tylko w niedzielę. Lecz na tę okazję nadawał się znakomicie i liczyłam, że bez względu na przebieg spotkania nabierze dzięki niemu charakteru i zespoli się wreszcie z resztą naszego domu.

Pierwszy zjawił się Stahr. Był blady, zdenerwowany i zatroskany - tylko głos miał jak zwykle spokojny i pełen rozwagi. Już przy powitaniu czuło się w nim wielką indywidualność - podchodził prosto do ciebie, jakby odsuwając po drodze wszystko na bok - i niemal wbrew sobie wiedział w jednej chwili, kim jesteś. Pocałowałam go, sama nie wiem dlaczego, i poprowadziłam do „salonu skózanego”.

- Kiedy wracasz na uczelnię? - spytał. Już kiedyś poruszaliśmy ten fascynujący temat.

- Czy podobałabym ci się, gdybym była niższa? Mogę nosić niskie obcasy i przylizać włosy.

- Zjedźmy dziś razem kolację - zaproponował. - Wszyscy będą myśleć, że jestem twoim ojcem, ale mnie to nie przeszkadza.

- Kocham starszych panów - zapewniłam go. - Dopóki facet może się ruszać, zawsze będę go uważać za rówieśnika młodej dziewczyny.

- Wielu ich miałaś?

- Wystarczy.

- Wszyscy bez przerwy kochają się i odkochują, prawda?

- Podobno co trzy lata, jak twierdzi Fanny Brice. Właśnie przeczytałam to w gazecie.

- Ciekaw jestem, jak im się to udaje - powiedział. - Wiem, że potrafią, bo widzę to na każdym kroku. I za każdym razem wygląda to na prawdziwą miłość. Potem nagle się kończy. Ale kiedy się kochają, to już na całego.

- Robisz za dużo filmów.

- Ciekaw jestem, czy kochają się tak samo za drugim razem i za trzecim, i za czwartym - ciągnął z uporem.

- Coraz mocniej - powiedziałam. - A najmocniej kochają ostatni raz.

Po namyśle gotów był zgodzić się ze mną.

- Możliwe. Ostatnia miłość jest najsilniejsza.

Powiedział to w sposób, który mi się nie spodobał, i nagle zrozumiałam, że w głębi duszy jest bardzo nieszczęśliwy.

- W gruncie rzeczy to tylko kłopot - oświadczył. - Najlepiej mieć to za sobą.

- Nie spiesz się tak! Czy aby film jest we właściwych rękach?...

Oznajmiono nam o przybyciu Brimmera, członka partii; idąc mu naprzeciw pojechałam aż do drzwi na jednym z tych lekkich jak pajęczyna dywanów i prawie wpadłam Brimmerowi w ramiona.

Wyglądał bardzo przyjemnie, ten Brimmer - trochę w typie Spencera Tracy'ego, lecz twarz miał mocniejszą i malowała się na niej bogatsza skala przeżyć. Gdy Stahr i on uśmiechając się uścisnęli sobie ręce, nie mogłam oprzeć się myśli, że oto mam przed sobą dwóch antagonistów, z których jeden na pewno jest wart drugiego. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę, a dla mnie byli nadzwyczajnie grzeczni, chociaż zwracali się wciąż jak do dziecka zaokrąglając każde zdanie jakimś zdrobnieniem.

- O co wam właściwie chodzi? - spytał Stahr. - Cała moja młodzież jest przygnębiona.

- To dobrze. Robi się czujna, prawda? - odpowiedział Brimmer.

- Najpierw pozwoliliśmy kilku Rosjanom obejrzeć nasz zakład - jako wzorowy zakład pracy, rozumie pan? A potem próbujecie rozbić jedność załogi, choć właśnie ona stanowi o tym, że jesteśmy wzorowym zakładem pracy.

- Jedność? - powtórzył Brimmer. - Czy ma pań na myśli to, co nazywamy „duchem kolektywu”?

- Ach nie, nie to - odparł Stahr niecierpliwie. - Panu, zdaje się, chodzi o moją osobę. W zeszłym tygodniu przyszedł do mnie jakiś scenarzysta-alkoholik, człowiek, który od lat

nadaje się do przytułku, i zaczął mnie pouczać, co mam robić.

Brimmer uśmiechnął się.

- Nie wygląda pan na kogoś, kogo można by pouczać, co ma robić.

Obaj chcieli herbaty. Gdy wróciłam, Stahr opowiadał historię braci Warner i Brimmer śmiał się razem z nim.

- Opowiem panu jeszcze jedną anegdotę. Balanchine, ten rosyjski tancerz, pomylił ich z braćmi Ritz i nie mógł się zorientować, których uczy, a dla których pracuje. Chodził i skarżył się: „Ani rusz nie mogę tych braci Warner nauczyć tańca”.

Popołudnie zapowiadało się spokojnie. Brimmer spytał Stahra, dlaczego producenci filmowi nie popierają Ligi Antyfaszystowskiej.

- Z powodu was, komunistów - odparł Stahr. - Dobieracie się do pisarzy. Na dłuższą metę jest to strata czasu. Nasi scenarzyści są dziećmi - nawet w normalnych czasach nie potrafią skupić się na swojej pracy.

- To oni w waszym przedsiębiorstwie sieją zboże - zażartował Brimmer - lecz nie są zapraszani na dożynki. Ich stosunek do producenta przypomina niechęć rolnika do mieszcza.

Myślałam o dziewczynie Stahra - czy wszystko się między nimi skończyło? Później, gdy sama Kathleen opowiedziała mi całą historię stojąc w deszczu na jakiejś podłej drodze zwanej aleją Goldwyna, obliczyłam, że spotkanie z Brimmerem odbyło się w tydzień po jej depeszy. Nie mogła zrobić inaczej. „Amerykanin” zjawił się nieoczekiwanie i prosto z pociągu zaprowadził ją do urzędu stanu cywilnego nie mając cienia wątpliwości, że spełnia jej największe marzenie. O ósmej rano! Kathleen była tak oszołomiona, że myślała głównie o tym, jak nadać depeszę do Stahra. Teoretycznie mogła po drodze przystanąć i powiedzieć: „Słuchaj no, zapomniałam ci powiedzieć, że spotkałam kogoś”. Lecz nowa droga jej życia była już tak dokładnie wytyczona, z takim zasobem zaufania, po takiej walce, z taką ulgą, że gdy Kathleen nagle znalazła się na rozstajach, była jak samochód z wyłączonym silnikiem. Pisała depeszę i łudziła się, że „Amerykanin”, który siedział po drugiej stronie stołu, nie zdoła odczytać tekstu do góry nogami...

Gdy wróciłam myślami do rzeczywistości; dwaj panowie zdążyli już zniszczyć biednych pisarzy. Brimmer posunął się nawet do tego, iż przyznał, że są „niezrównoważeni”.

- Nie mają danych do rządzenia - powiedział Stahr. - Silnej woli nic nie zastąpi. Gdy jej czasem zabraknie, trzeba udawać, że się ją ma.

- Znam to z własnego doświadczenia.

- Trzeba rozkazywać, krzyczeć. „To musi być zrobione tak, nie inaczej!” Nawet jeżeli

człowiek nie jest pewien swej racji. Zdarza mi się to kilkanaście razy na tydzień. W sytuacjach, w których nie ma właściwie żadnego powodu, by się upierać, człowiek się upiera.

- Przeżywa to każdy, kto musi decydować - powiedział Brimmer. - Przywódcy partyni i na pewno dowódcy wojskowi.

- Więc rozumie pan teraz, że musiałem zająć jakieś stanowisko wobec Związku Pisarzy. Mnie to wygląda na próbę sił. Walczą o władzę, ale ja mogę dać pisarzom tylko pieniądze.

- Niektórym płaci pan bardzo mało. Trzydzieści dolarów tygodniowo.

- A któż to tyle dostaje? - spytał Stahr ze zdumieniem.

- Tacy, których łatwo można zastąpić.

- Na pewno nie u mnie - odparł Stahr.

- Ależ tak - rzekł Brimmer. - Dwóch ludzi z krótkiego metrażu dostaje u pana trzydzieści dolarów tygodniowo.

- Kto?

- Jeden nazywa się Ransome, drugi - O'Brien.

Uśmiechnęliśmy się równocześnie.

- To wcale nie scenarzyści. Obaj są kuzynami ojca Cecylii.

- Lecz są tacy w innych wytwórniach - upierał się Brimmer.

Stahr wziął łyżeczkę do herbaty i z małej buteleczki nalał sobie lekarstwa.

- Co to takiego „fink”? - spytał nagle.

- „Fink” to jest łamistrajk albo wtyczka dyrekcji.

- Tak myślałem - powiedział Stahr. - Jeden z moich scenarzystów, tych za tysiąc pięćset dolarów, przechodząc przez kantinę mówi zawsze głośno za plecami swoich kolegów-scenarzystów „fink”. Byłoby to śmieszne, gdyby nie fakt, że w rezultacie boją się własnego cienia. Brimmer roześmiał się.

- Chętnie bym to zobaczył - powiedział.

- A może miałby pan ochotę spędzić ze mną cały dzień w wytwórni? - zaproponował Stahr.

Brimmer roześmiał się szczerze rozbawiony.

- Nie, proszę pana. Lecz nie wątpię, że nauczyłbym się niemało. Słyszałem, że jest pan najpracowitszym i najsprawniejszym producentem filmowym na całym Zachodzie. Zaszczycem dla mnie byłoby przyjrzeć się, jak pan pracuje, ale niestety, muszę sobie tego zaszczytu odmówić.

Stahr spojrzał na mnie.

- Podoba mi się twój przyjaciel - powiedział. - To szaleniec, ale polubiłem go. -
Przyjrzał się bliżej Brimmerowi. - Urodzony w Stanach?

- Tak. Już kilka pokoleń.

- Wielu było w rodzinie takich, jak pan?

- Ojciec był pastorem baptystów.

- Mam na myśli, czy wielu w niej było czerwonych. Chciałbym poznać tego grubego Żyda, który próbował wysadzić w powietrze fabrykę Forda. Jak on się nazywa?

- Frankenstein?

- Tak, to on. Przypuszczam, że niektórzy z was wierzą w takie rzeczy.

- Owszem, są tacy - odparł sucho Brimmer.

- Pan nie wierzy.

Cień irytacji przemknął przez twarz Brimmera.

- Ależ tak - odpowiedział.

- Ależ nie - rzekł Stahr. - Może kiedyś pan wierzył.

Brimmer wzruszył ramionami.

- A może wręcz przeciwnie - powiedział. - W głębi serca, panie Stahr, pan wie, że mamy rację.

- Nie - odparł Stahr. - Myślę, że jest to zawracanie głowy.

- ... mówi pan w myśli „on ma rację”, lecz jednocześnie ma pan nadzieję, że system przetrwa pana.

- Chyba nie myśli pan serio, że obalicie rząd.

- Nie, panie Stahr. Ale myślimy, że może pan to zrobić.

Przekomarzali się - wymieniali delikatne ukłucia, próbne ciosy - czysto męska zabawa. Kobiety również to robią, lecz jest to wówczas bój, w którym nikogo się nie oszczędza. Ale żadna to przyjemność przyglądać się mężczyznom, bo nigdy nie wiadomo, jak się ich zabawa skończy. Do tego stopnia kłóciła się - moim zdaniem - z kolorytem „salonu skórzanego”, że wyprowadziłam obydwóch panów na taras i do naszego złocistożółtego kalifornijskiego ogrodu.

Był sam środek lata, lecz świeża woda z dyszących zwilżaczy nadawała trawnikom wiosenne lśnienie. Spostrzegłam, że Brimmer spojrzął na to tęsknym wzrokiem - oni to potrafią. W ogrodzie okazał się jeszcze większy - wyższy o kilka cali, niż mi się z początku wydawał, i bardzo szeroki w ramionach. Trochę przypominał Supermana, gdy zdjął okulary. Pomyślałam, że trudno o bardziej interesującego mężczyznę wśród tych, co nie zwracają uwagi na kobiety. Zagraliśmy partię ping-ponga, dobrze machał rakiетką. Usłyszałam, że

ojciec wrócił do domu nucąc „Moja malutka miała pracowity dzień”, lecz urwał w pół taktu przeklętą piosenkę, pewno przypomniało mu się, że nie rozmawiamy ze sobą. Było pół do siódmej - wóz mój stał na podjeździe i zaproponowałam, żebyśmy pojechali na kolację do Trocadero.

Brimmer wyglądał trochę tak, jak kiedyś ojciec O'Ney w Nowym Jorku, gdy przekreślił do przodu swoją koloratkę i poszedł z ojcem i ze mną na rosyjski balet. Nie bardzo wypadało mu pokazywać się w takim miejscu. Gdy Bernie, fotograf polujący na grubego zwierza, podszedł do naszego stolika, by zrobić zdjęcie, Brimmer poczuł się jak w pułapce - Stahr kazał Bernie'emu odejść, ale ja chciałabym mieć takie zdjęcie.

Potem - ku memu zdumieniu - Stahr wypił trzy cocktaile jeden za drugim.

- Teraz wiem, że przeżyłeś zawód miłosny - powiedziałam.

- Dlaczego tak myślisz, Cecylio?

- Pijesz.

- Och, to nie jest picie, Cecylio. Nie piję, bo dostaję niestrawności... nigdy się nie upiłem.

Policzyłam - jeden, dwa, trzy..

- Nie zdawałem sobie sprawy. Były bez smaku. Czegoś im brakuje.

Niemądry, szklisty poblask przemknął przez, jego oczy i zniknął.

- Mój pierwszy kieliszek w tym tygodniu - powiedział Brimmer. - Wypiłem całe morze, kiedy służyłem w marynarce.

Stahr znów miał to dziwne spojrzenie - mrugnął głupkowato i powiedział: - Pomyśl. Ten cholerny agitator rozrabiał w naszej marynarce.

Brimmer niezupełnie wiedział, jak przyjąć te słowa, lecz widocznie postanowił zaliczyć je do kosztów wieczoru i skwitował dowcip słabym uśmiechem. Stahr również uśmiechnął się. Z ulgą stwierdziłam, że nic nam nie grozi, skoro panowie utrzymują się w ramach amerykańskiej tradycji. Spróbowałam zapanować nad rozmową, lecz Stahr nagle odzyskał formę.

- Oto moje typowe, codzienne kłopoty - powiedział czysto, wyraźnie do Brimmera. - Najlepszy reżyser w Hollywoodzie, człowiek, do którego pracy nigdy się nie wtrącam, ma to do siebie, że w każdym filmie usiłuje przemycić jakiegoś pedała lub coś w tym rodzaju. Coś nieprzyzwoitego. I to jest tak mocno związane z całością, jak znak wodny z papierem. Nie da się usunąć. Za każdym razem ściąga mi na kark Ligę Obrony Moralności, której stale rosnące pretensje mogę zaspokoić tylko wyrzuceniem jakiejś całkiem przyzwoitej sceny z innego filmu.

- Typowy problem organizacyjny - zgodził się Brimmer.

- Typowy - powiedział Stahr. - Nie kończąca się walka. Ale teraz ten reżyser powiada mi, że za nim stoi jego związek zawodowy i skończy się mój wyzysk biedaków. Oto w jaki sposób przyczynia mi pan zmartwień.

- Mówi pan o sprawach dość odległych dla nas - odparł Brimmer z uśmiechem - w tej chwili niewiele możemy osiągnąć u reżyserów filmowych.

- Zawsze byli moimi przyjaciółmi - rzekł Stahr z dumą.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie Edwarda VII, że obraca się w najlepszym towarzystwie.

- Lecz niektórzy z nich nie mogą mi wybaczyć - ciągnął dalej - że ściągnąłem reżyserów teatralnych do filmu dźwiękowego. Musieli z siebie flaki wypruwać, ucząc się rzemiosła od nowa, i w głębi duszy nigdy mi tego nie darowali. Ściągnęliśmy wówczas całe stado nowych pisarzy i byłem o nich dobrego zdania, póki nie zrobili się czerwoni.

Wszedł Gary Cooper i usiadł w kącie otoczony swymi wielbicielami, którzy robili wrażenie, że żyją za jego pieniądze i nie odstępują go na krok. W drugim końcu sali odwróciła się w naszą stronę jakaś kobieta i okazało się, że to Carole Lombard - byłem zadowolona, że Brimmer ma przynajmniej na co popatrzeć.

Stahr kazał przynieść sobie whisky z wodą i niemal natychmiast zażądał drugiej. Zjadł tylko kilka łyżek zupy i mówił straszne rzeczy o tym, że te s... y to skończone lenie, ale co go to obchodzi, on ma pieniądze, dużo pieniędzy - słyszałam to wiele razy, gdy do ojca schodzili się jego przyjaciele. Stahr musiał zdać sobie sprawę, że poza tym gronem źle to brzmi - może nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak źle?... W każdym razie zamilkł i wypił filiżankę czarnej kawy. Kochałam go i cokolwiek by mówił, nie mogło to zmienić mego uczucia, lecz za nic nie chciałam, żeby Brimmer odniósł złe wrażenie. Chciałam, żeby widział w nim artystę, a tu nagle Stahr uparł się grać niegodziwego nadzorcę, i to w taki sposób, że gdyby sam siebie zobaczył na ekranie, nazwałby taką kreację szmirą.

- Jestem producentem - powiedział, jakby chcąc załagodzić złe wrażenie. - Lubię pisarzy, myślę, że ich rozumiem. Nie zamierzam wyrzucać nikogo, byleby robili to, co do nich należy.

- Wcale nie chodzi nam o to, żeby pan wyrzucał ludzi - powiedział uprzejmie Brimmer - chcielibyśmy przejąć całość jako koncern, na pełnych obrotach.

Stahr kiwnął głową ponuro.

- Chętnie zamknąłbym pana w jednym pokoju z moimi wspólnikami. Każdy z nich ma dość argumentów wystarczających dla Fittsa, żeby was wszystkich wyrzucić z miasta.

- Cenimy sobie pańską opiekę - powiedział Brimmer nieco ironicznie. - Szczerze mówiąc, to pańska osoba sprawia nam poważne trudności, ponieważ jest pan pracodawcą o nastawieniu wyraźnie paternalistycznym i pański wpływ jest ogromny.

Stahr słuchał go jednym uchem.

- Nigdy nie sądziłem - odpowiedział - że mam więcej rozumu od pisarza. Ale uważam, że jego umysł jest moją własnością, ponieważ wiem, jak się nim posłużyć, tak jak Rzymianie - oni podobno niczego nigdy nie wynaleźli, ale wiedzieli, co robić z wynalazkami. Rozumie mnie pan? Nie twierdzę, że tak powinno być. Lecz takie nastawienie miałem zawsze, od dzieciństwa.

Zainteresowało to Brimmera - pierwsza rzecz, która naprawdę obudziła w nim zainteresowanie w ciągu ostatniej godziny.

- Pan świetnie zna siebie, panie Stahr - powiedział.

Sądzę, że chciał już odejść. Ciekaw był, co to za człowiek z tego Stahra, i teraz wydawało mu się, że już wie. Nie tracąc nadziei, że wszystko może ułożyć się inaczej, pochopnie namówił go, żeby pojechał do nas, lecz gdy Stahr zatrzymał się przy barze na jeszcze jednego drinka, wiedziałam, że popełniłam błąd.

Był łagodny, niewinny, spokojny wieczór i jak to w sobotę - mnóstwo samochodów na ulicy. Ramię Stahra spoczęło na oparciu dotykając moich włosów. Nagle zapragnęłam, żeby to było przed dziesięciu laty - miałabym dziewięć lat, Brimmer około osiemnastu i z trudem przebijałby się przez jakiś uniwersytet na Środkowym Zachodzie, a Stahr - dwadzieścia pięć, bo tyle miał, gdy pełen ufności i zachwytu obejmował w posiadanie cały świat. Nie ulega wątpliwości, że patrzylibyśmy w niego jak w obraz. Lecz teraz oto zabrnęliśmy w konflikt ludzi dorosłych, którego nie rozwiąże się bez walki, tym trudniejszej, że w warunkach zmęczenia i przepicia.

Zajechaliśmy na nasz podjazd, skąd skręciłam znowu do ogrodu.

- Teraz już muszę iść - powiedział Brimmer. - Mam jeszcze spotkania z ludźmi.

- Nie, niech pan zostanie - powiedział Stahr. - Nie powiedziałem jeszcze, czego chcę. Pogramy sobie w ping-ponga, napijemy się, a potem zmierzymy siły.

Brimmer zawahał się. Stahr zapalił wszystkie światła i wziął swoją raketkę, a ja weszłam do środka po whisky - nie ośmieliłabym się być nieposłuszna.

Gdy wróciłam, nie grali, lecz Stahr wyciągał z pudełka nowe piłki i jedną po drugiej posyłał do Brimmera, który odrzucał je na bok raketką. Przerwał na mój widok, wziął butelkę i wycofał się z nią na krzesło stojące w cieniu, skąd patrzył na nas z ponurą, majestatyczną godnością. Był blady - zupełnie przezroczysty, niemal widać było, jak alkohol miesza się z

jego zmęczeniem niby z trucizną.

- Czas odpocząć w sobotni wieczór - powiedział.

- Wcale nie odpoczywasz - zauważyłam.

Przeciągał walkę ze swą skłonnością do schizofrenii, walkę przegraną.

- Mam zamiar pobić Brimmera - oznajmił po chwili. - I zajmę się tą sprawą osobiście.

- A nie mógłby się pan kimś wyręczyć, za pieniądze? - spytał Brimmer.

Dałam mu znak, żeby był cicho.

- Sam załatwiam swoje brudne porachunki - odpowiedział Stahr. - Mam zamiar zbić pana na kwaśne jabłko i wsadzić do pociągu.

Wstał i podszedł do nas. Objęłam go mocno, podtrzymując.

- Proszę cię, przestań! - powiedziałam. - Och, jak brzydko się zachowujesz!

- Ten człowiek wywiera jakiś wpływ na ciebie - odparł ponuro. - Wywiera wpływ na was wszystkich, młodych. Nie wiecie, co robicie.

- Proszę, niech pan idzie - powiedziałam do Brimmera.

Stahr miał na sobie garnitur z jakiegoś śliskiego materiału - wysunął się nagle z moich ramion i podszedł do Brimmera. Brimmer cofnął się poza stół. Dziwny wyraz zjawiał się na jego twarzy, później pomyślałam sobie, że wyglądał, jakby mówił: „Więc tak to jest? Ten wąty, chorowity facet trzyma na swoich barkach całą tę maszynę?”

A potem Stahr podszedł jeszcze bliżej i podniósł ręce. Wydawało mi się, że Brimmer zatrzymał go na chwilę wyciągniętym ramieniem - odwróciłam wzrok, nie mogłam na to patrzeć.

Gdy znów spojrzałam, Stahra nie było, zniknął. Brimmer stał i patrzył na jego ciało rozciągnięte pod stołem.

- Proszę, niech pan idzie do domu - powiedziałam do niego.

- Dobrze - lecz nie ruszał się i gdy obeszłam stół dokoła, wciąż spoglądał w dół na Stahra. - Zawsze chciałem trafić dziesięć milionów dolarów. Nie miałem pojęcia, że to będzie tak wyglądać.

Stahr leżał bez ruchu.

- Błagam, niech pan idzie!

- Bardzo mi przykro... Czy mogę pomóc?...

- Nie. Proszę, niech pan idzie. Ja wiem.

Spojrzał jeszcze raz, nieco przerażony faktem, że w ułamku sekundy załatwił Stahra aż na tak długo. Potem odszedł szybkim krokiem przez trawnik, a ja uklękłam i zaczęłam potrząsać Stahrem. Przebudził się po chwili. Drgnął gwałtownie i skoczył na równe nogi.

- Gdzie on jest? - krzyknął.
- Kto? - spytałam niewinnie.
- Ten Amerykanin? Dlaczego, do diabła, wysłaś za niego, ty idiotko?
- Monroe, jego już nie ma. A ja za nikogo nie wysłałam.

Pchnęłam go na krzesło.

- Nie ma go tu już od pół godziny - skłamałam.

Piłeczki pingpongowe leżały rozrzucone na trawie jak konstelacja gwiazd. Przekreśliłam kran zwilżacza i wróciłam z mokrą chusteczką, lecz Stahr nie miał guza na czole, musiał dostać w głowę z boku. Schował się za drzewami i zwymiotował, usłyszałam, jak kopnięciem zasypał to ziemią. Potem już wyglądał całkiem dobrze, lecz nie chciał wejść do domu, zanim nie przyniosę mu wody do przepłukania ust; sprzątnęłam butelkę whisky i przyniosłam płyn do zębów. Żałowana próba upicia się była skończona. Bawiłam się nieraz w towarzystwie studentów z pierwszego roku, którzy nie umieli ani pić, ani bawić się, lecz Stahr prześcignął ich wszystkich. Spotkało go wiele złych rzeczy, ale to był już szczyt wszystkiego.

Weszliśmy do domu; kucharka powiedziała, że ojciec jest na werandzie z panem Marcusem i Fleishackerem, więc zostaliśmy w „skórzanym salonie”. Nie mogliśmy się nigdzie usadowić wygodnie, wszystkie meble były śliskie, w końcu ja wylądowałam na futrzanym dywanie, a Stahr obok mnie, na podnóżku.

- Czy uderzyłem go? - spytał.
- O, tak - odpowiedziałam. - I to porządnie.
- Nie wierzę. - Po chwili dodał: - Nie chciałem go uderzyć. Chciałem go tylko stąd przepędzić. Przypuszczam, że oddał mi ze strachu.

Niech sobie tak myśli, mnie to nie przeszkadzało.

- Czy masz mu to za złe?
- Nie - odparł. - Upiłem się. - Rozejrzał się dokoła. - Nigdy tu jeszcze nie byłem, kto projektował ten pokój? Ktoś z wytwórni? No cóż, muszę już iść - powiedział w swój zwykły, uprzejmy sposób. - Czy nie miałabyś ochoty pojechać na rancho Douga Fairbanka na dwa dni? - spytał mnie. - Wiem, że powita cię z radością.

I tak zaczęły się te dwa tygodnie, w czasie których wszędzie bywaliśmy razem. Louelli wystarczył jeden tydzień, żeby nas pożenić.

(Rękopis urywa się w tym miejscu. Poniższe jest streszczeniem reszty powieści sporządzonym na podstawie szkiców i notatek Fitzgeralda i wypowiedzi osób, z którymi omawiał swoje dzieło).

Wkrótce po spotkaniu z Brimmerem Stahr udaje się na Wschód. Pracownikom wytwórni zagraża obniżka uposażeń i Stahr wybiera się na spotkanie z akcjonariuszami - prawdopodobnie zamierzał namówić ich do ograniczenia kosztów produkcji w inny sposób. Stahr i Brady od dawna już wchodzi sobie w drogę, ich walka o władzę w krótkim czasie osiągnie moment kulminacyjny.

Nie wiadomo, czy wyprawa na Wschód przyniosła jakiś wynik, lecz niezależnie od interesów wytwórni Stahr po raz pierwszy w życiu jedzie do Waszyngtonu, by poznać to miasto. Wyprawa ta jest powtórzeniem motywu wprowadzonego w pierwszym rozdziale powieści: Hollywood w osobach swych filmowców odwiedza dom prezydenta Jacksona, lecz nie dostaje się do wnętrza rezydencji ani nawet nie ogląda jej z zewnątrz - oto stosunek filmu do amerykańskich ideałów i tradycji.

Jest środek lata, w Waszyngtonie panuje upał i zaduch, Stahr zaatakowany letnią gripą wędruje po ulicach w gorączce, zlany potem. Na próżna się cieszył, że pozna to miasto, wyprawa jego kończy się fiaskiem.

Po wyzdrowieniu wraca do Hollywoodu, dowiaduje się, że Brady wykorzystał jego nieobecność i zdołał przeprowadzić obniżkę płac o pięćdziesiąt procent. Scenarzystom zwołanym na zebranie zakomunikował w płacziwym przemówieniu, że jeśli zgodzą się na zmniejszenie zarobków, to dyrekcja wytwórni obniży również swoje pensje, a wtedy będzie można oszczędzić sekretarki i innych gorzej płatnych pracowników. Scenarzyści zgodzili się na takie wyjście, lecz zostali w rezultacie oszukani, ponieważ Brady - mimo obietnic - obciął jednak pensje sekretarkom.

Stahr zareagował na to szczerym oburzeniem i doszło do gwałtownej sprzeczki z Bradym. Stahr, zasadniczo przeciwny związkom zawodowym i głęboko przekonany, że byle goniec może o własnych siłach zrobić nawet taką, jak on, karierę, reprezentuje staroświecki model przedsiębiorcy - ceni sobie zadowolenie ludzi, którzy dla niego pracują, i przyjazne z nimi stosunki.

Pokłócił się również z Wyliem White'em, który okazuje mu otwartą wrogość, choć przecież Stahr nie był osobiście odpowiedzialny za obniżkę płac. Stahr odnosił się zawsze z wielką wyrozumiałością do jego picia i różnych dokuczliwych kawałów i jest teraz rozżalony na pisarza, że nie potrafi odplacić mu podobną lojalnością. W stosunkach zawodowych Stahr uznaje tylko taki rodzaj solidarności.

„Dla czerwonych pozostał konserwatystą, dla Wall Street stał się czerwonym”. Lecz poddając się logice wydarzeń Stahr nie oponuje, gdy rodzi się myśl, gorąco poparta przez Brady'ego, by utworzyć związek zawodowy wewnątrz wytwórni, nad którym panować będzie

przedsiębiorca.

Jeśli chodzi o jego własną pozycję w wytwórni, to już w czasie podróży do Waszyngtonu postanowił z niej zrezygnować; lecz ambicja nie pozwala mu zrezygnować z walki o władzę i poddać się przeciwnikowi, chociaż jest chory, nieszczęśliwy i rozgoryczony.

W tym okresie okazuje dużo względów Cecylii. Staje się to tematem jej rozmowy z ojcem, w której dziewczyna niebacznie wspomina o tym, że Stahr kocha kogoś innego. Brady dowiaduje się o istnieniu Kathleen, z którą Stahr znowu zaczyna się widywać; śledzi ich spotkania i decyduje się na szantaż. Jego postępowanie napelnia Stahra odrazą do całej rodziny Bradych. Zrywa z Cecylią. Od pielęgniarki swej zmarłej żony dawno już wiedział, że Brady miał romans z pewną kobietą, której mąż zginął tragicznie, a Brady maczał w tym palce. Tak oto dochodzi do tego, że dwaj mężczyźni, nie dysponując bardziej konkretnymi dowodami przeciwko sobie, szantażują się nawzajem.

Lecz Brady ma w ręku pewien atut. Człowiek, którego poślubiła Kathleen - W. Bronson Smith - jest inżynierem zatrudnionym w wytwórni i bardzo aktywnym działaczem związku zawodowego. Trudno powiedzieć dokładnie, jak Fitzgerald chciał wykorzystać problem walki klasowej w swej powieści. W Hollywoodzie, w tamtych latach, pracownicy różnych zawodów technicznych byli już zrzeszeni w stowarzyszeniu międzynarodowym. Jest rzeczą oczywistą, że zamierzał wykorzystać elementy gangsterskie, ujawnione w tej organizacji przy okazji sprawy Williama Bioffa.

Brady miał zbliżyć się z mężem Kathleen i wygrać jego zazdrość o żonę. Lecz co obydwaj zamierzali zrobić ze Stahrem? Zamordować go - taki był pierwotny pomysł, a morderstwa miał się podjąć Robinson, montażysta (istnieją notatki charakteryzujące jego postać). Z pozostawionego przez autora szkicu wynikałoby jednak, że Stahr wpadnie w zastawioną pułapkę, mąż Kathleen zdobędzie konkretne dowody i wniesie do sądu sprawę przeciw Stahrowi o to, że pozbawił go uczuć żony. W planie powieści rozdział 8 nosi tytuł: „Proces i jego cena”. Pewne wyjaśnienia znajdujemy w następującej notatce, nie mówiącej jednak nic bliższego, jak ten wątek będzie dalej wpleciony w opowiadanie: „Jeden z braci... jest oskarżony przez swego pracownika o uwiedzenie mu żony, o pozbawienie go uczuć żony. Obrona usiłuje nie dopuścić do rozprawy, lecz skarżący jest przywódcą związkowym i nie daje się przekupić. Nie chce również zgodzić się na rozwód. Gotów jest raczej sięgać po środki jeszcze ostrzejsze. Domaga się, aby... wyjechał na rok. Instynkt każe... zostać i walczyć, ale jego bracia uzyskują oświadczenie lekarza stwierdzające, że oskarżony jest w takim stanie zdrowia, iż ma niewiele życia przed sobą, i na tej podstawie udaje im się sprawę wycofać... chciałby namówić dziewczynę, żeby z nim uciekła, lecz obawia się ustawy Manna

(o uprowadzeniu). Dziewczyna ma opuścić Hollywood po jego wyjeździe, planują połączyć się za granicą”.

Ocali Stahra interwencja operatora Pete'a Zavrasy, z którym zaprzyjaźnił się na początku opowiadania w momencie, gdy Zavras stracił swą pozycję zawodową.

W tym czasie Stahr jest już poważnie chory. On i Kathleen widują się ukradkiem. Uda im się jeszcze jeden, ostatni wypad w okresie szalonych upałów na początku września. Lecz nie są to już chwile wielkiego szczęścia. We wcześniejszym szkicu powieści „Kathleen pochodzi z bardzo biednej rodziny” - jej ojciec miał być kapitanem jakiegoś rybackiego kutra z Nowej Fundlandii. Z innej notatki wynika, że Stahr nie może jej zaakceptować na stałe, jako części swego życia, ponieważ Kathleen nie ma w sobie nic wspaniałego, jest „biedna, nieszczęśliwa i obciążona pospolitą, drobnomieszczańską powierzchownością, nie odpowiada jego wymaganiom”. Być może również narastający konflikt klasowy, w który mąż Kathleen tak silnie był zaangażowany, odsunął Kathleen od Stahra. Jest on bowiem coraz bezwzględniej odsuwany od wszystkiego, jakby spychany w przeszłość zarówno wskutek aktywności Brady'ego, jak i związków zawodowych. Coraz silniejszy staje się rozdźwięk między tymi, co kontrolują przemysł filmowy z jednej strony i różnymi grupami pracowników z drugiej, nie ma już miejsca w Hollywoodzie dla prawdziwie wielkich osobowości w rodzaju Stahra, który powodzenie zawdzięczał zawsze własnym dokonaniom, a karierze swojej umiał nadać indywidualny blask i rozmach. Stahr uważa, że jest bezpośrednio odpowiedzialny za każdego, kto u niego pracuje, gotów jest nawet sam, bez niczyjej pomocy, rozprawiać się ze swymi wrogami. Jest on na pewno „ostatnim z wielkich”.

Stahr nie boi się ryzykować pieniędzy na filmy ambitniejsze (rozdział 3), które nie przynoszą zysku, lecz jemu osobiście dają pewien rodzaj artystycznej satysfakcji. Traktuje on film jak rzemiosło i uważa za naturalne, że powinien to rzemiosło wykonywać coraz lepiej. Ale po obniżce płac przyczaił się i przestał robić filmy. W szkicu powieści przewidziane były tu sceny ukazujące go znowu na konferencji ze scenarzystami, na przeglądzie materiału i na hali zdjęciowej, podobnie jak w rozdziałach 3 i 4, lecz w krańcowo odmiennym nastroju, stosownie do zmiany, jaka zaszła w postawie Stahra i jego pozycji zawodowej.

Mimo wszystko jednak wie on, że musi stawić czoło Brady'emu, który nie cofnie się przed niczym. Stahr wyraźnie boi się, że zostanie zamordowany, decyduje się więc zastosować metody przeciwnika i ubiec go - i niewątpliwie w tym celu nawiązuje kontakt z gangiem. W jaki sposób ma zginąć Brady, kto go zabije - tego nie wiemy, lecz aby znaleźć się w tym momencie daleko od miejsca zbrodni, Stahr leci do Nowego Jorku.

Ostatnie jego spotkanie z Kathleen - na lotnisku. Jest tam również Cecylia, która

wraca na uniwersytet innym samolotem. W czasie lotu Stahr rozmyśla nad swym postępowaniem, budzi się w nim sprzeciw i odraza do samego siebie; widzi własny upadek moralny w tym, że sięgnął po brutalne metody swego przeciwnika. Postanawia odwołać planowane zabójstwo. Odpowiednie instrukcje zamierza wysłać z najbliższego lotniska. Lecz samolot ulega katastrofie i Stahr ginie pod jego szczątkami, a zbrodnia zostanie popełniona. Powieść, rozpoczęta samobójstwem Schwartza, zamyka się śmiercią Stahra. Schwartz w swej notatce usiłował ostrzec Stahra przed Bradym, który od dawna pragnął pozbyć się współnika.

Pogrzeb Stahra miał być, opisany szczegółowo jako wielki pokaz hollywoodzkiej obłudy i służalczości. Wszyscy leją łzy jak przystało lub demonstracyjnie hamują wzruszenie zerkając kątem oka, na kogo trzeba. Cecylia ma uczucie, że Stahr jest obecny na swym pogrzebie i że słyszy go mówiącego: „Cóż za szmira!”

Stary aktor Johnny Swanson-kowboj, wspomniany na początku rozdziału 2, za którym Cecylia wstawiła się kiedyś do swego ojca, zostaje zaproszony na pogrzeb przez przypadek - pomyłono go z kimś innym o podobnym nazwisku - i nawet niesie trumnę wraz z najbliższymi przyjaciółmi zmarłego, wśród których są najważniejsze osobistości Hollywoodu. Stary aktor uczestniczy w ceremonii pogrzebu od pierwszej do ostatniej chwili, nieco oszołomiony; później - ku jeszcze większemu swemu zdumieniu - przeżywa nagły powrót do dawnej świetności; po jego udziale w wytwornym pogrzebie propozycje ról filmowych sypią się jak z rękawa.

Po raz ostatni też wypływa na widownię Fleishacker, ów ambitny adwokat, radca prawny wytwórni, człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów moralnych i jakichkolwiek talentów, figura znamienna dla nadchodzących zmian w Hollywoodzie. Ten absolwent Uniwersytetu Nowojorskiego pod koniec opowiadania zainteresuje się Cecylią - może chce się z nią ożenić? - w każdym razie zabiega o rozmowę „na planie intelektualnym”.

Cecylia, wciąż zakochana w Stahrze, przez przekorę ma romans z człowiekiem jej obojętnym, który jednak interesował się nią od dawna - jest to prawdopodobnie Wylie White, stanowiący całkowite przeciwieństwo Stahra.

Śmierć Stahra jest dla Cecylii ciężkim ciosem, a po śmierci ojca, który ginie z ręki mordercy, dziewczyna załamuje się ostatecznie. Zapada na gruźlicę i dopiero na końcu dowiadujemy się, że te wspomnienia spisuje w sanatorium.

Powieść miała się zakończyć obrazem Kathleen stojącej samotnie przed bramą wytwórni. Najprawdopodobniej rozeszła się z mężem wskutek jego udziału w intrydze przeciwko Stahrowi. W oczach Stahra jednym z największych uroków Kathleen było to, że

nie należała do świata filmu. Teraz, gdy Stahra zabrakło, Kathleen wie, że nigdy do tego świata nie wejdzie, że „została w ogóle wykluczona ze wszystkiego” - sytuacja sama w sobie tragiczna.

O autorze

Francis Scott Fitzgerald, pisarz amerykański, ur. 24 IX 1896 w St. Paul (Minnesota), zm. 21 XII 1940 w Hollywood (Kalifornia). Studiował w New Jersey i Princeton. Gdy wybuchła I wojna światowa, przerwał studia i zgłosił się na ochotnika do wojska. W latach 1917-1919 przebywał w obozie szkoleniowym w Alabamie. Tam poznał swą przyszłą żonę - Zeldę Sayre - córkę zamożnego sędziego. Wielka romantyczna miłość wywarła ogromny wpływ na późniejsze losy pisarza, a jej ślady widoczne są w wielu utworach. Działalność literacką Fitzgerald rozpoczął jeszcze w szkole, pisząc wiersze i sztuki dla szkolnego teatru. Na serio zajął się literaturą w 1919 r. Jego pierwsza powieść, *This Side of Paradise* (1920), stała się bestsellerem i przyniosła mu natychmiastową sławę. Kolejne utwory to: *The Beautiful and the Damned* (1922) - powieść częściowo autobiograficzna i *Wielki Gatsby* (1925, wyd. pol. 1962), utwór uważany powszechnie za najwybitniejsze osiągnięcie twórcze pisarza, dwukrotnie sfilmowany. Fitzgerald jest również autorem wielu opowiadań. Pasma sukcesów przerywa najpierw choroba żony (załamanie nerwowe), a później lata Wielkiego Kryzysu. W literaturze zaczyna dominować problematyka społeczna i następną powieść Fitzgeralda, *Czula jest noc* (1937, wyd. pol. 1967), oparta na wątkach autobiograficznych, zostaje przyjęta dość chłodno. Zadłużony i zapomniany pisarz podejmuje pracę scenarzysty w Hollywood. Owocem kilku lat pracy w stolicy filmu światowego jest nie dokończona powieść *Ostatni z wielkich* (1940, wyd. pol. 1975), która - wydana pośmiertnie - przywróciła Fitzgeraldowi należne mu miejsce wśród czołowych pisarzy amerykańskich.

Z okładki

Ostatni z wielkich ukazuje Hollywood lat trzydziestych, stosunki i atmosferę tej amerykańskiej „fabryki snów” w okresie po Wielkim Kryzysie. Główny bohater - Monroe Stahr - to ostatni potentat przemysłu filmowego, związany z wielką finansjerą Wall Street, a także gangsterskim podziemiem. Interesująca fabuła, duża doza autentyzmu, znakomity obraz czasu i środowiska przyniosły tej nie dokończonej powieści entuzjastyczne opinie krytyki i sukces czytelniczy.